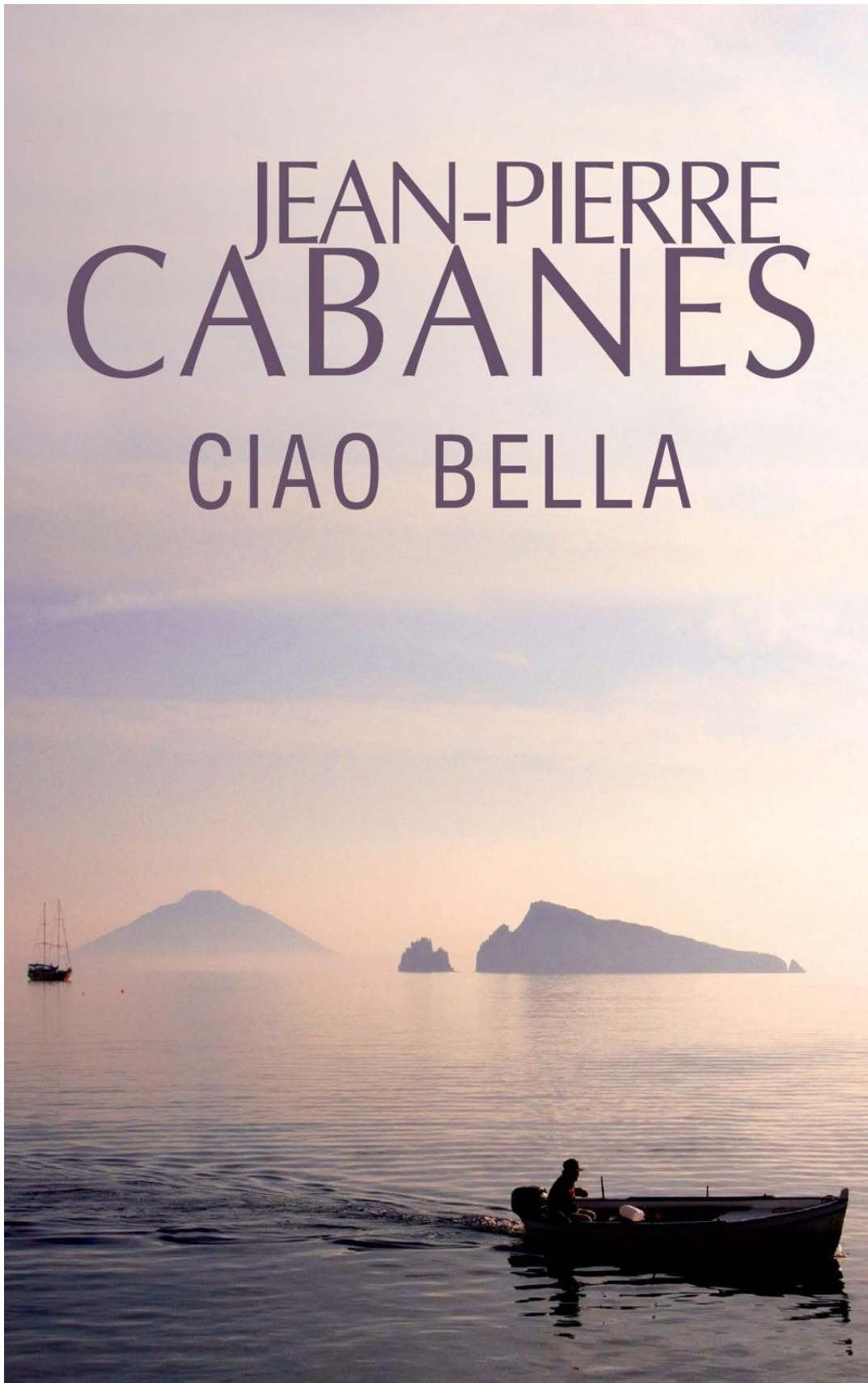


JEAN-PIERRE CABANES

CIAO BELLA



O książce

Lato 1935 roku. We Włoszech niepodzielnie rządzą faszyci. Mussolini szykuje się do inwazji w Abisynii, a tymczasem na rybackiej wysepce w Cieśninie Messyńskiej toczy się senne życie. Docierające tu informacje – nawet jeśli mogą się wydawać niepokojące – nie wpływają na egzystencję mieszkańców, a zakochana para szesnastolatków – Carlo i Agryppina – oddaje się swojemu zamięłowaniu do historii starożytnej i urokom świeżo odkrytej zakazanej namiętności.

Podczas jednej ze swoich wędrówek w poszukiwaniu odosobnienia znajdują stare posągi. Podnieceni odkryciem, opowiadają o nim miejscowemu proboszczowi – zesłanemu tu z Watykanu za podważanie dogmatów wiary – a on przekazuje tę informację przyjacielom w Rzymie. Sprawa staje się głośna, na wyspę zjeżdżają faszystowscy dygnitarze i właśnie wtedy ktoś wysadza posągi. Carlo i jego ojciec, który niegdyś naraził się Duce, muszą uciekać.

Czy wrócą jeszcze na wyspę? Czy życie Carla potoczy się według scenariusza, który przewidziała dla niego ukochana?

JEAN-PIERRE
CABANES

CIAO BELLA

Z francuskiego przełożyła

WIKTORIA MELECH



Wydawnictwo
A. Kuryłowicz

JEAN-PIERRE CABANES

Urodzony w 1949 roku francuski pisarz, autor kilkunastu książek przetłumaczonych na wiele języków. Za powieść *L'Audience solennelle* otrzymał Grand Prix de Littérature policière. Z zawodu adwokat, mieszka w Nîmes na południu Francji, ale zafascynowany Włochami, spędza w tym kraju każdą wolną chwilę. Tam też osadził akcję kilku swoich powieści.

Osiągnąłem już wiek, w którym chłopcy, odłożywszy do szafy ilustrowane opowieści, takie jak *Corsaro Nero* czy *L'Avventuroso*, zaglądają do *Promessi Sposi*¹ i plując na dłoń, przyglądają włosy, zerkając przy tym do lustra nad umywalką. Krótko mówiąc, byłem już w wieku, kiedy chłopcy zaczynają interesować się miłością.

Mieszkaliśmy z ojcem na jednej z wysp, które odgradzają Sycylię od kontynentu od zachodniej strony, w kamiennym domu zbudowanym własnoręcznie przez jednego z naszych przodków, garybaldczyka, nad samym brzegiem Morza Śródziemnego, na końcu miasteczka. Z jakiegoś powodu, nad którym się wówczas nie zastanawiałem, nie doświadczaliśmy takiego ubóstwa jak inne rodziny rybaków. Mój ojciec miał własną łódź, do której wstawił nowy silnik Diesla z fiata, rocznik 1933, co nie wymagało zbyt wielkich kosztów. Zatrudnił nawet dla towarzystwa niejakiego Giuseppe Cucagna, przymierającego głodem nieudacznika, niepiśmiennego, ale oddanego, który pomagał mu wyciągać sieci. Czerpiąc środki na utrzymanie z rybołówstwa oraz z winnicy na zboczu wulkanu, ojciec nie miał większej korzyści z Giuseppego, tym bardziej że lubił on sobie wypić. Giuseppe uwielbiał słońce, od którego miał tak poczerniałą i spękaną skórę, że otrzymał przydomek *Girasole*².

Wiedliśmy spokojne, niczym niezakłócone życie. Nie oczekiwałem żadnych niespodzianek w przyszłości, która wydawała mi się zorganizowana z góry przez życzliwy mi los. Kochany przez ojca, kochany przez Agrippinę Foscari, o której opowiem dalej, kochany przez mieszkańców mojej wyspy, a nawet przez duce, jak czterdzieści milionów Włochów, wiedziałem, że zbliża się najwspanialsze, najbardziej obiecujące w moim życiu lato, kiedy to osiągnę wiek męski.

Nie. Nie wiedziałem nic.

Z Rzymu przychodziły tylko informacje o nowych podatkach i partyjne afisze, które rozwieszał podestata³ ze zrezygnowaną miną, bo wiedział, że umiejący czytać poprzestaną na trzech liniijkach, gdyż wszystkie publiczne apele wprawiały ich w stan melancholii. Nie miały przy tym żadnej wartości i natychmiast były zrywane przez bezbożne ręce. Papier zaś, na którym afisze były wydrukowane, nadawał się tylko na podpałkę, jak mawiały kobiety w publicznej pralni.

Porfirowe popiersie Mussoliniego z powodu swojej wagi zostało przewiezione przez miasteczko na tym samym wózku, który służył co roku do obwożenia naszej świętej, eskortowanym przez podestata i jego trzech zaufanych ludzi, trzymających na zmianę uchwyt wózka. Popiersie, ustawione przed wejściem do merostwa, witało gości, którzy spoglądali na nie życzliwym wzrokiem, ponieważ nic ich nie kosztowało i w dodatku zasłaniało płamę na ścianie budynku. Ja widziałem w nim podobieństwo do Scypiona Afrykańskiego, którego wizerunek widniał na początku rozdziału o wojnach punickich w moim podręczniku do historii. Podzieliłem się tym spostrzeżeniem z podestatem, który uznał to porównanie za usprawiedliwione i z pewnością słuszne. Gdy powiedziałem o tym skojarzeniu ojcu, wzruszył tylko ramionami i spojrzął w niebo poirytowanym wzrokiem.

O matce nie wiedziałem nic, poza tym, że mieszka gdzieś na kontynencie, gdyż ojciec, gdy o to pytałem, pokazywał kierunek równie szerokim co nieprecyzyjnym gestem. Wiedziałem także, że dzieciństwo spędziła w naszym miasteczku. Dowiedziałem się o tym dzięki nauczycielce, która odchodząc na emeryturę, przekazała mi w dowód sympatii śliczny piórnik, mówiąc, iż należał do mojej matki. Jako najlepsza uczennica otrzymała go w nagrodę w 1908

roku, w tym samym, kiedy potężne trzęsienie ziemi zniszczyło Messynę. Ze sposobu, w jaki ojciec wziął do ręki ten przedmiot i otworzył, szukając napisu wewnątrz, domyśliłem się, że go rozpoznał, potem jednak gwałtownie odłożył piórnik na stół i wyszedł z domu, żeby wrócić po jakimś czasie, jak gdyby nic się nie stało. Zdążyłem przedtem znaleźć imię „Luca” wyryte dziecięcą ręką, która musiała należeć do mojej matki. Ale ja znałem tylko jego, jakby zawsze był tutaj ze mną, jakbyśmy zawsze mieszkali na tej wyspie, gdzie wychowywał mnie w cieniu wulkanu, w domu nad morzem, chociaż z wczesnego dzieciństwa zachowałem mgliste wspomnienia innego otoczenia, bo urodziłem się w Rzymie, o czym świadczył zapis w mojej metryce. Tak więc żyliśmy razem, on masywny, siwiejący, i ja potulny, tak wąły, tak drobny, że ludzie z trudem wierzyli, iż jestem jego synem, gdyż przeważały we mnie, co zrozumiałem znacznie później, geny tej nieobecnej.

Wulkan był ogromny, tajemniczy, ale budzący zaufanie. W miasteczku nazywano go Nonno⁴, jakby jego odwieczna, opiekuńcza obecność gwarantowała ochronę przed wrogami z zewnątrz samym swoim groźnym wyglądem, dzięki któremu widoczny był z daleka dla marynarzy pełniących wachtę, a zbłąkanym statkom służył za punkt odniesienia. Od czasu do czasu, pomrukując i wyrzucając w górę płomień, pokazywał, że nie ucichł na zawsze, że jego wnętrze wciąż pulsuje życiem. Ryczał niczym stary potwór, który ma koszmarne sny, ale za pamięci mieszkańców miasteczka, sięgającej nawet najdawniejszych przodków, nigdy nie wyrządził żadnej szkody. Jeśli zaś idzie o szarą lawę pokrywającą chropawę zbocza góry, pochodziła ona z nieznanej epoki wykraczającej poza pamięć ludzi. Po tamtych antycznych wybuchach wulkanu pozostało jednak kilka plaż, gdzie piasek, chociaż płukany miliardem fal, uparcie zachowywał ten sam czarny kolor ożywiany białą pianą. Było to przymierze, małżeński związek między morzem i wulkanem, z którego zrodziła się nasza rasa wyspiarzy z cechami jednego i drugiego.

To lato, o którym chcę opowiedzieć, lato 1935 roku, poprzedzały decyzje budzące we mnie pewien niepokój, ponieważ nowy rok szkolny miałem rozpocząć nie w szkole w naszym miasteczku, lecz w gimnazjum w Reggio na kontynencie. Władze oświatowe na wyspie — nauczycielka i proboszcz Don Leonardo — doszły bowiem do wniosku, że nie mogą już nic więcej dla mnie zrobić i że powinienem być przekazany w inne ręce, abym nie został jak inni rybakiem, na co nie mogą się zgodzić, wzięwszy pod uwagę zdolności, jakie we mnie dostrzeżono. Ojciec także opowiedział się za tym, choć nie przyszło mu to łatwo. Domyślałem się, że na jego postawę wpłynęły wspomnienia z dawnych lat, czego pewne ślady zostały na półkach biblioteczki w formie książek, które albo sam napisał, albo tych, które mu ofiarowano z długimi, wymyślnymi dedykacjami, pochodzących z czasów, kiedy mieszkał na kontynencie — jak sądzę, w Rzymie — zanim wrócił na rodzinną wyspę i został rybakiem jak jego ojciec i przodkowie jego ojca.

Do wspólnej pogawędki siadaliśmy najczęściej wieczorami, a raczej wówczas, gdy nadejście tej pory zapowiadał cień wulkanu prześlizgujący się wzdłuż wybrzeży, a potem rozciągający się na domy, plażę i w końcu na morze. Gdy ojciec wypytał mnie, jak spędziłem dzień, na co odpowiadałem dość wymijająco, mówił mi o połowie, który zaczynał bardzo wczesnym rankiem, kiedy cień odpływał aż do krateru. Potem wygłaszał monolog o sprawach miasteczka, wydarzeniach w Abisynii i o innych historiach, które sobie przypominał, odczuwając bez wątpienia potrzebę opowiadania o nich, a w jego cichym głosie słychać było żal. Czy naprawdę mówił do mnie? Nie wątpiłem w to, gdyż swoją opowieść przerywał krótkimi zwrotami, biorąc mnie na świadka — rozumiesz, Carlo... — jednocześnie jednak wiedziałem, że zwracał się do kogoś nieznanego, niewidzialnego, zdolnego uchwycić niuanse jego słów. Zresztą, to nieważne. I chociaż sprawy, które poruszał, osoby, które wspominał, były mi obce,

pochlebiało mi, a nawet budziło dumę, że zwracał się do mnie jak do równego sobie. Jego zwierzenia, nawet te niezbyt jasne, napępiały mnie szczęściem w tych cudownych chwilach, które poprzedzały rozkoszowanie się nocą, gdy cień wulkanu okrywał już wszystko i błyski z krateru rzucały dalekie refleksy na spokojne morze między porą przypływu i odpływu.

Rano, po zrobieniu porządku, co należało do mnie w ramach domowych obowiązków, ruszałem wolnym krokiem brzegiem morza w stronę przystani, gdzie stały wyciągnięte na piasek łodzie, a obok nich leżało mnóstwo sieci, które, żeby nie zniszczyła ich sól morską, zmywano silnym strumieniem wody czerpanej z fontanny. Zabierałem się do prac naprawczych, zszywając dziury, latając drobne uszkodzenia, zanim zrobią się większe. W tym samym czasie inne dzieciaki wypatrywały konturów pierwszych łodzi, tych najskromniejszych, w większości z połatanymi żaglami, często z niewydolnymi silnikami, które nie pozwalały wypływać za daleko.

Każda praca w miasteczku wykonywana była kolektywnie. W poczuciu solidarności wspólnie wyciągaliśmy łodzie na brzeg, potem wydobywaliśmy z ładowni połyskujące, miotające się ryby, wrzucaliśmy je do pojemników wypełnionych lodem, ładowanych następnie na wózki, które robotnicy ze spółdzielni szybko pchali aż na nabrzeże.

Większe łodzie wracały dopiero późnym popołudniem, a ja na nie zwykle czekałem. W porze, kiedy słońce stało najwyżej, kiedy żar jego promieni wysuszał ostatnie krople wody morskiej na burtach łodzi i na rozwieszonych na kozłach sieciach, kiedy od tego żaru wręcz skwierczały pył, piasek i sól w wyżłobionych w bruku bruzdach, o tej porze, kiedy opuszczano w oknach rolety, gdy zwierzęta domowe zaszywały się w miejsca zacienione, w porze, kiedy w miasteczku nic się już nie ruszało, gdy wszystko zamierało w świętym bezruchu, udawałem się na spotkanie z Agrippiną Foscari. Z zuchwałością i zarazem hipokryzją charakterystyczną dla dziewcząt z samego południa Włoch, skazanych na oficjalną dewocję, ośmielających się od dzieciństwa jedynie wyrażać prośby z taką budzącą zaufanie uległością, że usuwała wszelkie podejrzenia, Agrippina po cichu wymykała się z domu i biegła opustoszałymi uliczkami aż do miejsca naszych spotkań.

Często je zmienialiśmy, gdyż za opuszczonymi roletami i zaciągniętymi zasłonami kryły się podejrzliwe spojrzenia ludzi czujnie wypatrujących młodych kochanków, by donieść gdzie potrzeba o ich zachowaniu. Agrippina przybiegała w te upalne dni zadyszana, jej młode piersi unosiły się i opadały pod koszulową bluzką zapiętą na wysokości komunijnego krzyżyka. Zaczynaliśmy się całować, a moje ręce wymacały przez materiał jej jędrne, kobiece krągłości. Płonąc z gorącego pożądania, Agrippina przytulała się do mnie mocno, aż zataczaliśmy się na czarną ścianę osłaniającego nas przedsionka.

A potem płataniną uliczek z kościołami, kaplicami, stacjami Drogi Krzyżowej i wotami wymykaliśmy się z miasteczka, korzystając z krytych pasaży, żeby znowu się całować, aż na wyboistą drogę prowadzącą na pola, gdzie nie było żywej duszy. Szliśmy zakurzoną drogą, prażeni cichymi promieniami słońca, wspinaliśmy się *schiare del fuoco*⁵, którymi ściekała lava — być może w epoce, kiedy nad światem panował Rzym. Tam, w połowie zbocza Nonno, przedarłszy się przez labirynt kolczastych krzaków, wślizgiwaliśmy się do grotty, gdzie melodyjnie szemrało źródło. Agrippina wyjmowała z torby kilka pomidorów, trochę owoców, a ja na zaimprovizowanym ruszcie piekłem ukradzione ryby.

Czy mam mówić o chwilach, kiedy kochaliśmy się wprost na czerwonej ziemi w chłodnym cieniu grotty? Już za pierwszym (dla nas obojga) razem szybko odnaleźliśmy naturalne gesty miłości. Z determinacją, która była jedną z najsilniejszych cech jej charakteru, Agrippina wcale mi się nie opierała, jakby ta kilkunastoletnia dziewczyna dokonała już przemyślanego wyboru. Nie minęło wiele czasu i pojąłem, że Agrippina, koleżanka ze szkoły,

którą zauważyłem ponad murkiem odgradzającym dziedziniec dziewcząt od dziedzińca chłopców, którą widywałem w kościele, mijałem na ulicy, gdy robiła zakupy dla matki, spotykałem przy okazji częstych świąt, procesji, różnych rozrywek, łącznie z kinem na wolnym powietrzu koło siedziby Fascio⁶, gdzie wyświetlano filmy heroiczne, już dawno temu, choć o niczym nie wiedziałem, powzięła wobec mnie pewne zamiary. Rzecz ciekawa, ale nasza zażyłość zrodziła się dzięki lekcjom łaciny udzielanym przez proboszcza Don Leonarda, człowieka tak niezwykle uczonego, że chyba tylko za karę zesłano go na naszą wyspę. Zamiast rozpalać dusze, martwił się o nasze umysły. Poinformowany o tym, jakie nadzieje pokładali w naszych talentach jej i moi nauczyciele, zajął się nami specjalnie i jeśli mogę się tak wyrazić, starał się podnieść poziom naszej wiedzy tak, abyśmy mogli podjąć wyższe studia. Taki był powód lekcji, które z wielkim zapałem prowadził tylko dla nas w niedziele, w sali przy kościele. Przedzierając się przez zawiłości deklinacji, pułapki *ablativus absolutus* i *gerundivum*, szukaliśmy po omacku drogi w opowieściach Cezara o prowadzonych przez niego wojnach, w mowach sądowych Cyclerona, w historii Tacyta, w żywotach Swetoniusza i pieśniach Wergiliusza, które stanowiły ukoronowanie naszej nauki. Najdoskonalsza była *Eneida*, zwłaszcza cztery pierwsze księgi, czyli historia miłości Dydony i Eneasza. Musieliśmy żeglować wśród subtelności wiersza i półwiersza łacińskiego, odróżniać daktyl od spondeja i anapestu. Z zapałem je skandowaliśmy, zwracając uwagę na cezury. Uczyliśmy się wszystkiego na pamięć i chętnie potem recytowaliśmy. Musieliśmy także tłumaczyć te teksty i pokonywać związane z tym trudności, borykać się z niepoprawnymi zwrotami, błędami składniowymi, a czasami wręcz brakiem sensu. Krótko mówiąc, nasza miłość zrodziła się przy poznawaniu relacji o straszliwym końcu Troi i nie mniej okropnym porzuceniu Dydony przez nieśiałego Eneasza. Pewnego dnia, gdy Agrippina uświadomiła mi, że wraz z początkiem nowego roku szkolnego nastąpi dla nas moment rozstania, czego oboje baliśmy się bardzo, wyrecytowałem pierwszy wiersz drugiej księgi:

*Infandum, regina, iubes renovare dolorem*⁷.

A ona z błyskiem w wilgotnych oczach odrzekła słowami kończącymi czwartą księgę:
*Felix, heu, nimium felix, si litora tantum
numquam Dardaniae tetigissent nostra carinae!*⁸

Tak więc wszystko zostało powiedziane. Te obustronne wyznania wymagały przypieczętowania. Z drzeniem pocałowałem ją w usta, podczas gdy przed nami leżały słowniki i podręcznik gramatyki. Ręką dotknąłem jej piersi. Zamknęła oczy i był to nasz pierwszy miłosny kontakt pozbawiony już niewinności. Zza ściany słyszeliśmy głos Don Leonarda i szmer odpowiadającego mu dziecięcego chóru z okazji nie pamiętam jakiego sakramentu.

W taki to sposób zrodziła się nagle nasza namiętność, z nieodłącznym zmaganiem się ciał, z westchnieniami i skargami, w kościelnej sali, nad poezją Wergiliusza, w wiośnie naszego życia. Skrywana namiętność spadła na nas niczym gwałtowny wybuch starego Nonno w spokojnej godzinie i nic na to nie mogliśmy poradzić. To było fatum, zrządzenie losu zesłane przez bogów Olimpu, któremu poddaliśmy się, którym nie byliśmy zresztą zaskoczeni, ponieważ oboje z Agrippiną byliśmy pogrążeni w atmosferze antycznego świata.

Dlatego w upalne dni lata w 1935 roku wielokrotnie przemierzaliśmy w pośpiechu zboczem wulkanu drogę do grotty. A kiedy była gorsza pogoda, kiedy łodzie rybackie stały przycumowane w porcie, szliśmy na drugi koniec wyspy, na brzeg szarpany gwałtownymi podmuchami wiatru, który wyrywał rosnące tam kolczaste krzewy. Ukryci za skałą, objęci ramionami, przyglądaliśmy się z zachwytem wzburzonemu, ryczącemu morzu. Nadpływające

z bardzo daleka szare zwały wody wybrzuszały się i w miarę zbliżania do brzegu rozбивały się o siebie. Rozproszone krople z grzbietów fal opryskiwały nam twarze, a linie białej piany tworzyły przeróżne wzory. I znowu kochaliśmy się nieosłonięci opiekuńczymi ścianami groty na opustoszałej plaży, przy wtórze huczącego wiatru, wycia morza, podczas gdy szarobiałe kałuże spływały po mokrym piasku aż do naszych stóp.

Wieczorem wracałem do domu i razem z ojcem cieszyliśmy się urokami nocy, podczas gdy on któryś już raz powracał do zwykłych swoich pytań i monologów głosem ochryplym od nadużywania tytoniu i od wykrzykiwania poleceń marynarzowi Girasolemu, gdy na morzu zrywał się wiatr. Odpowiadałem półsłówkami w nadziei, że te pytania należą tylko do rytuału i że nie oczekuje on ode mnie żadnych bliższych wyjaśnień dotyczących tego, jak spędziłem dzień. Był to błąd z mojej strony, bo często, choć nic nie mówił, domyślałem się z błysku w jego oczach, z ledwie widocznego wykrzywienia kącików warg, że nie wierzy w ani jedno słowo moich wymijających odpowiedzi. Być może czyjeś ochocze języki zdążyły już mu donieść o moich popołudniowych spacerach z Agrippiną, ale nie zdradzał się z tym przede mną z powodu pewnego skrępowania charakterystycznego w stosunkach między ojcem i synem, udając, że przyjmuje w dobrej wierze moje przemilczenia i kłamstwa. Potem to on zaczynał swoje opowieści, wracając do własnych wspomnień, przywołując te same fantomy, które wydawały mi się znajome, jako że mówił o nich już niejedną raz. O mojej matce nadal nie wspominał, chociaż byłem pewny, bo nie mogło być inaczej, że odegrała istotną rolę w tych historiach. W dalszym ciągu nie wiedziałem, czy wspomnienia te budzą w nim nienawiść czy, przeciwnie, chętnie do nich wracał. Niekiedy z jego ust padały nazwiska ludzi, o których bardzo często mówiono w radiu lub wymieniano na pierwszej stronie „Popolo d’Italia”, takie jak Farinacci, Balbo, Starace, Grandi, Graziani, Guidi i inne, których już nie potrafię wymienić. Któregoś dnia ośmieliłem się zapytać, czy miał okazję zbliżyć się do Mussoliniego. Przytaknął głową, po czym, wskazując na półki, gdzie stały opublikowane przez niego książki, powiedział: „Nie spodobało mu się to, co pisałem o nim, i dlatego...”. Potem zamilkł, jakby powiedział za dużo nieświadomemu niczego młodzieńcowi. Zrozumiałem, że myślami wrócił znowu do przeszłości, do której ja nie mam prawa wejść. W takich chwilach zaczynałem marzyć o Agrippinie, rozpamiętywać mądre słowa, które usłyszałem od niej tego popołudnia, czułość, jaką mi okazywała w szorstkich gestach pierwszego okresu miłości. A działało się to w porze, kiedy wszystko stopniowo okrywał cień i cichnący plusk morza zapowiadał nadejście nocy.

Dwudziestego lipca 1935 roku, a raczej w XII roku ery faszystowskiej (tak należało, jak nam wyjaśniono w szkole, liczyć czas, počzawszy od października 1923 roku, pierwszej rocznicy „marszu na Rzym” i powołania Mussoliniego na premiera rządu), nastąpiło oficjalne otwarcie siedziby Fascio.

Władze Kalabrii, którym podlegała nasza wyspa, uznały, że skromny lokal merostwa nie odpowiada wystarczająco *vita nuova* i nowym przedsięwzięciom. Dlatego też przyznano subwencję w wysokości stu pięćdziesięciu tysięcy lirów (*importantissima*) przekazaną na ręce Onesima Battisty, podestata, najważniejszego urzędnika na wyspie, aby przystąpił do budowy siedziby, *casa del Fascio*, która nie przyniesie wstydu nowemu reżimowi.

W związku z tym, że nie dało się znaleźć właściwego miejsca, bo miasteczko nasze składało się z nieprawdopodobnej plątaniny uliczek, zdecydowano się na wyburzenie grupy domów, które zdaniem władz groziły zawaleniem się, chociaż stały już od ponad wieku i nic nie wskazywało na to, by w najbliższym czasie mogło im coś zaszkodzić. A żeby żaden cień nie padł na doktrynę głoszącą idee społeczne, przeniesiono mieszkańców do innych domów, dając im skromne odszkodowania, które tym starym, ubogim ludziom, niemającym środków na wynajęcie nowych lokali, wydały się wystarczające. Według „Giornale dell’isola”, brukowca wydawanego raz na miesiąc na koszt merostwa i sprzedawanego po dziesięć centymów, nowa siedziba została zbudowana z „entuzjazmem, zdecydowanie i szybko”. Mieszkańcy, gromadząc się na specjalnie do tego wytyczonym dziedzińcu, który miał w przyszłości stać się *l’arengo della nazione*⁹, obserwowali budowę z sarkazmem, chociaż Battista i jego zwolennicy zapewniali, że „miasto nie wydało na to ani grosza”, świadomi, iż jest to jedyny przekonujący argument, by zamknąć usta wrogom, których było niemało wśród mieszkańców. Battista zresztą nie był złym człowiekiem. Okrągłutki, o pocziwym wyglądzie, z rękami pokrytymi włosami widocznymi spod podwiniętych rękawów koszuli. Był właścicielem jedynej w miasteczku trattorii, dzięki czemu miał stały kontakt z ludźmi. Potrafił udzielić kredytu, postawić kolejkę, w wyjątkowych przypadkach anulować długi. Wybór na swoje stanowisko mniej zawdzięczał sile własnych przekonań, o których mówił półgłosem, niż temu, iż jako pierwszy miał telefon, odkąd założono linię telefoniczną łączącą wyspę z kontynentem. Cieszył się opinią człowieka godnego szacunku, dobrodusznego, raczej nieskłonego do sztywnych publicznych przemówień, które czasami musiał wygłaszać. Tak więc mówił jakby dwoma językami. W kontaktach z mieszkańcami wyspy używał miejscowego dialektu, chcąc utrzymać z nimi więź. Drugi język był przeznaczony dla urzędników w Reggio, którym mówił to, co pragnęli usłyszeć. Z całą pewnością nie można było od niego oczekiwać zbyt dużej subtelności w szermowaniu ideami, a tym bardziej umiejętności analizowania *Eneidy*, z której nie znał ani jednego słowa. Z tego tytułu Agrippina i ja czuliśmy dla tego właściciela podrzędnej knajpy milczącą pogardę, tym większą, że ojciec Agrippiny, jego zastępca, uchodził w miasteczku za wyjątkowo mu uległego. Był to ze strony Agrippiny dowód niezwyklej niezależności w tym, co robiła. Po utracie bez najmniejszego wahania dziewictwa, które w tamtym okresie i w tamtym miejscu uważano za rzecz najważniejszą dla młodej dziewczyny, posunęła się tak daleko, że darzyła wzgardą nawet człowieka, który był przełożonym jej własnego ojca.

Trzeba w tym miejscu przyznać, że nasza sytuacja nie była prosta. Obawialiśmy się, żeby nie wyszło na jaw, iż w tak młodym wieku jesteśmy kochankami. Jej ojciec, Foscari, miał na wyspie wysoką pozycję. Pierwszy zastępca Battisty, drugi w hierarchii lokalnej Fascio, był tak zagorzałym doktrynerem, że powierzono mu *carica di prestigio*¹⁰, gdy tymczasem mój ojciec,

z czego zdawałem sobie dobrze sprawę, nie cieszył się dobrą opinią z tych samych powodów, które zmusiły go do powrotu na wyspę, co wyglądało mniej lub bardziej na wygnanie. Obawiałem się więc tego dnia, kiedy wyjdzie na jaw, że się spotykamy, skandalu, który by temu towarzyszył.

Dlatego też buntowniczy duch Agrippiny zachwycił mnie. Kochając ją młodzieńczą miłością, zmuszałem się do tego, żeby jej dorównać i udowodnić, że jestem jej godny. Podestak budził w nas tylko skrywane lekceważenie. Przyznawaliśmy, że obdarzony jest pewnym talentem, sprytem w manipulowaniu umysłami, w czym okazywał się o wiele zręczniejszy niż Don Leonardo, który przybierał przesadnie ważną pozę *monsignore* usuniętego z Watykanu za brak szacunku dla niezmienności dogmatu i wysłanego między pariasów. Chudy, wysoki, w sutannie o nienagannym kroju przechadzał się z melancholijną, kwaśną miną zapyłonymi, często śmierzącymi uliczkami miasteczka, nie przypominając w niczym swojego poprzednika, rozmemłanego, serdecznego, pełnego radości życia i lepiej posługującego się lokalnym dialektem z wszystkimi jego subtelnymi intonacjami niż kościelną łaciną. Nikt natomiast nie mógł zarzucić Don Leonardowi zaniedbywania obowiązków, a nadane mu przezwiska, wzięte z nazw warzyw, takie jak *il Cetriolino nero*¹¹ lub *l'Asparago triste*¹², nie świadczyły o niechęci względem niego, lecz tylko o tym, jak widziała go tutejsza ludność, lepiej wyrażająca swoje uczucia poprzez spontaniczne porównania niż przemyślanymi określeniami. Bez wątplenia nie był człowiekiem o wesołym usposobieniu, wyglądało nawet na to, że nie jest w najmniejszym stopniu skłonny odpuszczać winy, co wynikało chyba z jego surowego charakteru i doznanych rozczarowań. Kobiety debatowały na jego temat w pralni publicznej, jedne wymyślały najbardziej skandaliczne hipotezy, inne z pewną dozą hipokryzji twierdziły coś odwrotnego, że jest to tajemnica między nim a Bogiem i nikt nie ma prawa się tym interesować. Służąca Don Leonarda, Giuseppina, skądinąd mistrzyni w roznoszeniu wszelakich plotek, w tej sprawie milczała jak grób, jakby złamanie świętej tajemnicy było zagrożeniem dla jej zbawienia.

Z wyglądu przypominała karlicę. Duża głowa osadzona na wątłym ciele spowodowała, że kiedy jeszcze była małą dziewczynką, przewano ją Funghina¹³. Rekompensowała to ostentacyjną wiarą, wyrażaną przenikliwym głosem, z płonącym spojrzeniem ruchliwych oczu na płaskonosej twarzy. Opierała się nakazom, usilnym namowom i mniej lub bardziej jawnym błaganiom, żeby wyjawiała sekret Don Leonarda. Jednocześnie jednak, cały czas twierdząc, iż nic nie wie, mimiką — grymasami, mruganiem oczu, westchnieniami, półuśmiechem, spoglądaniem w górę i nawet robieniem znaku krzyża — dawała do zrozumienia, że wie wszystko, co jeszcze bardziej podniecało ciekawskie kobiety w pralni i podnosiło jej prestiż.

W wyznaczonym dniu i godzinie, z punktualnością, która była jedną z cech aktualnego reżimu, państwowy kuter *Fascio* z Kalabrii dobił do portu, oczyszczony na tę okazję z resztek ryb, zgniłych odpadków i licznych śmieci, których zazwyczaj było tam pełno. *Ras* z Reggio (tak nazywano lokalnych działaczy faszystowskich, używając tytułu dostojników etiopskich) i właściciel trattorii Battista przywitani się rzymskim pozdrowieniem, strzelając obcasami, po czym zgodnie z regulaminem uściskali się po bratersku. Następnie *ras* z Reggio i nasz skromny *ras*, każdy z podążającą za nimi w pełnej szacunku odległości switą swoich zastępców — wśród nich ojciec Agrippiny w ślubnej koszuli przefarbowanej poprzedniego dnia na czarno przez jego żonę — ruszyli w kierunku *arengo della nazione*, gdzie wznosiła się *casa del Fascio*. Zazwyczaj o tej porze napawaliśmy się z ojcem urokami wieczoru, ale tym razem nie chciałem, podobnie jak większość mieszkańców naszego miasteczka, przepuścić okazji, jaką był ten spektakl. Ojciec nie sprzeciwił się ani nie zrobił żadnej uwagi. Drgnął jedynie z lekka, gdy przeczytał w „Giornale dell'isola” nazwisko nowego *ras* Reggio, który właśnie objął swoje stanowisko. Mieszkańcy chcieli uformować koło, ale Foscarci polecił, aby ustawili się w czworobok, figurę geometryczną

lepiej pasującą do męskiego charakteru ceremonii niż krąg, któremu przypisywano cechy kobiece, o czym powiedziała mi na ucho Agrippina, która śledziła ojca i wszystko mi powtarzała.

Pan Foscari nie miał przezwiska. Ci, którzy go nienawidzili, powiadali, że nie zasługuje na przezwisko, bo w jego wyglądzie nie ma niczego oryginalnego. W rzeczywistości był to zatwardziały faszysta, który podczas wojny dzielnie walczył pod Asiago, chociaż nie przywiózł stamtąd żadnego medalu. Na jego wychudłej twarzy malowała się wiara w doktrynę i obsesja na temat własnej godności. W miasteczku nikt go nie lubił, ponieważ rzadko kiedy żartował i nigdy się nie śmiał. Wiedziano, że jest mściwy i bardzo pamiętliwy. Nikt mu nie zazdrościł, bo był tak samo ubogi jak inni, nie miał nawet własnej łodzi i pracował w spółdzielni rybackiej, żeby mieć z czego wyżywić potomstwo już ofiarowane narodowi.

Po kolejnych rzymskich pozdrowieniach właściciel trattorii Battista wspominał w swym przemówieniu, że echo chwały narodowej dotarło aż na naszą wyspę, która ma obowiązek okazać się godna takiego zaszczytu. Na tę okazję użył szorstkiego języka włoskiego, jakże dalekiego od łagodnej tonacji tutejszego dialektu. Chociaż tembr jego głosu został zniekształcony przez głośniki, brzmiał sucho i władczo, bez śladu przymilności kupca. *Ras* z Reggio wyjął z namaszczeniem z podanego mu podłużnego pakunku pęk różg z siekierami, który zatknęto nad bramą wejściową, podczas gdy zastępcy zaintonowali fałszywie hymn *Giovinezza*.

*Sono giovane e son forte,
non mi trema in petto il cuore:
sorridente vo alla morte
pria d'andare al disonore!
Giovinezza, giovinezza,
primavera di bellezza:
nel fascismo è la salvezza
della nostra libertà.
(Jestem młody i jestem silny,
Serce nie drży w mojej piersi:
Wolę umrzeć z uśmiechem,
Niż żyć w hańbie!
Młodość, młodość,
Wiosna piękna:
W faszyzmie ocalenie
Naszej wolności).*

Pieśń tę zagłuszyła miejscowa orkiestra dęta, która zaczęła grać mimo protestujących gestów Battisty. *Ras* z Reggio, Corrado Matamini, wyjaśnił symboliczne znaczenie różg liktora, wzięte bezpośrednio ze starożytnego Rzymu, gdyż w tym wyrażał się autorytet władzy Republiki Rzymskiej, a potem Cesarstwa, która obecnie znajduje się w rękach duce, dobroczyńcy narodu. Uzasadnił także obecność *torre littoria*¹⁴ wyposażonej w dzwony, które mają bić z okazji faszystowskich świąt.

W przeciwieństwie do Battisty nie musiał czytać przemówienia, które wygłaszał, swobodnie improwizując, był bowiem człowiekiem nawykłym do wystąpień i zabierania publicznie głosu. Mieszkańcy miasteczka słuchali go z tym samym udawanym szacunkiem i uwagą, jakie okazywali w kościele. W rzeczywistości nie przyszli tutaj, aby dać świadectwo swojej uległości wobec władz z Rzymu czy z Reggio, jako że problem ustroju Włoch, ambicje kolonialne duce czy renesans cesarskiej chwały były im całkowicie obojętne — nie mieli większych nadziei, że zmieni się od tego ich codzienna egzystencja. To, co ich interesowało

naprawdę i co uznali za warte przybycia, to przewidziany po zakończeniu ceremonii bankiet, podczas którego zamierzali się uraczyć podawanym za darmo jedzeniem i pić.

Wyciągnęli z łóżek żwawych jeszcze staruszków i nie wahali się opóźnić pory spania dzieciaków, nawet dotkniętych kokluszem, ospą czy świnką, krótko mówiąc, tymi wszystkimi chorobami, które przysparzały fortuny konowałom leczącym w miasteczku biedniejszych mieszkańców i rujnowały bezpłatną przychodnię dla tych, którzy nie mieli naprawdę nic. Niektóre kobiety, przekonane, że na pewno zostaną jakieś resztki, zaopatrzyły się w koszyki, a ich mężowie w puste butelki na wino. Niestety Matamini, *ras* Reggio, przedłużał swoje przemówienie, mówiąc o wyzwaniach rzuconych ze strony zuchwałej Afryki i o twardej konieczności położenia temu kresu przez energiczne działanie całego narodu.

Czworobok słuchaczy, uformowany w tym miejscu wcześniej na polecenie Foscariego w ślubnej koszuli przefarbowanej na czarno, zaczynał się chwiać, a w każdym razie tracił swój sztyk, tak idealny na początku. Widać w nim było falowanie w kierunku długich stołów, które faszyci z Kalabrii właśnie ustawiali na obrzeżach *arengo della nazione*. *Ras* Reggio z pewnością zauważył, co się dzieje, bo nagle zakończył swoje wystąpienie rytualnym okrzykiem: *Viva l'Italia! Viva il Duce!*

— Niech Bóg błogosławi naszemu duce! — odpowiedzieli chórem mężowie, żony, wiekowi starcy i nagle ozdrowiałe dzieciaki, po czym pospieszyli do stołów, podczas gdy miejska orkiestra dęta zagrała przeznaczony na takie okazje podniosły utwór.

W tym momencie w wolnej przestrzeni powstałej po rozsypanym już czworoboku pojawiła się sylwetka, której nie rozpoznałem od razu. Mój ojciec! Miał na sobie długie buty, spodnie do konnej jazdy i czarną koszulę. Nigdy przedtem nie widziałem tego uniformu, a widoczne na nim zagniecenia świadczyły o tym, iż prawdopodobnie długo leżał w kufrze. Na koszuli lśniło więcej orderów wojennych i Fascio, niż ich miał *ras* Reggio. Corrado Matamini na widok mojego ojca drgnął i szybko do niego podszedł. Za nim podążyli Battista i Foscari z piersiami niczym nieozdobionymi. Ojciec i *ras* Reggio uścisnęli się w szczerzy i pozbawiony oficjalności sposób, niczym nieprzypominający powitania w porcie Battisty. Po wymienieniu paru słów, których w rozgwarze bankietu nie dosłyszałem, odeszli na bok.

Było to pierwsze przypomnienie przeszłości mojego ojca z okresu, kiedy mieszkał w Rzymie, zapewne z moją matką, i kiedy był przyjacielem człowieka, który miał zostać potem *ras* Reggio. Nie zobaczyłem już nic więcej, bo Agrippina odciągnęła mnie w cień, a w tamtym czasie nie uchylałem się przed żadnym z jej rozkazów.

Nie widziałem się z Agrippiną ani nazajutrz, ani następnego dnia. Byłem zrozpaczony. I wtedy jej matka zaczęła się na mnie w drodze do portu. Łącząc przebiegłość z siłą, zaatakowała mnie z taką brutalnością jak Hannibal legiony Flaminiusza nad Jeziorem Trazymeńskim. Zanim zdołałem oprzytomnieć, wymierzyła mi jedną ręką uderzenia w oba policzki z wprawą świadczącą wskazującą na znaczne doświadczenie w tej sztuce. Bezskutecznie próbowałem się osłonić, ale ona, cofnąwszy się o krok, wymachiwała mi pięścią, na której dostrzegłem zadawnione ślady po wieloletnim zmywaniu naczyń i praniu w pralni miejskiej. Kiedyś była ładna, ale teraz z dawnego kobiecego uroku pozostały tylko harmonijne rysy zniszczonej twarzy i szczupła figura mimo kilku połogów. Zachowała też piękny głos, kiedy śpiewała. I to wszystko, ponieważ jej ciało przygięło się pod ciężarem twardego codziennego życia ubogich ludzi Mezzogiorno, regionu południowych Włoch, skazanych na zeszpecenie bez drogich zabiegów upiększających. Jak mówiono, trudy życia i upływ czasu nie złagodziły jej władczygo z natury usposobienia, przez co przezywano ją *Ducessa*, ale tylko za jej plecami, gdyż lepiej było nie spotykać się z nią twarzą w twarz. Najpierw lżyła mnie w tutejszym dialekcie, używając wyjątkowo obraźliwych określeń, podważając dobre imię moich przodków aż do wielu pokoleń wstecz. Doszła do mojej matki, której właściwie nie znałem, i do mojego ojca, który na szczęście dla niej zarzucał w tym momencie sieci w towarzystwie Girasolego. Określając związek, z którego się urodziłem, jako kopulację między szczurem i rozpasaną kotką, opisała mnie jako *mostro ibrido*, dziwaczne monstrum mające najgorsze cechy po jednym i po drugim, tym bardziej że — jak sprecyzowała — odnajdywała we mnie prowokacyjne, zuchwałe spojrzenie mojej matki, spojrzenie *gatta puttana*, z którą musiała mieć do czynienia przez całe lata, gdy uczęszczały do tej samej szkoły. Zakończywszy wstępną przemowę, *Ducessa* przeszła do mojej osoby, przepowiadając mi najbliższą przyszłość, która najpierw będzie pełna występków powodujących powszechne potępienie, a skończy się tym, że skuty łańcuchami znajdę się w lochu, samotny, zapomniany przez wszystkich, tęskniący do wyzwolenia, jakie przynosi śmierć. Na tym etapie zrezygnowała z dialektu na rzecz konwencjonalnego języka włoskiego, żeby dobitniej przedstawić mi drugą część mojej przyszłości po śmierci. Gdy przystąpiła do opisu piekielnego, wiecznie płonącego ognia, wykorzystując przerwę, jaką zrobiła dla nabrania oddechu, podniosłem rękę.

— Co do piekła, *signora* Foscari, to wiem, że ono mnie czeka, i dlatego korzystam teraz z życia.

Moje bezczelne słowa spowodowały, że urwał się jej wątek.

— Co chcesz przez to powiedzieć, ty wyrzutku?

— Że nic nie da się zrobić przeciw wyrokowi boskiemu, a ponieważ w tej sytuacji modlitwa nie przyniesie żadnego skutku, trzeba wieść życie możliwie jak najbardziej swobodne, nie licząc się z ludzkimi prawami. Taki jest los dzieci, które Bóg odrzucił i pozbawił swej miłości już w chwili ich narodzin.

Gdy to mówiłem, wpatrywałem się w jej oczy, w których dostrzegłem szalone błyski.

— A moja córka — zasyczała — moja córka, którą zhańbiłeś, co zamierzasz z nią zrobić, ty zakała Włoch?

— Podzielił mój nieszczęsny los, bo jej rodzice odrzucili ją tak, jak Bóg postąpił ze mną.

— Po sekundzie perfidnie dodałem: — Wybuchnie wielki skandal!

Ducessa szybko powiodła wzrokiem dokoła w poszukiwaniu ewentualnego świadka, który mógłby wszystko to usłyszeć, ale nikogo nie było, bo przedtem sama się postarała, żeby

dopaść mnie w jakiejś pustej uliczce.

— Nie zbliżaj się do mojej córki, *maledetto seduttore* — wycodziła powoli z miną Sulli zakazującego Juliuszowi Cezarowi dostępu do wody i ognia.

— Sądzi pani, że posłucham, *signora Foscari*?

Powiedziałem to tym samym co ona tonem, z wyzywającym spojrzeniem.

Westchnęła głęboko. Jej pięść opadła, pojąłem, że składa broń.

— Więcej się z nią nie zobaczysz — rzuciła jednym tchem — ty *figlio della Gatta*.

Po czym odwróciła się i odeszła zmęczonym krokiem kobiet z miasteczka po skończonej pracy.

Tego samego wieczoru, kiedy ojciec poszedł już spać, usłyszałem drapanie w żaluzje. Była to Agrippina. Wspięła się na okno i zwinnie wskoczyła w moje objęcia.

Ktoś na nią doniósł, ale nie wiedziała kto... Matka wymierzyła jej siarczasty policzek, wymyślając od kurwisonów w obecności zachowującego kamienny spokój Foscarięgo, któremu poczucie własnej godności nie pozwalało na użycie siły fizycznej wobec własnej córki. Ducessa obawiała się, że Agrippina jest w ciąży, ale dziewczyna zapewniła ją, że nie. Rodzicielka uznała więc, że nie jest tak źle. Na razie jednak skazano Agrippinę na areszt domowy z zakazem wychodzenia gdziekolwiek.

Po raz kolejny podziwiałem jej odwagę i zdecydowanie. Musiała ubrać się po ciemku, po omacku przejść przez mieszkanie, bezszelestnie otworzyć drzwi i pobiec przez uśpione miasteczko aż do mojego okna. Była to pierwsza noc, którą spędziliśmy razem. Nasza miłość miała teraz nowy posmak — przekroczenia zakazu rodzinnego, ryzyka, że ktoś zauważy, iż Agrippina w nocy wymknęła się z domu.

Wyszła ode mnie o świcie przez okno. W myślach towarzyszyłem jej w drodze powrotnej, mijając niebezpieczne miejsca, gdzie mógł ją zobaczyć przypadkowy przechodzień, zaczepić jakiś szaleniec, aż do chwili, gdy znalazła się we własnym łóżku, do którego musiała trafić w ciemnościach, ufając w mocny sen klanu Foscarięch.

Wróciła następnej nocy, potem następnej i w kolejne dni tygodnia. Chwile spędzane razem z ojcem, kiedy wieczorami siedzieliśmy na werandzie, plecami do domu, twarzą do morza, kiedy cień wulkanu przesuwiał się cicho coraz dalej, stały się jeszcze przyjemniejsze, ponieważ poprzedzały drapanie w żaluzje i pojawienie się Agrippiny.

Nabrałem zwyczaju wychodzenia razem z nią. Przemierzaliśmy plażę pokrytą morskimi wodorostami, wdychaliśmy bardziej intensywny nocą zapach morza, kochaliśmy się przed kąpielą lub po kąpeli, a czasami i przed, i po kąpeli. Rozmawialiśmy... Krótko mówiąc, tego lata zamieniliśmy noce na dni i do tej pory pamiętam jeszcze te chwile, kiedy, bojąc się, aby nie napotkała jakiegoś mordercę lub gwałciciela, odprowadzałem Agrippinę do domu jej rodziców na tonącej w ciemnościach uliczce, przy nikłym świetle, jakie ofiarowywała noc młodym kochankom, dzieląc z nimi wspaniałomyślnie ich tajemnicę.

Potem nadchodził moment, kiedy oparty o ścianę patrzyłem, jak zręcznie podnosi rygiel i pchnąwszy drzwi zdecydowanym ruchem, aby nie zaskrzypiały zawiasy, wślizguje się do środka, posławszy mi przedtem ostatni pocałunek koniuszkami palców.

Odczekiwałem trochę, z niepokojem nasłuchując, czy nie rozlegną się nagle głosy, czy nie zabłyśnie przez żaluzje światło, świadczące o tym, że Agrippina została przyłapana na gorącym uczynku. Ale nic się nie działo. Cisza, ciemności. Agrippina kładła się po cichu z powrotem do łóżka i to już był koniec aż do następnej nocy. Wracałem do siebie, zmęczony, ale szczęśliwy po godzinach spędzonych z Agrippiną mimo przeciwności losu.

Taki tryb życia powodował, że rano miałem podkrążone oczy i z trudem zabierałem się do moich obowiązków. Ojciec zrobił uwagę na ten temat, ale odpowiedziałem mu, że czytam do

późna w nocy. Wziął wtedy do ręki leżący na moim nocnym stoliku egzemplarz *Promessi Sposi* i otworzył w zaznaczonym przeze mnie miejscu. Była to strona dwudziesta trzecia w książce, która liczyła ich ponad sześćset. Nie powiedział nic więcej. Ani ja. Zrozumieliśmy się bez słowa.

W tym czasie przyszedł list z Palermo, gdzie Agrippina miała w październiku rozpocząć naukę w liceum. List powiadał, iż znakomici tamtejsi profesorowie po przyjrzeniu się jej pracom, które ocenili jako doskonałe, przyznają jej stypendium pokrywające całość kosztów łącznie z przejazdem. Stypendium to będzie przedłużane aż do momentu uzyskania przez nią *maturita*.

Następnego dnia dostałem z liceum w Reggio list o takiej samej treści.

Don Leonardo, który wysłał nasze prace i był adresatem tych miłych wiadomości, przyniósł listy do Foscari i do mojego ojca. Zachwycony Foscari pokazał list Battistie, a tym samym całemu miasteczku, w wyniku czego areszt domowy Agrippiny został natychmiast anulowany. Mój ojciec tylko mi pogratulował z kpiącą miną. Karlica Funghina, służąca Don Leonarda, nie omieszkała jednak w pralni miejskiej wygłosić złośliwych komentarzy na temat reżimu, który nagradza za grzechy popełnione wobec Pana. Wywnioskowałem z tego, że to ona jest donosicielką.

Odetchnąłem z ulgą. W sumie to, czego się tak bałem, stało się. Mój romans z Agrippiną został odkryty, ale wbrew moim przewidywaniom nie spowodowało to żadnej katastrofy, dzięki naszym szkolnym wypracowaniom, które w jakimś sensie odkupiły nasz grzech.

Doszedłem więc do przedwczesnego wniosku, że nadchodzące lato nie przyniesie już żadnego zagrożenia.

Znowu zaczęliśmy chodzić do naszej groty.

Od dnia kiedy list dotyczący Agrippiny obiegł miasteczko, dla wszystkich stało się jasne, że ta dziewczyna nie podzieli losu matki, że czeka ją wspaniała przyszłość na kontynencie, prawdopodobnie w szkolnictwie, na koszt państwa; inaczej mówiąc, począwszy od października rodzice już nie będą musieli jej utrzymywać. Foscari pękał z dumy i zachowując wszelkie formy wynikające z hierarchii, zaczął patrzeć z góry na swojego szefa, Battistę. Zachowywał się tak, jakby otrzymał order z rąk samego duce. W tej sytuacji podestak dał do zrozumienia, że przyczynił się do sukcesu Agrippiny, że bez jego interwencji, dyskretnej, ale skutecznej, cudowne stypendium nigdy nie zostałoby jej przyznane.

Foscari nie mógł dowieść, że tak nie było, ale zrozumiał nauczkę i wrócił do swej pokornej postawy, wobec czego Battista przestał rozsiewać fałszywe pogłoski, które umniejszały zasługę Foscariego w spłodzeniu geniusza. Było bowiem naukowo dowiedzione, że w takim przypadku cała zasługa spływa na ojca, że zasługa matki jest bardzo niewielka. Tak przynajmniej on twierdził.

Jeśli nawet Ducessa nie podzielała tej opinii, nie wypowiadała się publicznie na ten temat, podporządkowując się zasadzie, że dobra żona, szczęśliwa w małżeństwie, nie powinna krytykować męża w obecności innych ludzi, gdyż byłoby to znakiem, iż ojciec jej dzieci ją lekceważy. Dlatego też pozwałała sobie tylko na wyrażanie pełnych hipokryzji obaw, że córka będzie żyła z dala od niej, narażona na wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwa.

Kiedy natomiast dowiedziała się, że podobny list dotarł także do mojego ojca, zaczęła patrzeć na mnie laskawszym wzrokiem. Agrippina powiedziała mi, że słyszała nocne rozmowy rodziców, w których ciągle powracało moje imię, że przeszedłem od stanu *pendoglio da forza*¹⁵ do *amichetto*, co miało wydźwięk prawie oficjalny. Ducessa, zapomniawszy zupełnie o siarczastych policzkach, o obelgach i groźbach, miło pozdrawiała mnie na ulicy, pytając, co słyhać u mojego ojca, którego nie widziała przynajmniej od tygodnia, a któregoś razu, przytrzymując mnie za ramię, szepnęła mi do ucha: „*Gattina*¹⁶ także była bardzo dobrą

uczennicą”. Zwróciłem uwagę, że nie użyła już słowa *Gatta*, lecz *Gattina*, które zabrzmiało niemal czule, co mogło świadczyć, że były przyjaciółkami.

Tego wieczoru, przed zapadnięciem nocy, zapytałem znienacka ojca, czy to prawda, że moja matka była w szkole bardzo dobrą uczennicą.

— Kto ci to powiedział? — zdziwił się.

— *Signora Foscari*.

— Wiedziała o tym — odrzekł ojciec. — Zbyt dobrze o tym wiedziała.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Była za dobrą uczennicą — odparł sucho.

Po czym umilkł. Zrozumiałem, że to koniec rozmowy o mojej matce na ten wieczór, zgodnie z porzekadłem powtarzanym na południu Włoch: *L'omu che parra pocu è sapienti*¹⁷.

Nadszedł dzień, w którym odbywały się uroczystości na cześć świętej Mustioli. Patronka naszego miasteczka była córką ubogich rybaków, pełną cnót, pobożną, wyjątkowej czystości ducha i ciała, która nie wyparła się chrześcijańskiej wiary w przeciwieństwie do pozostałych, mniej wytrwałych w wierze obywateli. W wyniku tego pachołkowie Dioklecjana przywiązali Mustiolę do ciężkiej kotwicy i wrzucili do morza. Zaraz potem dały się słyszeć pomruki wulkanu, zagotowała się woda w morzu i przerażeni oprawcy natychmiast się nawrócili, a mieszkańcy miasteczka oddali się aktom pokuty.

Gdy uspokoiły się nadprzyrodzone zjawiska, okazało się, że morze nie daje już ryb. W wyciąganych na powierzchnię sieciach znajdowano jedynie algi, widomy dowód na to, iż gniew boski nie został jeszcze ukojony. Wtedy mieszkańcy naszej wyspy udali się w procesji do sterczącej nad wodami skały, z której strącona została nieszczęsna Mustiola. Ich głośny płacz, błagania, wymieszane z rykiem fal, wzniosły się we wspnianym chórze ku niebu.

Naraz wydarzył się cud — z morza wyskoczyła nagle niczym korek kotwica, wynosząc Mustiolę w nieskazitelnej, idealnie suchej tunicy wydymanej przez wiatr. Dziewczyna machała rękami na znak, że naprawdę żyje. Zaraz też w morzu ponownie pojawiły się ryby, oprawcy stali się propagatorami wiary chrześcijańskiej, a Mustiola nadal wiodła życie naznaczone czystością, poświęcone dla dobra innych. Kilkadziesiąt lat później, kiedy jej sława rozeszła się po całych południowych Włoszech, okrywając wstydem inne wyspy, które nie miały tak czczonych świętych, Bóg powołał ją do raju. Pochowana została w miejscu, gdzie następnie wzniesiono kościół. W czasie pogrzebu z ciała zmarłej, która wyglądała tak jak wtedy, kiedy miała zginąć męczeńską śmiercią, uniosła się cudowna woń i wszyscy zgromadzeni padli na kolana ze łzami w oczach. Oto dlaczego stało się zwyczajem, że w rocznicę tego dnia, kiedy zgodnie z przekazem święta wyłoniła się z morza wraz z uwiązaną do niej kotwicą, obnoszono jej posąg po wszystkich ulicach miasteczka, nie wyłączając portu, żeby zapewnić mieszkańcom boskie przebaczenie i gwarancję pomyślnych połowów.

Było już późne popołudnie. W porze, kiedy powinniśmy opuścić grootę, wrócić do miasteczka, włączyć się w procesję i pokazać się na tradycyjnych uroczystościach, Agrippina zawołała do mnie:

— Carlo, chodź coś zobaczyć!

Wskazała na strumień wody wytryskającej ze skalnej ściany. Ta wartko płynąca, lodowata woda towarzyszyła naszej miłości, gasiła pragnienie, mogliśmy się w niej umyć, była naszą przyjaciółką, a jej strumień ginął gdzieś pod ziemią. Teraz działo się z nią coś dziwnego. Dotknąłem jej czubkami palców. Była gorąca.

— Co się stało?

Nie miałem pojęcia, podobnie jak Agrippina. Sama grota zachowała swój zwykły wygląd. Niewielkich rozmiarów, głęboka na kilkanaście metrów, z niskim wejściem tworzącym jakby tunel, który rozszerzał się w głębi i nagle kończył skalną ścianą. Istniała od wielu wieków, od tysięcy lat i nigdy nic się tu nie działo. Teraz jednak spływająca woda miała czerwonawą barwę, wydzielala lekki zapach siarki, a nad strumieniem unosiła się para.

Pozbierałem nasze rzeczy. Powinniśmy wyjść stąd jak najszybciej. Agrippina rozejrzała się wokoło ostatni raz ze smutnym wyrazem twarzy.

— Być może... — zaczęła.

Urwała. Oboje pomyśleliśmy to samo. Być może już nigdy nie wrócimy do naszej groty. Jeśli Nonno się obudził i grota zniknie... Wziąłem ją za rękę.

— Chodźmy!

Znaleźliśmy się na zewnątrz. Od wulkanu zaczynał dopiero schodzić cień, z zarośli rozlegało się granie świerszczy niczym szelest liści poruszanych morską bryzą. W powietrzu pachniało spalonymi przez słońce trawami, wonnymi dzikimi kwiatami. Była to pora, kiedy wysoko na niebie krążyły drapieżne ptaki, szczebiotały wróble przeskakujące z gałązki na gałązkę. W naszym świecie panował ład i porządek. Wiatr przynosił szmer pieśni religijnych, co kazało nam przyspieszyć kroku. Procesja już się zaczęła.

W tym momencie usłyszeliśmy, że ktoś biegnie za nami. Odwróciliśmy głowy. Był to Girasole, pomocnik rybacki mojego ojca. Zawolałem go. Zatrzymał się i pokazał ręką na szczyt wulkanu, wydając z siebie nieartykułowane dźwięki, co świadczyło o jego wielkim wzburzeniu. Po czym pospiesznie zawrócił. Wzruszyłem ramionami. Girasole znany był z dziwaczного, niezrozumiałego zachowania, z którego nie należało wyciągać zbyt pochopnych wniosków. Jego sylwetka zniknęła za zakrętem drogi. Procesja miała obejść wszystkie ulice miasteczka, nie omijając żadnej z nich, aby nikt z mieszkańców nie został pozbawiony opieki świętej. Przemarsz procesji trwał bardzo długo, z przystankami przed stacjami kalwarii, z przedłużonymi postojami tam, gdzie był ktoś umierający lub miało narodzić się dziecko.

Na czele procesji szedł Don Leonardo, za nim jechał wózek, na którym stał posąg świętej trzymającej kotwicę i kierującej ku chmurom natchniony cudownie wzrok. Dalej szli podestat i jego przyjaciele w towarzystwie członków rady miejskiej. Wszyscy mieszkańcy, a nie brakowało wśród nich nikogo, nawet mojego ojca, który uczestniczył w tej ceremonii nie z powodów religijnych, ale żeby się nie wyróżniać, przemierzali ulice w długim pochodzie, rozmawiając i śpiewając. Ustawiłem się na końcu, z dala od Agrippiny, by nie dać powodów do podejrzeń, mimo tolerancji, z której ostatnio korzystaliśmy. Ona jednak podeszła do mnie z wyrazem niepokoju na twarzy.

— Jak myślisz, czy powinniśmy powiedzieć o gorącej wodzie w grocie?

— W żadnym wypadku. Zaczną nas pytać, co tam robiliśmy.

Skinęła potakująco głową. Nigdzie nie dostrzegłem Girasolego. Pewnie poszedł pić, nie czekając na innych.

Procesja zwolniła. Z daleka słychać było głos Don Leonarda, który zaintonował pieśń *Da noi siate la regina*¹⁸, podjętą przez tłum, w którym dawał się odróżnić wysoki głos Funghiny śpiewającej głośniejsz i silniej od innych. W tym momencie niebo rozjaśniło się szkarłatnym blaskiem odbijanym przez ściany domów, od strony zaś Nonno dobiegło głucho dudnienie.

Procesja stanęła w miejscu. Przez dwie, trzy sekundy nikt się nie poruszył, otwarte usta nie wydały żadnego dźwięku, oczy wszystkich utkwily w jednym i tym samym punkcie. Nagle tłum zafalował i dał się słyszeć jakby krzyk, który natychmiast przeszedł w długi jęk. Mężczyźni, kobiety, starcy, dzieci przytulili się jeden do drugiego w poszukiwaniu ludzkiego ciepła, ochrony przed tym, co zaraz nastąpi.

W jednej chwili odrodził się pradawny strach, strach przed wulkanem, strach ukryty w zakamarkach dusz od wielu pokoleń, przytłumiony znajomą, dobrotliwą sylwetką potwora i żartami, które krążyły na jego temat.

Stało się to jakby dla przypomnienia, że krater nie wystygł całkowicie, że co jakiś czas buchają z niego płomienie ognia, odbijające się teraz w ścianach domów. W takim momencie lepiej było nie zbliżać się do szczytu. Tylko samobójcy, ludzie nieszczęśliwi, mogli bez jednego krzyku rzucić się do jego wnętrza, między olbrzymie ogniste bąble, które pękają, wyzwalając obrzydliwy gaz i sprawiając wrażenie, jakby coś oddychało tam w dole, na dnie krateru.

Procesja rozpadła się. Wszyscy zapragnęli nagle uciec, ale znajdowali się w wąskich, krętych uliczkach, gdy tymczasem pomruki wulkanu i gwałtowne rozbłyski oświetlające fasady

starych domów zapowiadały nadchodzącą katastrofę.

Osamotniona święta została na wózku w towarzystwie jedynie Don Leonarda i Funghiny, która, co było dość dziwne, miała triumfującą minę. Mieszkańcy miasteczka biegali na wszystkie strony, potracając się nawzajem, jedni szukając w panice starych rodziców, dzieci, męża lub tylko bezpieczniejszego miejsca, drudzy krążyli bez wyraźnego celu, z pustką w oczach, mamrocząc modlitwy.

Wtedy rozległ się donośny głos Funghiny ostrzegającej chrześcijan, że Santa Mustiola opuściła ich zniechęcona ciężarem popełnianych przez nich licznych grzechów. Powiadomiony przez nią Pan odwrócił swe oblicze od mieszkańców wyspy, pozwalając, aby zapanowało na niej zło. Wulkan plunął piekielnym ogniem, który przecież nie jest niczym innym, jak jego narzędziem.

Najgorsze było to, że niektórzy stanęli, by jej słuchać. Uformowali krąg wokół niej, a ona tymczasem wgramoliła się na wózek, żegnając się wielokrotnie znakiem krzyża, wykrzywiając twarz w okropnym grymasie, wyśpiewując psalmy. Po czym, gładząc czule głowę świętej, mając tak liczne audytorium, o jakim nie mogła nawet marzyć, rozpoczęła swoją donosicielską przemowę.

Wymieniła po nazwisku po kolei wszystkich tych, którzy nadużyli zaufania świętej. Przy nazwisku każdego człowieka wyjawiała grzechy, o które go oskarżała. Przed jej trybunał powołani zostali złodzieje, próżniacy, bluźniercy, mordercy i przede wszystkim rozpustnicy. Przy każdym nazwisku, przy każdym grzechu podawała numer bożego przykazania, które zostało złamane. Podawała dokładną datę, miejsce, okoliczności potwierdzające przestępstwo, o które oskarżała.

— Oresto Boccaculo, dwunastego sierpnia tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego roku, o godzinie trzeciej po południu ukradłeś w porcie sieci innego rybaka. Ósme przykazanie: Nie kradnij.

Anno Mario Toglietta, piętnastego grudnia tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego roku miałeś stosunek cielesny z Ignaciem Strofinacciem w twoim domu, gdy twój mąż wypłynął w morze na połów. Siódme przykazanie: Nie cudzołóż.

Aldo Bulgarelli, poczyniłeś nieprzyzwoite propozycje Chiarze Caramelli, która zapewne by je przyjęła, gdyby jej dzieci nie wróciły ze szkoły wcześniej, niż się spodziewała. Dziesiąte przykazanie: Nie pożądaj żony bliźniego twego.

I dalej w ten sam sposób...

Sięgała do odległej przeszłości. Słuchając jej, wszyscy pojęli, że dysponowała szczegółową listą popełnionych na wyspie przestępstw, a co ważniejsze, znała tę litanie na pamięć do tego stopnia, że była to raczej recytacja niż zwykły donos. Wszystko to odbywało się w czasie, kiedy Nonno wypluwał z krateru płomień i niebo gorzało od purpurowych blasków. Co jakiś czas robiła przerwę w tej strasznej wyliczance, odwracała się do świętej, by pogłodzić marmurową głowę, z której peruka zsunęła się na bok.

— Santa Mustiola, zmiłuj się nad grzesznikami i wstaw się za nami do Pana.

— Santa Mustiola, módl się za nami — powtórzyli zgromadzeni.

Nagle wulkan przestał wydawać pomruki, zgasły refleksy na niebie, miasteczko ogarnęły ciemności. Zapadła cisza, ale Funghina zamierzała nadal recytować swoją litanie.

— Oddo Bocci, szesnastego czerwca tysiąc dziewięćset dwudziestego siódmego roku...

Podestat Battista przerwał jej stanowczym głosem:

— Zamilknij, stara wariatko, albo każę cię zamknąć!

Don Leonardo dotknął jej ramienia.

— Giuseppino, uspokój się, to był tylko niewielki wybuch i dzięki Bogu, już się skończył.

Służąca donosicielka padła na kolana na wózku do stóp posągu świętej.
— Dziękuję ci, Santa Mustiola, że wysłuchałaś mojej modlitwy i okazałaś miłosierdzie grzesznikom. Będę ci nadal służyć — dodała, rzucając w tłum wymowne spojrzenie.

Nonno, zgodnie ze swoją reputacją, nie wyrządził żadnego zła. Erupcja trwała zaledwie pół godziny. Nazajutrz, rankiem, mieszkańcy miasteczka udali się do podnóży potwora. Chcieli przekonać się, że nic się nie zmieniło w krajobrazie oprócz kilku jeszcze dymiących bloków lawy, która spływała po zboczu wulkanu, zanim została zatrzymana przez naturalne przeszkody. Mimo to podestak zwrócił się z prośbą do władz w Reggio o przysłanie specjalisty, który zbadałby wulkan i powiedział, czy zjawisko to może się powtórzyć.

Przez kilka dni mówiono jeszcze o erupcji wulkanu, a zwłaszcza o nieudanym z tego powodu święcie; mówiono również o Funghinie i jej groźnych złorzeczeniach. Wszyscy zgadzali się, że trzeba się jej wystrzegać, tym bardziej że w obecności kobiet w pralni miejskiej zachowywała się jak ktoś w rodzaju pośredniczki między ludźmi i świętą, jak osoba najbardziej biegła w sprawach wiary, lepsza nawet od Don Leonarda. Po jakimś czasie przestano w ogóle się tym zajmować.

Była pełnia lata, postanowiliśmy więc z Agrippiną odwiedzić znowu grotę, żeby się tam kochać w spokoju i zobaczyć, jak wygląda źródło po wybuchu. Nie zważając na to, że podestak zakazał zbliżania się do wulkanu, dopóki nie zbada go specjalista, na którego wciąż czekano, trzymając się za ręce, wspięliśmy się ścieżkami wyżłobionymi w chropawym zboczu, wśród bloków lawy przypominających o erupcji, na szczyt, gdzie na obrzeżach krateru powstały nowe ostre krawędzie. Wślizgnęliśmy się do wnętrza groty. Źródło płynęło tak jak przedtem, a woda w nim była przejrzysta i zimna. Spróbowałem jej, nie miała już smaku siarki.

— Carlo, chodź, zobacz! — zawołała Agrippina.

Wskazała w głąb groty, gdzie powstałe świeżo rumowisko odsłoniło ciemny otwór, z którego dobywał się cierpki zapach.

Podszedłem bliżej, ale we wnętrzu nie można było nic dostrzec. Zapaliłem jedną, potem drugą zapalkę. Ciąg powietrza z otworu gasił płomień. Agrippina wyszła na zewnątrz i po chwili wróciła z naręczem suchych traw, które związała tak, iż utworzyły pochodnię.

— Musimy tam wejść i zobaczyć — powiedziała stanowczym tonem.

Zapaliłem pochodnię i wszedłem pierwszy do otworu, dając znak, aby nie ruszała się z miejsca. Nic z tego... Agrippinie nie można było niczego zabronić. Przeszedłem mocno zgarbiony kilka kroków czymś w rodzaju korytarza, wyciągając pochodnię przed sobą. Z tyłu słyszałem oddech mojej przyjaciółki i jej niespokojny głos.

— Carlo, uważaj!

Niespodzianie korytarz rozszerzył się. Dotarłem do miejsca, gdzie mogłem się nareszcie wyprostować. Wówczas ujrzałem przed sobą kobiecą postać i orła z rozłożonymi skrzydłami. Krzyknąłem. Agrippina też. W tym momencie pochodnia oparzyła mi palce, rzuciłem ją więc na ziemię, gdzie paląca się wiązka trawy całkiem się rozsypała.

— Co to jest? — zapytała Agrippina.

— Spróbuj jeszcze raz zrobić z tego pochodnię!

Potarła zapalką i trawa się rozpałała. Ponownie pojawił się orzeł i postać kobieca. Nie ruszyli się z miejsca. Zrobiłem krok w ich stronę i z ulgą odetchnąłem. Były to posągi. Na pierwszy rzut oka bardzo stare posągi pokryte pyłem wielu stuleci. Pochodnia znowu zgasła. Agrippina zapaliła kolejną wiązkę trawy. Koniuszkami palców obtarłem z pyłu orła i kobietę. Kobieta przedstawiona była jedynie do połowy, ale orzeł został wyrzeźbiony w całości. Wyglądało na to, że są to posągi z brązu. Oba ustawione były na przełamany w połowie postumencie. Widniał na nim napis. Zdmuchnąłem pył, chcąc go odczytać. Wtedy zgasła trzecia

wiązka.

— Zaraz wracam — rzekła Agrippina.

Wyszła otworem, wspinając się na rumowisko, za którym widoczne było światło dzienne. Po kilku minutach pojawiła się z triumfującą miną, niosąc narecze suchych gałęzi, które znalazła na zewnątrz.

Rozpaliłem ogień, urwałem kilka liści i oczyściłem, jak mogłem najlepiej, orła i kobietę. Odniosłem wrażenie, że kobieta ma fryzurę faraona.

— Co tam jest napisane? — zapytała Agrippina.

Inskrypcja miała tylko jeden wiersz wyryty jakimś ostrzem na postumencie, oprócz tego był rysunek jakby dużego kota.

Przeczytałem napis: *Aquila Balkem vincebit*.

— Jest coś jeszcze pod spodem.

Przysunąłem palącą się gałąź. Napis był w starożytnej grece, której zaczynaliśmy się uczyć. Przeczytałem: *Herofile*.

Serce zabiło mi mocno. Chwyciłem rękę Agrippiny, a ona ścisnęła moje palce.

— Orzeł pokona Balkem, a raczej Balkis, bo forma „Balkem” to *accusativus* trzeciej deklinacji. Kim jednak jest Balkis, a raczej kim była w starożytności?

Przyznałem, że nie mam pojęcia.

— Co ja tu robię z chłopakiem, który nie wie nawet, kim była w starożytności Balkis? — mruknęła Agrippina. — O Herofile też nic nie wiesz, mój niedouczony kochanku?

Zamyśliłem się, gdy tymczasem ogień wygasł i posągi stały się znowu niewidoczne.

— Sądzę, że jest to Sybilla, wieszczka, która przepowiedziała Hekubie, żonie Priama, wojnę trojańską.

Agrippina odetchnęła z ulgą na twarzy, oznaczającą, że nie pomyliła się w wyborze kochanka.

— Sybille, Pytie, one zawsze przebywały w grotach! — powiedziała. — Myślę, że...

— ...że natrafiłszy właśnie na jedną z nich! — dokończyłem za nią.

Po krótkiej dyskusji, wykazując się właściwym dla młodych ludzi brakiem umiejętności przewidywania, postanowiliśmy poinformować Don Leonarda o naszym odkryciu. On zaś od razu wpadł w taki zachwyty, że poprosił Agrippinę i mnie, abyśmy go zaprowadzili do groty. Przed podjęciem wspinaczki na wulkan zostawił nas na kilka chwil, po czym wrócił w cywilnym ubraniu z plecakiem na ramionach, w którym, jak nas zapewnił, umieścił niezbędny sprzęt. Na widok naszej trójki oraz niecodziennego stroju proboszcza Funghina kilka razy się przeżegnała i z tajemniczą miną natychmiast wybiegła, zapewne w tym celu, żeby donieść innym o naszej diabelskiej eskapadzie.

W drodze Don Leonardo wciąż powtarzał:

— Ach, moje dzieci, to, o czym mnie powiadomiliście, jest pasjonujące, niezwykle!

Nie powiedział na głos tego, o czym z pewnością myślał: Nareszcie coś się dzieje na tej wyspie! Idąc za naszymi wskazówkami, przyspieszył kroku tak, iż odnosiliśmy wrażenie, że to on nas prowadzi. Gdy dotarliśmy do groty, zatrzymaliśmy się przed wejściem. Don Leonardo postawił plecak na ziemi. Przyjrzawszy się czarnemu otworowi, odwrócił się do nas i zasugerował, że wejdzie pierwszy, bo może to być niebezpieczne.

— Nie ma żadnego niebezpieczeństwa — odrzekła Agrippina, a ja zdecydowanie potwierdziłem jej słowa ruchem głowy.

Popatrzył na nas z półuśmiechem, ale był na tyle rozsądny, że nie zapytał, dlaczego jesteśmy tacy pewni, zupełnie jakbyśmy doskonale znali to miejsce. Zrobiłem obojętną minę, ale Agrippina zwiesiła głowę niczym skruszona grzesznica.

Don Leonardo pogrzebał w plecaku i wydobyl z niego lampę sztormową, którą zapalił ze zręcznością człowieka nawykłego do tej czynności, oraz aparat fotograficzny z mieszkiem, zaopatrzony w statyw, które mi wręczył. W tym momencie wydał nam się znacznie młodszy niż zazwyczaj, gdyż jego surową twarz rozjaśnił wyraz szczęścia.

— No, dobrze, prowadźcie! — zawołał z miną Juliusza Cezara zachęcającego wieśniaka, jak relacjonują autorzy łacińscy, aby wskazał mu we mgle drogę do Rubikonu.

Chwyciłem lampę i wszedłem do groty, a za mną dwoje moich towarzyszy. Kiedy znalazłszy się we wnętrzu, szykowałem się, żeby precyzyjnie się przez otwór powstały w rumowisku, Don Leonardo poprosił, bym oświetlił kawałki rozkruszonej skały. Wziął jeden z nich do ręki i zdmuchnął z niego pył.

— Moi kochani, to nie skała, lecz fragment muru. Spójrzcie, są ślady cementu.

— Ile lat może mieć ten mur, *padre*? — zapytała Agrippina.

— Nie umiem powiedzieć. W każdym razie jest stary i dosyć gruby. Wiem, że w starożytności budowano z użyciem cementu. Jedyne archeolog mógłby podać bardziej precyzyjne informacje.

Wsunął kawałek gruzu do kieszeni i dał mi znak, bym szedł dalej. W ten sposób znaleźliśmy się w drugiej sali. Sztormowa lampa znacznie lepiej oświetlała orła i postać kobiecą niż niezbyt zręcznie zrobione przez Agrippinę pochodnie. Don Leonardo przysuwał lampę do każdego posągu, by lepiej mu się przyjrzeć, co pozwoliło stwierdzić, że orzeł ma ślady złocen, gdy tymczasem posąg kobiety z fryzurą faraona jest zupełnie czarny. Odczytał inskrypcję, o której mu wspominaliśmy: *Aquila Balkem vincebit*. Odwrócił się do nas z lampą w rękę.

— Kochane dzieci — rzekł z namaszczeniem — dzięki wam przeżywam jedno z najsilniejszych wzruszeń w moim życiu. Chociaż jestem dobrym hellenistą, łacinistą, nie mam jednak wiedzy archeologicznej, do tej pory bowiem pracowałem tylko nad starożytnymi tekstami

z drugiej ręki, jeśli tak można powiedzieć. Tymczasem tutaj...

Przerwał na moment, po czym podjął z pewnym wahaniem w głosie, świadom, jak bardzo ważne jest to, co mówi.

— Znalazłem się w obliczu starożytności w surowej postaci. Co znaczy ten posąg orła i popiersie kobiety stojące jeden obok drugiego? Kto je tutaj umieścił i z jaką intencją? Dlaczego wzniesiono ten mur, który miał je osłaniać przed spojrzeciami śmiertelnych? Czy chodzi o wieszczkę, jak sugerujecie? Czy było to miejsce kultu jakiejś pogańskiej religii?

Znowu zrobił pauzę.

— No i ta inskrypcja: „Orzeł pokona Balkis”. Muszę przyznać, że to imię coś mi przypomina, ale nie umiem tego bliżej określić. Nie dysponuję już dokumentami, do których miałem dostęp przed...

Znowu przerwał, po czym mówił dalej:

— ...przed moim przyjazdem na tę wyspę. Muszę napisać do Rzymu, do przyjaciół, których jeszcze mam w Watykanie. Dowiem się od nich, kim była Balkis. Natomiast to imię wygrawerowane w starożytnej grece — Herofile — wskazuje rzeczywiście na wspomnianą w tekstach wieszczkę, która zapowiedziała Hekubie wybuch wojny trojańskiej i która, jeśli dobrze pamiętam, była znana w starożytności na długo przed Sybillą z Kume.

Popatrzył na nas półprzymkniętym wzrokiem.

— Kręci mi się w głowie. Muszę się opanować. Carlo, pomóż mi! Przygotujmy aparat.

Postawiłem statyw. *Padre* umieścił na nim aparat fotograficzny z magnezją. Nastawił obiektyw i zrobił dwa zdjęcia. Błysk magnezji oświetlił najpierw orła, a następnie kobietę. Po czym opuściliśmy to skalne pomieszczenie. Podałem mu napełniony wodą ze źródła kubek, który przynieśliśmy tu z Agrippiną. Nie pytając nas o pochodzenie wody, wypił ją chciwie.

— Co teraz, *padre*, powinniśmy zrobić?

Don Leonardo oddał kubek Agrippinie, która poszła napełnić go jeszcze raz.

— Kochane dzieci — odrzekł głosem, w którym słychać było podniecenie i niepokój — nie mam pojęcia!

Tego samego wieczoru rada miejska na nadzwyczajnym zebraniu, tajnym ze względu na wagę tematu, chciała usłyszeć od nas, co mamy do powiedzenia w „sprawie groty”.

Na stole leżały powiększone już wcześniej dwa zdjęcia zrobione przez Don Leonarda. Battista oddał nam głos, abyśmy przedstawili „zwięzły, dokładny i szczegółowy raport”, jak nakazywała metoda faszystowska. Jako pierwszy mówiłem ja, następnie Agrippina. Nasz mentor, który na tę okazję włożył z powrotem sutannę, przemawiał ostatni. Foscari, pierwszy zastępca, przybrał minę człowieka znającego się na rzeczy i co jakiś czas, zwłaszcza wtedy, kiedy mówiła jego córka, wydawał okrzyki, które miały znaczyć, iż nie jest wcale zaskoczony jej uczestnictwem w tak doniosłym odkryciu, dając wręcz do zrozumienia, że bez jej obecności nic podobnego nie mogłoby się wydarzyć. Choć jednocześnie rzucał mi aprobujące spojrzenia, nie wiedziałem, czy w ten sposób wyrażał pochwałę dla mojej w tym roli, czy umacniał moją pozycję jako *amichetto* jego córki. Nikt nie zapytał nas, co zamierzaliśmy robić w tej tak dobrze nam znanej grocie. Zdjęcia obeszły stół dokoła i każdy mógł podziwiać orła z rozłożonymi skrzydłami oraz kobietę z egipską fryzurą, a także przeczytać tajemniczą inskrypcję: *Aquila Balkem vincebit*.

— Jest sprawą oczywistą — rzekł na koniec Battista — że dopóki nie dowiemy się, kim była ta Balkis, nie będzie znany sens tego wszystkiego. Jednocześnie jest to być może szansa dla naszej wyspy, że zdobędzie sławę, która rozejdzie się po całych Włoszech.

(Miał ochotę powiedzieć „sława, która pogrzebie wszystkich pozostałych podestatów”, ale przemilczał to).

— Zamierzam — powiedział Don Leonardo — napisać do Rzymu z prośbą o więcej informacji na temat osoby Balkis.

Battista zaaprobował ten zamiar. Dodał, że sam wyśle zdjęcia do swojego przełożonego, Corrada Mataminiego, *ras* Reggio, który oceni, czy należy powiadamiać o tym władze państwowe. Na razie nakazał utrzymanie odkrycia w absolutnej tajemnicy w obawie przed tym, aby jakiś złośliwy dowcipniś — a takich nie brakowało — nie rozpowiedział o tym naokoło i wszystkiego nie zepsuł.

Zebranie zostało zakończone, a jego uczestnicy rozeszli się z konspiracyjnymi minami. Agrippina chwyciła mnie za rękaw.

— Jak myślisz, dobrze zrobiliśmy, że pokazaliśmy naszą grootę?

— Nie mogliśmy tego zachować tylko dla siebie.

— No tak, ale co z nami? Wszyscy już wiedzą o grocie.

— Znajdę inne miejsce.

— No to się pośpiesz, kochany, bo nie mamy już własnego kąta!

Kiedy wróciłem do domu, było już późno. Ojciec popatrzył na mnie spod zmarszczonych brwi.

— Chciałbym wiedzieć, gdzie byłeś, mój synu marnotrawny! — zapytał z zaniepokojoną miną.

— Byłem na zebraniu rady miejskiej — odpowiedziałem, chcąc zrobić na nim wrażenie.

— Zostałeś wybrany na członka? Wyznaczył cię rząd?

Zorientowałem się, że wpadłem we własną pułapkę.

— Agrippina, ja i Don Leonardo opowiadaliśmy o grocie, którą znaleźliśmy.

Na słowo „grota” ojciec podniósł wzrok.

— Grota?... A gdzie znajduje się ta grota?

Zachowałem się jak on, kiedy zapytałem go, gdzie mieszka mama: pokazałem ręką w kierunku wulkanu.

— Tam.

— Na zboczu wulkanu?

— Tak.

Podszedłem do niego, ucałowałem go w szorstki policzek przesiąknięty zapachem morza. Zamierzałem już iść do mojego pokoju, kiedy zatrzymał mnie jego głos.

— A cóż szczególnego jest w tej grocie?

Znowu spróbowałem się wymigać od dokładniejszej odpowiedzi.

— Nic takiego. Grota jak wiele innych.

— Grota, o której zdajecie relację, ty, Agrippina oraz Don Leonardo.

Mówił jak prawdziwy policjant śledczy albo jeszcze gorzej...

— Tak, tato.

Usiadł w fotelu.

— I ja chciałbym o niej usłyszeć, Carlo. Usiądź wygodnie obok i opowiedz pokrótce, aczkolwiek jestem tylko twoim ojcem, a nie członkiem rady miejskiej.

Nigdy przed nim niczego nie ukrywałem oprócz moich randek z Agrippiną, ale przypuszczałem, że wie o nich więcej, niż to okazuje.

Usiadłem naprzeciw ojca. Już dawno zapadły ciemności i dostrzegałem jedynie zarys jego sylwetki na fotelu.

— Nie wiem, od czego zacząć...

— Pomogę ci — odrzekł ojciec wesołym głosem. — Przechadzałeś się z Agrippiną i zupełnie przypadkiem trafiliście na tę grootę...

— No tak.

— Wiedzeni usprawiedliwioną ciekawością postanowiliście ją zwiedzić, chociaż było w niej całkowicie ciemno...

— Zrobiliśmy pochodnie z suchej trawy.

Kiwnął głową ze zrozumieniem.

— Szczęśliwie mieliście przy sobie zapaliki na wypadek, gdybyście trafili na grootę!...

Najwyraźniej kpił sobie ze mnie. Uznałem, że nie będę reagował na te aluzje, tym bardziej że Don Leonardo i inni powstrzymali się od pytań na ten temat. Westchnąłem z rezygnacją.

— Dobra, co chcesz wiedzieć?

Rozłożył ręce.

— O mój niecierpliwy, drażliwy synu, interesuje mnie wszystko to, co *signorina* Foscari i ty we własnej osobie uznaliście za tak ważne, żeby udać się do Don Leonarda i następnie niepokoić naszego podestata Onesima Battistę.

— O mój ojcie o przenikliwym umyśle, jakże mam wyjawić to, co niecałe pół godziny temu zobowiązałem się utrzymać w tajemnicy? — odpowiedziałem, naśladując go.

Roześmiał się.

— Upoważniam cię do wyjawienia mi tej tajemnicy z posiedzenia rady miejskiej. To, co powiesz, nie wyjdzie poza próg tego domu, chociaż masz tak mało zaufania do swojego starego ojca.

Nie był znowu taki stary, sądząc przynajmniej z tego, co mówiły niektóre panie ze spółdzielni rybackiej, które plotkowały na jego temat, wymieniając często imię Pasqualiny, ślicznej kierowniczkini. Udawała ona, że nie widzi, kiedy kradną ryby. Ja z kolei udawałem, że wiem o ojcu mniej, niż w rzeczywistości wiedziałem, dając mu jednocześnie do zrozumienia, że

nie jestem całkowicie ślepy, jeśli chodzi o pewną sferę jego życia, co do której zachowywał niezwykłą dyskrecję.

— Prosisz mnie, mój ojciec, władający rybami, w które obfituje morze wokół naszej wyspy, oraz pewnymi uroczymi osobami, które zajmują się sortowaniem twojej trzepoczącej się zdobyczy...

Zrobiłem tu pauzę, ale on nawet nie drgnął, jakby nie uchwycił mojej delikatnej aluzji.

— ...Tak więc prosisz mnie, abym zdał ci relację...

W tym momencie przerwał mi.

— Możesz zacząć od tego, jak ty i Agrippina znaleźliście w tej grocie coś, co nie powinno się tam znajdować. To, co poprzedzało to odkrycie, nie interesuje mnie.

Oddał cios za cios, ale ja pozostałem niewzruszony.

— Wnętrze grotty zawałiło się wskutek erupcji Nonno. Myślałem, że to była skalna ściana, ale Don Leonardo powiedział nam, że to starożytny mur wzniesiony z użyciem cementu, starożytni bowiem właśnie w ten sposób budowali.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Mur, który się zawalił, choć był wzniesiony metodą stosowaną w starożytności, to bardzo ciekawe! Mów dalej...

Opisałem więc pomieszczenie za tym murem, posąg orła z rozłożonymi skrzydłami oraz kobiety z egipską fryzurą z całkiem czarną twarzą.

— Ten orzeł — powiedział ojciec — przywodzi oczywiście na myśl rzymskie orły, które niesiono na czele legionów, a czy ta kobieta nie może być na przykład Kleopatą?

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

— Inskrypcja na postumencie mówi coś innego.

— Aha, jest więc także jakaś inskrypcja?

Powiedziałem, że napis łaciński brzmi: *Aquila Balkem vincebit*. Następnie wspomniałem o napisanym w języku greckim imieniu Herofile, po czym oznajmiłem mu z pewną fanfaronadą, że moim zdaniem odnosi się ono do wieszczki, która przepowiedziała Hekubie wojnę trojańską.

— Teraz pojmuje — odrzekł na to ojciec — że po dokonaniu takiego odkrycia i po stwierdzeniu jego autentyczności przez Don Leonarda, specjalisty od starożytności, należało poinformować o tym radę miejską.

— Otóż to — odpowiedziałem z wielką powagą. — Don Leonardo, Agrippina i ja zdaliśmy raport o odkryciu, Battista wszystko szczegółowo zanotował z zamiarem poinformowania *ras* Reggio, który zadecyduje, czy należy powiadomić o tym władze w Rzymie.

— Oczywiście Battista nie może tego zatrzymać tylko dla siebie, jeśli chce, żeby wcześniej czy później cała chwała przypadła jemu.

— Moim zdaniem nic nie osiągnie, bo pozostają pewne niewyjaśnione elementy.

— Jakże mianowicie? — zapytał ojciec z dziwnie wesołą miną.

Odpowiedziałem mu, starając się, by nie zabrzmiało to nazbyt uczenie.

— Nikt nie wie, jak traktować słowo „Balkem”. Nie wiadomo nawet, czy jest to imię własne w *accusativie* trzeciej deklinacji, które w pierwszym przypadku brzmiałoby „Balkis”. To imię nikomu nic nie mówi. Don Leonardo poprosi swoich znajomych w Watykanie, by mu wyjaśnili, kim była w starożytności Balkis. Z całą pewnością nie jest to Kleopatra.

— Rozumiem — rzekł ojciec. — A jakie są pozostałe niejasne elementy?

— Na przykład jakieś stworzenie obok kobiety. Przy bliższym przyjrzeniu się można przypuszczać, że jest to kot.

— Koty mają swoje miejsce w kulturze Egiptu. Dziwię się, że Don Leonardo nie wziął tego pod uwagę...

— Bez wątpienia, ale żaden faraon, czy był nim mężczyzna, czy kobieta, nie nazywał się Balkis. Przejrzeliśmy z Don Leonardem listę wszystkich faraonów.

Ojciec podniósł się z fotela. Ucałował mnie, co nie było w jego zwyczaju.

— Dziękuję ci, Carlo, za tę pasjonującą opowieść. Nie powiem o tym nikomu, nawet w naszej spółdzielni. Jeśli uznasz, że możesz, informuj mnie o badaniach Don Leonarda.

Wstałem, żeby odejść do mojego pokoju z uczuciem ulgi, że mu wszystko opowiedziałem. I, gdy już myślałem, że sprawa jest zakończona, zawołał, dobijając mnie kpiącą uwagą:

— Tak na marginesie, Carlo, Don Leonardo nie musi pisać do Rzymu, bo Balkis to imię królowej Saby!

Po sposobie, w jaki mnie zaskoczył, gdy wcale się tego nie spodziewałem, poznałem charakter ojca. Prawdę mówiąc, lepiej bym zrobił, gdybym go otwarcie zapytał o Balkis, ale ja mylnie wyobrażałem sobie, że nie wie on na ten temat więcej niż Don Leonardo, chociaż w trakcie naszych rozmów wiele było sygnałów dowodzących, że ojciec ma solidną wiedzę o kulturze antycznej. Wyglądało na to, że zamiłowanie do przeszłości, podobnie jak swoją działalność polityczną, powiązania z duce i romans z moją matką uznał za sprawę przebrzmiałą. Jednak od czasu do czasu spod tej pokrywy zubożnienia nagle wydobywały się na powierzchnię okruchy przeszłości niczym bąbelki w szklance *prosecco*. Były to jego wyznania w wieczornej porze, przywoływanie znanych nazwisk lub epizodów, o których nic nie wiedziałem, pojawienie się w uniformie faszystowskim, serdeczne powitanie z *ras* Reggio podczas inauguracji *casa del Fascio*... Jakby, będąc obecnie zwykłym rybakiem na tej zagubionej wyspie, nie mógł się powstrzymać od wspomnienia wydarzeń, w których brał udział. Wiedziałem, że nic więcej mi nie powie, choć mogłem przypuszczać, że ma znaczną wiedzę na temat Balkis, królowej Saby, jej romansu z Salomonem i tej egipskiej fryzury. Nie zapytałem go jednak o nic, bo nie powiedziałby mi nic więcej aż do następnej chwili wspomnień, kolejnych bąbelków z jego przeszłości dobywających się na powierzchnię jego osobistego *prosecco*.

Przekazawszy Agrippinie to, co usłyszałem od ojca, że Balkis to królowa Saby, zapytałem ją, czy mamy podać tę informację dalej, czy przemilczeć. Istniał bowiem problem lojalności wobec Don Leonarda, wciągniętego w tę sprawę, który zamierzał napisać do swoich znajomych w Watykanie, jeśli już tego nie zrobił. Agrippina przekonywała mnie, że powinniśmy zachować milczenie w imię tej dyskrecji, jaką mój ojciec zachowywał w sprawie swojej przeszłości. Co wiedział o Balkis i o samej grocie, która, jak się wydawało, nie była mu obca? Dlaczego nie wspomniał o tym wcześniej? Może Balkis, grotą i jego faszystowska przeszłość tworzyły całość, o której nic nie wiemy?

Przyznałem rację jej argumentom, jak robiłem to często, choć nie zawsze. Urzekał mnie ciąg jej myśli, to, co mówiła i co przemilczała. Nie wiadomo jeszcze, czy poinformowanie Don Leonarda oraz rady miejskiej nie przeszkodzi naszym spotkaniom.

Kiedy zastanawialiśmy się nad tym, czyste, przepiękne sierpniowe niebo południa zmieniło się nie do poznania. Ledwie widoczne na horyzoncie nad morzem lekkie mgiełki zaczęły gęstnieć, przesłaniając widok. Wiatr przybrał na sile, szarpiąc grzbiety długich fal w głębi zatoki, gdzieś na obrzeżu Sycylii. Ciężkie chmury pędziły zwartymi kolumnami niczym armia karnych wojowników. Przybladł olśniewający błękit morza, przygasł, zszarzał.

Stopniowo wiatr z hukiem wdzierał się w małe wąskie uliczki — *vicoli* — wzbijając w górę pył i stare papierzyska, szarpiąc bielizną rozwieszoną między oknami, wywołując niemiłe dla ucha postukiwanie okiennic.

Pobiegłem do portu. Łodzie rybackie z mokrymi, niekiedy podartymi żaglami miały latarnię i dobijały do molo. Pytałem ludzi, czy nie widzieli łodzi mojego ojca. Kręcili głowami. Mieli za dużo do roboty, żeby martwić się o innych. Niektórzy musieli zostawić odcięte toporami sieci. Już zastanawiali się, ile trzeba będzie pożyczyć pieniędzy w spółdzielni na zakup nowych. W każdym razie wrócili, a to było najważniejsze, bo tam — pokazywali na morze — huśtało nimi jak rzadko kiedy. Widząc mój niepokój, pocieszali mnie, że Luca Gastaldi ma większą łódź, o wiele solidniejszą, lepiej wyposażoną, z prawie nowym silnikiem.

— A jeśli silnik się zepsuł?! — krzyknąłem.

Zamilkli, potem jeden z nich zwrócił mi uwagę, że przecież ojciec ma żagle, wystarczy

więc, żeby postawił sztaksel, i wróci bez problemu. Poza tym na pokładzie jest Girasole, doskonały pomocnik. No i żeglarskie umiejętności mojego ojca wszystkim były dobrze znane. Nikt tak jak on nie potrafił chwytać wiatru w żagle, halsować na wypiętrzonych falach. A wszystko to z uśmiechem na ustach. Nie bez powodu nazywano go *il domatore delle onde*, pogromcą fal, i wyznaczano go regularnie na *il rais della mattanza* — przywódcę masakry. Tego okrutnego połowu, w którym biorą udział wszystkie łodzie z portu w okresie tarła tuńczyków. Ławice ryb wpadają do ogromnej sieci rozpiętej między powiązаныmi między sobą łodziami. Całą akcją kieruje *rais*. Zerwawszy z głowy beret, zarządza tradycyjne modły.

Un credo o Signuri.

Una Salve Regina a Maronna di Trapani.

Wszyscy odmawiają te modlitwy, kończąc je formułą: *Chi Diu lu facissi*¹⁹.

Na koniec, wkładając na powrót beret, *rais* mówi: *Bon giorno a tutti*.

W tym momencie ludzie zaczynają wyciągać sieć w rytm litanii skandowanej przez *scilomatore*²⁰, adresowanej do *Jesu Cristo*, *Vergine* i *San Giuseppe*, aby osłaniali oni swoją opieką rybaków i dali im obfity połów.

Ludzie ciągną sieci coraz szybciej, aż zaczynają się pojawiać tuńczyki uwięzione w tej *camera della morte*. Mają coraz mniej miejsca w sieci, zaczynają się więc gryźć wzajemnie, szukając na próżno drogi ucieczki. Ludzie krzyczą: *Spara a tunnina!*²¹.

Rais oczekuje jeszcze, aż tuńczyki stracą siły, i dopiero wtedy gwizdem daje znak, że można przystąpić do *mattanzy*, bo tylko on może nakazać tę końcową masakrę. Kilka chwil przedtem ludzie odśpiewują pieśń na cześć *raisa*:

A mari, a tutti vi cumandu io!

Ma stati attenti o testi di cazzini

Ca nderra vi cumanda lu patruni.

(Na morzu, macie mnie wszyscy słuchać!

Słuchajcie uważnie, wy tępe głowy,

Tego, co rozkazuje wam szef).

Na dany gwizdkiem znak mężczyźni w wysokich butach z harpunami i hakami w rękach schodzą do *camera della morte*, żeby dobić tuńczyki. I znowu gwizdkiem *rais* ogłasza koniec masakry. Wówczas rybacy, stojąc w zabarwionej na czerwono wodzie wypełniającej *camera della morte*, zrywają z głów berety i wołają: *E sempre sia luratu un nomu di Jesu!*²².

Tego jednak wieczoru rybacy nie mieli żadnego powodu, by wychwalać Boga.

Im głośniej i więcej mówili, otoczywszy mnie kołem, tym bardziej byłem przekonany, że nie wierzą w ani jedno słowo z tego, co powtarzali. Potem zaczęli pomału rozchodzić się, bąkając jakieś przeprosiny. Sami mieli zobowiązania wobec własnych rodzin, zwłaszcza że tego dnia nie zarobili, ratując swoje łodzie i życie. Zostałem na molo sam. Nadeszła pora, gdy zaczynał zapadać zmrok, pozbawiony jednak zwykłego uroku. Nie widziałem cienia rozchodzącego się od wulkanu. Przed sobą miałem morze. Nie było plusku, cierpko-słodkiego zapachu nocnych fal, słyszałem jedynie ryk morza, ogłuszające wycie wiatru, żałobne poświstywanie i pojękiwanie olinowania na przycumowanych do molo łodziach. Poszedłem do latarni, oparłem się o żelazną poręcz. Śledziłem promień, który oświetlał białe linie fal z grzywami kipiącej piany, wzdymającej się w miarę zbliżania się do brzegu, wciągającej pod siebie jeszcze spokojnie płynącą wodę. W sekundę potem fale zalewały powalone drzewa, słupy słonej wody sięgające szczytu latarni rozbiły się z hukiem o molo.

Usłyszałem za sobą czyjś krzyk. Odwróciłem się. Była to Agrippina. Pochylona, walcząc z wiatrem, trzymając się żelaznej poręczy, posuwała się w moim kierunku. Zrobiłem kilka

kroków do przodu i chwyciłem ją w ramiona. Mówiła szybko, nerwowo. We wszystkich domach w miasteczku dyskutowano o moim ojcu. Mówiono, że Luca wyjdzie z tego, nawet jeśli zepsuł mu się silnik, jeśli został rzucony na mieliznę, jeśli jego łódź rozbiła się o przybrzeżne skały, bo zawsze sobie radził, tak jak wrócił z wojny, jak uniknął gniewu Mussoliniego, gdy go opuścił. Przyszła w tym celu, żeby mi to powiedzieć. Krzyczała, bo w huku wiatru i fal nic bym inaczej nie usłyszał. Ja jednakże wiedziałem, że pod słowami mającymi mi dodać otuchy i odwagi przekazywała mi przesłanie miłości, zwłaszcza gdyby mój ojciec nie wrócił, gdyby jego lodowate ciało z zamkniętymi na wieczność oczami, wciągnięte w głębinę, fala w końcu wyrzuciła na piasek razem z muszlami, murenami i szczątkami jego łodzi.

Sięgnęła do kieszeni w przeciwdeszczowej kurtce i wyjęła z niej duży przedmiot owinięty szarym płótnem. Była to lornetka pana Foscariego przywieziona z Altipiano, gdzie służył podczas wojny. Zabrała ją bez jego wiedzy.

Agrippina nalegała, żebym ją wziął. Lepiej będę mógł obserwować morze, wypatrzeć powrót ojca, zobaczyć żagiel na horyzoncie wylaniający się z fal na dowód jego triumfu. Wziąłem lornetkę, żeby zrobić jej przyjemność. Niewiele przez nią było widać, nawet w świetle latarni, bo szkła pokrywały krople wody. Agrippina przytuliła się do mnie. Puściła poręcz i objęła mnie w pasie. Staliśmy tak oboje jakiś czas, przyciśnięci do latarni, na wskroś przemoczeni, podając sobie na zmianę lornetkę, usiłując dokładniej badać powierzchnię wzburzonego morza. Czasami wydawało nam się, że dostrzegamy coś, co przypomina żagiel lub maszt, lecz była to jedynie plama piany na grzywach wody. Zaczynaliśmy więc od nowa śledzenie morza, przesuwając wzrok za promieniem światła latarni.

Znowu rozległ się czyjś krzyk. Tym razem był to Foscari. Przyszedł po córkę, nie mając żadnych wątpliwości, gdzie może ją znaleźć. Stał przez chwilę z nami. Powiedział Agrippinie, by wracała do domu, bo nic nie pomoże jej czuwanie przy latarni, a ona tylko się przeziębi albo porwie ją fala. Przyznałem mu rację i także prosiłem Agrippinę, aby wróciła z ojcem do domu, ponieważ w przeciwieństwie do mnie nie musiała tutaj zostawać.

— Zatrzymaj lornetkę, Carlo — powiedział pan Foscari. — Oddasz mi ją jutro.

Zostałem sam, tylko częściowo osłonięty przez latarnię. Pomyślałem, że to ostatni dowód oddania, jaki jestem winien ojcu — stałem tu przyciśnięty do latarni, wpatrzony w morze, on gdzieś tam może jeszcze walczy o to, żeby utrzymać łódź na falach, a może już kona na dnie. W tej sekundzie naszła mnie straszliwa myśl, że czeka mnie samotność, że rano będę musiał wrócić sam do domu zbudowanego przez naszego przodka garybaldczyka. Przerażony taką perspektywą modliłem się nawet do Santa Mustioli, ale nie doczekałem się żadnej odpowiedzi. Znowu czyjś cień przy żelaznej poręczy. Ktoś zbliżał się w moim kierunku. Pochylona sylwetka zmagająca się z wiatrem. Była to Pasqualina, ta, która przewodziła kobietom w spółdzielni, która wyznaczała cenę, dawała kredyt i odwracała wzrok, kiedy kradłem ryby. To o niej wspominały kobiety, plotkując o moim ojcu. Zachowała jeszcze ślady dawnej nieprzeciętnej urody. Jej mąż zginął w Caporetto i jego imię znajdowało się na pomniku bohaterów wojennych. Niektórzy, jak mówiono, pragnęli go zastąpić i proponowali jej nawet małżeństwo. Ona jednak nie chciała o tym słyszeć, twierdząc, że czuje się bardzo dobrze bez mężczyzny w domu, mieszkając z synem urodzonym miesiąc po śmierci ojca, mając pracę w spółdzielni rybackiej, która ją bardzo absorbuje.

— Podaj mi lornetkę, Carlo.

Wzięła ją ode mnie i zaczęła badać morze, a raczej to, co się dawało na nim zobaczyć.

— Co ty tutaj robisz, Pasqualino?

Nie odpowiedziała. Chciałem powtórzyć pytanie, ale tylko wzruszyłem ramionami.

Zresztą byłem bardzo zadowolony z jej obecności. Ogarnęło mnie ogromne zmęczenie.

Osunąłem się na ziemię i usiadłem, opierając się o latarnię. Chciałem się podnieść, ale ona położyła mi rękę na ramieniu.

— Siedź, Carlo. Teraz moja kolej na czuwanie.

Zasnąłem. Śniło mi się, że ojciec wrócił, stojąc na kotwicy łodzi tak jak Santa Mustiola; śniło mi się, że jego ciało pływa pod falami tam, gdzie morze się wygładza. Obudziłem się. Pasqualina chwiała się oparta o latarnię. Szal osłaniający jej włosy mokry był od bryzgów piany smagającej jej twarz, od fal rozbijających się o molo. Powiedziałem, żeby oddała mi lornetkę i wróciła do domu albo usiadła na moim miejscu pod osłoną latarni. Posłuchała mnie. Teraz ja przejąłem wartę, a ona, przykucnąwszy, usnęła. Mijały godziny. Nic nie zapowiadało, żeby wiatr chciał się uciszyć. Wręcz przeciwnie, odniosłem wrażenie, że wieje ze zdwojoną siłą, że fale wznoszą się coraz wyżej, zakrywając horyzont w promieniu światła latarni. Pasqualina wstała. Powiedziała, że ujrzała we śnie męża, który pochwałał ją za to, że stoi ze mną na warcie przy latarni.

Nadszedł *albeggiamento*, jak określano to w mądrych książkach dedykowanych mojemu ojcu, pora, która poprzedza świt. Przypomniało mi się, że była to pora, której ojciec bardzo nie lubił, ponieważ o takiej godzinie rozstrzeliwano dezertersów lub tych, którzy poprzedniego dnia nie chcieli iść do szturmów. On zaś był kapitanem i musiał dowodzić plutonem egzekucyjnym. Przyprawiano nieszczęśników, sadzano ich okraciem na krzesłach, z rękami przywiązanymi do oparcia, tyłem do karabinów jak zdrajców. A on, który spędził noc, próbując ich upić, podczas gdy ksiądz namawiał ich do poddania się losowi, wydawał komendę: salwa, ognia. Potem, żeby się tak nie męczyli, dobijał ich z pistoletu strzałem nad uchem. Często jeszcze tego samego dnia — bo widok egzekucji miał wpłynąć mobilizująco na ludzi — trzeba było iść do ataku. Ludzie pili ten sam alkohol co skazańcy. Pili, by z zamroczonych umysłów usunąć myśl o bliskiej śmierci. On zaś tym samym pistoletem, którym skracał męczarnie skazańców, strzelał w powietrze, kiedy duża wskazówka na jego zegarku dochodziła do liczby dwanaście, dając tym sygnał do ataku na Austro-Węgry, dowodzonych przez von Hötendorfa. Wszystko to działo się w dolinie Adygi lub nad Isonzo, w czasie sześciu bitew, wiosną 1915 czy 1916 roku, których skutkiem było zdobycie Gorycji — jedyne zwycięstwo generalissimusa Cadorny.

Potem było Caporetto, druga ofensywa von Hötendorfa. Zaczął ją jak ekspedycję karną, *Strafexpedition*, tym razem przy wsparciu Niemców, którym w przypływie głupoty wypowiedzieliśmy wojnę, aby się przypodobać aliantom. Zakończyło się to doszczętnym rozbiciem naszych piętnastu dywizji. Była to totalna klęska. Uciekali wszyscy, ludzie, konie, ciężarówki, ścigani przez austro-niemieckie wojska. Jeszcze osiemnaście lat później ojciec wstydził się za Caporetto, chociaż znajdował się w oddziałach, które podjęły walkę na nowo nad rzeką Piave i pod Asiago, gdy Diaz zastąpił Cadornę, a potem szedł w paradzie zwycięstwa na Vittorio Veneto.

Tak więc wtedy, kiedy u boku Pasqualiny wypatrywałem jego powrotu, gdy oboje obserwowaliśmy morze oświetlone pierwszym blaskiem świtu, powiedziałem sobie w duchu, że jesteśmy jak mój ojciec i jego ludzie w momencie, gdy wdrapywali się na przedpiersia okopów, gdzie zamiast fal mieli przed sobą oddziały austro-niemieckie dowodzone przez von Hötendorfa, które zamierzały powtórzyć Caporetto. I dlatego musimy tu stać, dopóki nie uzyskamy pewności.

Robiło się jasno i niepotrzebne nam już było sztuczne światło, żeby śledzić hordy z północy, które pod postacią fal atakowały latarnię. Nie widzieliśmy jednak nic. Wrocie wojska zwartymi szeregami przybiegały od strony horyzontu, zachęcane przenikliwym wyciem wiatru, hukiem załamujących się fal, zastępującym wojskowe werble.

Ojciec opowiadał mi, że po wojnie nie spełniono żadnej z wcześniej danych obietnic —

ani rozdziału ziemi, czego spodziewali się *braccianti*²³, ani rozdziału nowych terytoriów, których podbicie posłużyło za pretekst, aby przekonać Włochów do włączenia się do konfliktu, który nie dotyczył ich wcale, a w którym kwiat młodzieży padł skoszony austriackimi karabinami maszynowymi. Oficerowie tacy jak on musieli zdjąć mundury, żeby w niektórych dzielnicach dużych miast nie obrzucono ich obelgami i nie zerwano z piersi orderów przy życzliwym wsparciu polityków, którzy debatowali w parlamencie, oraz *pescicani*²⁴, którzy wzbogacili się na wojnie. Wtedy przedstawiono mu niejakiego Benita Mussoliniego, człowieka, którego tak szanował i podziwiał, że jako jeden z pierwszych znalazł się w *Fasci di combattimento*²⁵.

Dalszy ciąg jest dosyć niejasny, jednakże ojciec stał u boku swego mistrza, kiedy ten w Neapolu wołał do czterdziestu tysięcy czarnych koszul: „Nie zamierzamy sprzedawać naszego świętego prawa do dominacji za miskę soczewicy. To my jesteśmy Państwem”.

Dwudziestego dziewiątego października 1922 roku, po udanym marszu na Rzym, był wśród najbliższych zaufanych ludzi, którzy towarzyszyli Mussoliniemu w pociągu, kiedy na wezwanie króla wyjechał z Medoliano i udał się do Rzymu, by stanąć na czele rządu. O powodach, które doprowadziły do zerwania między nimi, wiem niewiele. Miały one związek z pewną osobą, którą ojciec nazywał *il povero Matteotti*²⁶. Właśnie ta sprawa stała się przyczyną ich rozstania.

Nie mam żadnych wspomnień z tamtego okresu, chociaż byłem w pewnym sensie świadkiem tych wydarzeń, ponieważ mieszkaliśmy wówczas w Rzymie, a ojciec był deputowanym, o czym świadczą książki z dedykacjami dla *l'Onorevole Luca Gastaldi*. Była także z nami matka, ale pamiętam jedynie jej wyniosłą, chmurną sylwetkę, zapach perfum i może głos, który słyszałem niekiedy nocą w moich snach, ale po przebudzeniu nie byłem pewny, czy rzeczywiście do niej należał.

W miarę jak robiło się coraz jaśniej na morzu, w którym być może pogrzebane zostały ciała mojego ojca i Girasolego, jak również ich łódź rozbita przez fale, na molo przybywali mieszkańcy miasteczka. Przyszli tam rybacy, ich żony, robotnicy ze spółdzielni, Don Leonardo i nawet Battista ze swoimi zastępcami. Stanęli w pewnej odległości, nie podchodząc do żelaznej poręczy nie z obawy, iż zostaną porwani przez fale, ale powodowani jakby powściągliwością i powagą chwili, która wymagała, żebyśmy oboje z Pasqualiną byli sami w tym oczekiwaniu na coraz mniej prawdopodobny powrót.

Rozległa się śpiewana dialektem pieśń. Tą pieśnią rybacy z wysp zwracali się do morza, modląc się, aby dało im sieci pełne ryb i ocaliło ich życie. Ta pieśń wzruszyła mnie i zarazem zmroziła. Wykonywano ją w miasteczku podczas świąt, lecz również wtedy, kiedy wynoszono na ląd ciało jakiegoś rybaka w obecności wszystkich mieszkańców. Czasami trumna była pusta, morze bowiem nie oddało ciała, lecz tylko wyrzucone na brzeg szczątki rozbitej łodzi. Wkładano te szczątki do trumny zamiast zwłok, żeby rodzina i przyjaciele mogli zebrać się przy grobie. Ponad innymi wybijał się głos Ducussy, śpiewającej solo, z pamięci, niektóre fragmenty, wykonywane zazwyczaj przez kobiety, które modliły się do *le padru mari*²⁷, żeby nie zabierał im mężów, ojców rodzin ani nikogo z miasteczka. Śpiewała czysto, ze wzruszającym zaangażowaniem, a pozostali ludzie podejmowali chórem refren. Przed całą tą grupą klęczała na ziemi Funghina, pogrążona w modlitwie.

Agrippina oderwała się od zebranych ludzi, wbiegła na molo, gdzie omal nie poślizgnęła się na deskach zmoczonych przez przelewającą się w obie strony wodę. Chwyła lornetkę i sekundę potem wskazała palcem.

— Tam! — krzyknęła. — Biały punkt. Przed chwilą go zobaczyłam!

Oddała mi lornetkę. Początkowo nic nie widziałem, ale potem, wpatrując się usilnie w grzywy fal, dostrzegłem biały punkt, który zniknął i pojawiał się za każdym razem coraz bliżej.

Pasqualina też chciała popatrzeć. Agrippina i ja pokazywaliśmy rękami ten sam kierunek. W gromadce na nabrzeżu nastąpiło poruszenie. Pieśń urwała się, Funghina podniosła się z kolan. W lornetce widać było zbliżający się biały punkt na odległym horyzoncie. Był to czubek żagla, zapewne wciągnięty na maszt fok. Wszyscy skupili się na molo, ryzykując, że wpadną do wody. Ktoś krzyknął:

— Łódź Luki!

To nie mógł być nikt inny, to musiał być on. Gdy wyniosła go w górę fala, dostrzeżono dach kabiny. Walczył z wiatrem, który znowu się zerwał i wiał w przeciwnym kierunku. Po sekundzie żagiel został ściągnięty niżej, bo inaczej nie dałoby się płynąć. Wiatr znowu zakręcił. Łódź obróciła się w kierunku na pełne morze. Sunęła coraz szybciej, kpiła sobie z burzy. Znowu rozległa się pieśń, lecz tym razem dodawała odwagi, wyrażała solidarność, nadzieję.

Godzinę później łódź ojca defilowała przed molo. Żagiel był zerwany, poszarpany fok trzepotał o maszt, ale Girasole wymachiwał pustą butelką, a mój ojciec, *il domatore delle onde, il rais della mattanza*, stał przy sterze, wyprostowany, niewzruszony, tak jak wtedy, gdy wraz ze swymi ludźmi maszerował na Vittorio Veneto.

Ojciec spał cały dzień, podobnie jak ja. Kiedy się obudziłem, zapadał wieczorny zmierzch. Po burzy pozostały na niebie strzępy chmur, resztki pokonanej armii, która uciekła w rozsypce na północ. Ojciec dołączył do mnie. Jeszcze się nie ogolił i w jego brodzie były białe smugi, zostawione, jak mi powiedział, przez morską sól z rozpryskujących się fal. Spoglądaliśmy na morze, którego powierzchnia nie była jeszcze całkiem spokojna, choć wiatr znacznie osłabł. Fale krzyżowały się ze sobą, wzajemnie się raniły, zachodziły na siebie, przywodząc na myśl twarz z rysami ściągniętymi gniewem, którego przyczyna już minęła, ale ślad po nim został. Plaża robiła wrażenie, jakby się cofnęła, gromadząc drobne kamyki, podczas gdy zalewająca brzeg fala wydrążyła na piasku zagłębienia.

Usłyszeliśmy, że ktoś nadchodzi. Była to Pasqualina. Przyniosła półmisek osłonięty serwetką. Nakryłem stół na trzy osoby, a ojciec przyniósł butelkę wina, która nie pochodziła z jego winnicy. Kupił ją kiedyś w Palermo, nie pamiętał z jakiej okazji. Pasqualina wstawiła półmisek do odgrzania. Krążyła po domu spokojnym krokiem. Wzięła szczotkę i oczyściła miejsce, gdzie wieczorami siadywaliśmy razem z ojcem twarzą do morza, wyczekując tak ulubionej przez nas chwili nadejścia nocy. Jakby we właściwy dla niektórych kobiet, tajemniczy sposób domyśliła się, że było ono dla nas bardzo ważne.

Kiedy poprzedniego dnia ojciec po przycumowaniu łodzi zszedł na nabrzeże, długo się obejmowaliśmy. Pasqualina została z tyłu, zamierzając dołączyć do grupy stojących tam ludzi. Ojciec jednak podszedł do niej. Jej twarz i przemoczone na wskroś ubranie nosiły ślady nocy spędzonej u stóp latarni. Lornetka Foscariego kołysała się na jej piersi. I tam ojciec wzięła ją w ramiona na oczach całego miasteczka, w obecności Battisty, Don Leonarda i nawet Funghiny, której wargi mamrotały jakieś zaklęcia. A ona, wdowa po bohaterze spod Caporetto, skłoniła głowę na jego ramieniu, podczas gdy on poprawiał jej szal i czule gładził mokre włosy tak zwykłym, tak naturalnym gestem, iż widać było, że robił to nie pierwszy raz.

Znowu dał się słyszeć odgłos czyichś kroków. Tym razem była to Agrippina. Rodzice pozwolili jej pójść do nas i dowiedzieć się, jak się czuje mój ojciec, dając jej tym samym okazję do spotkania ze mną wieczorem, chociaż nie było to żadne święto. Dostałem talerz i sztucce. Pasqualina przyniosła cztery kieliszki. Piliśmy sycylijskie wino kupione kiedyś przez ojca na jakąś okazję, do której wówczas nie doszło...

Kiedy wiatr nieoczekiwanie zaczął przybierać na sile i kiedy morze zaczęło się burzyć, ojciec chciał zakończyć opróżnianie sieci do ładowni, by nie wyrzucić ryb z powrotem do morza. Jego motor, jak nam opowiadał, pracował dobrze i z pewnością dopłynąłby bezpiecznie z powrotem do portu, podobnie jak inne łodzie, gdyby na rufę nie wdarła się niezwykle wysoka fala, która załapała wszystko łącznie z osłoną silnika i świecami, wskutek czego motor stanął. Ojciec widział tę nadchodzącą z daleka falę. Miał czas, żeby jej się dobrze przyjrzeć. Opisał ją jako coś w rodzaju szarego potwora ze słonej wody, z białą grzywą piany, z bladawymi zygzakami pojawiającymi się na grzbiecie, w miarę jak się zbliżał, wydymając się, nabierając wysokości i siły, rozbijając inne fale, które chwycił i wchłaniał, by się nimi pożywić. Potem ta ogromna fala zaczęła się załamywać, tworząc zagłębienia, w które wpadła łódź. Chociaż mój ojciec, *il domatore delle onde*, usiłował opóźnić moment wdarcia się wody na łódź, chociaż maksymalnie zwiększył obroty silnika, próbując płynąć na ukos, co oddaliłoby go od paszczy straszliwego potwora, nie zdołał uniknąć tego, że część fali wtargnęła na tylny pokład, załapała silnik i dostała się do ładowni.

Trwało to całą noc. Girasole opróżniał ładownię z wody, wyrzucając nawet ryby, żeby

zmniejszyć ciężar łodzi, nad którą ojciec panował z coraz większym trudem, gdyż ster przestawał go słuchać. Trzeba było postawić fok. Zaczął przywiązywać go linką do masztu, podczas gdy Girasole, solidnie już pijany, śpiewał jedną z pieśni, które zazwyczaj śpiewa się na morzu, a także przy kieliszku. Łodzią tak kołysało, iż igła kompasu wciąż zmieniała położenie, i nie wiedział, gdzie się znajduje, a do tego silny wiatr ciągle zmieniał kierunek. Dopiero około północy udało mu się postawić fok, dzięki czemu mógł utrzymać kurs łodzi na fali. Girasole, rozwalony w kabinie, chrapał w najlepsze.

— W końcu — rzekł ojciec — dostrzegłem na wybrzeżu Sycylii miejsce, które rozpoznałem, co pozwoliło mi zorientować się, gdzie się znajduję...

Ojciec snuł swoją opowieść, my zaś kończyliśmy jeść paszteciki rybne przyniesione przez Pasqualinę. Agrippina głaskała mnie delikatnie po ramieniu, a Pasqualina słuchała ojca z wyrazem uwielbienia na twarzy. Ten wieczór, gdy słuchałem kojącego, szorstkiego głosu ojca przeżywającego na nowo straszliwe chwile, kiedy tymczasem zrobiło się już zupełnie ciemno i morze z wolna się uspokajało, pozostanie na zawsze najszcześniejszym ze wszystkich moich wspomnień.

Gdy sztorm minął już całkowicie, Południe znowu przypomniało o swoim klimacie — bezchmurne niebo, prażące słońce, bezlitosny skwar i ciche nieruchome morze bez jednej zmarszczki na powierzchni.

Ponieważ nie było wiatru, na morze wypłynęły jedynie łodzie zaopatrzone w silniki. Ich dzioby pruły wodę bez najmniejszych wstrząsów, jakby płynęły po oleistej powierzchni jeziora. Warkot dieslowskich silników i głosy rozmawiających na łodziach ludzi słychać było jeszcze długo po tym, kiedy minęły latarnię.

Nie mieliśmy żadnych wiadomości z rady miejskiej ani od Don Leonarda, który zapewne czekał wciąż na odpowiedź w sprawie Balkis od swoich przyjaciół w Watykanie. A może przeżywał znowu duchowy kryzys, co niekiedy mu się zdarzało. Zaszywał się wtedy w kościele lub na plebanii, żeby w samotności błagać jeszcze raz o przebaczenie za grzechy, za które zesłano go w ramach pokuty na naszą wyspę. Te poufne informacje zdradzała w miejskiej pralni Funghina, dając przy tym do zrozumienia, że otrzymała je bezpośrednio od Santa Mustioli, z którą była w bardzo dobrych stosunkach od czasu, kiedy modlitwami wyprosiła u niej przerwanie erupcji Nonno i szczęśliwy powrót mojego ojca.

Zacząłem znowu spotykać się z Agrippiną. Ponieważ nie znaleźliśmy innego miejsca i Balkis przestała kogokolwiek interesować, chodziliśmy do naszej groty. Agrippina wyraziła opinię, że skoro posągi znajdują się tutaj od starożytnych czasów, nasza obecność im nie zaszkodzi, a jej też wcale w niczym nie przeszkadzają.

Lato było w pełni, liczyliśmy dni dzielące nas od rozstania. Jedno z nas miało jechać do Reggio w Kalabrii, drugie do Palermo. A kiedy już przyjdzie czas — nie wiedzieliśmy kiedy i gdzie — będziemy mogli się znowu spotykać z taką samą swobodą.

Agrippina przeżywała od czasu do czasu chwile niepokoju. Bała się ślepego zrzędzenia losu. Starła się wszystko zorganizować, wszystko przewidzieć, ale jednocześnie zdawała sobie sprawę, że nie jest w stanie przeciwstawić się tajemnym mgłom przyszłości, które być może już nas spowijały. Nawet jej własne imię wydawało się jej złowróżbne, sądząc z tego, czego dowiedzieliśmy się na lekcjach o antyku.

— Agrypina Starsza — przypominała — szczęśliwa żona Germanika, wybitnego wodza Cesarstwa, ewentualnego kandydata do tronu, straciła nagle swego męża, bez wątplenia otrutego na rozkaz Tyberiusza. Niedługo potem została zesłana na wyspę, gdzie spotkał ją tragiczny koniec, a przecież wcześniej nic nie zapowiadało takiego obrotu zdarzeń.

Zamilkła, a ja, nie chcąc się z nią sprzeczać, zmuszałem się, żeby razem z nią rozmyślać nad wyrokami losu. Ona zaś wracała do tematu, tym razem do Agrypiny Młodszej, córki Agrypiny Starszej.

— Pomyśl tylko — mówiła z drzeniem w głosie — musiała oddać się swojemu bratu Kaliguli, który sypiał ze wszystkimi siostrami, potem poślubiła Klaudiusza i otrzymała tytuł Augusty. Nie ulega wątpliwości, że kazała go zabić, ale zrobiła to, żeby jej syn Neron mógł zostać cesarzem, bo taki był cel jej życia. A później to właśnie Neron wydał rozkaz temu imbecylovi... Jak on się nazywał?

— Anicetus.

— Właśnie, temu dowódcy floty w Misenum rozkazał zamordować własną matkę, ponieważ jej nie ufał.

— Może nie było to takie złe.

— Milcz!

Chwyciła mnie za ramię.

— Zastanów się, zabić własną matkę, cesarzową, kobietę, której wszystko zawdzięczał, kobietę najpotężniejszą w Cesarstwie.

— Miała za dużo władzy, była intrygantką...

— Milcz. Imię, które noszę, jest przeklęte. Wydaje mi się, że jestem inteligentna, szczęśliwa, piękna, a tymczasem może w cieniu...

Teraz to ja kazałem jej milczeć. Tłumaczyłem, że nic nam nie grozi, że jesteśmy za młodzi, za silni, żeby coś mogło nam się stać. Ponieważ nadal się upierała przy swoim, usiłowałem ją przekonać, że jesteśmy chronieni, że przyszłość będzie dla nas tak życzliwa jak ta grotka, która osłaniała naszą miłość i dawała nam schronienie. Gorąco ją zapewniałem, że nic złego nie może nas spotkać.

Mylilem się.

Kiedy usiłuję odtworzyć w pamięci bieg wydarzeń, a zwłaszcza to, od czego się wszystko zaczęło, robię to z pewnym wahaniem. Z dawnych wydarzeń zapamiętujemy te, które miały dla nas jakieś znaczenie, a to, co było pomiędzy nimi, zaciera się. Tak więc i ja z trudem przypominam sobie, co działo się między naszymi rozmowami, w których Agrippina przeczuwała bliskie nieszczęście, a tym, co się rzeczywiście stało. Zauważyłem, że intensywne wspomnienia związane z głosem, z obrazami przenikają się wzajemnie i wydaje się nam, że następują jedne po drugich, podczas gdy tak naprawdę dzieli je duży odstęp czasu, po którym nie pozostał żaden ślad. Z pewnością dlatego, że był to czas szczęśliwy, a szczęście uzmysławiamy sobie dopiero wtedy, kiedy już minęło.

To, o czym zamierzam opowiedzieć, miało miejsce w sierpniu, latem 1935 roku, jakiś czas po burzy. Zaczęliśmy znowu chodzić do groty, ciesząc się, że możemy z niej korzystać. O Balkis i jej orle jakby wszyscy zapomnieli.

Wydarzyło się to, jak mi się wydaje, nie, jestem raczej tego pewny, pod koniec pewnego popołudnia, kiedy cień wulkanu pojawił się u wejścia do groty. Agrippinie zrobiło się zimno, ponieważ oboje byliśmy nadzy. Szykowałem się, żeby ją czymś przykryć, kiedy usłyszeliśmy oschły głos:

— Lepiej się ubierzcie, za mną idzie tłum ludzi.

W wejściu do groty stała jakaś kobieta. Jej twarzy nie było widać pod światło. Jasne spodnie, bluzka i gęste krótkie włosy okalające głowę.

Zerwałem się na równe nogi. Byłem wściekły. Agrippina z głupim uśmieszkiem w milczeniu zaczęła się ubierać.

— Kim pani jest?

— Marta Ricovacci z Faszystowskiego Instytutu Badań nad Rzymskim Antykiem.

Wciąż ten sam oschły głos z akcentem z Rzymu, z północy, bo dla nas to była północ.

— Pospieszcie się, nadchodzą!

Usłyszeliśmy szelest krzaków i głosy ludzi. Poznałem głos Don Leonarda. Pojawił się pierwszy, za nim szedł Battista i wiele innych osób. Ciężko dyszeli, spoceni, wymachiwali aparatami fotograficznymi.

— Kim są ci młodzi ludzie? — zapytała ich kobieta.

— To oni właśnie za pośrednictwem Don Leonarda powiadomili nas o tej grocie, którą odkryli podczas spaceru — odrzekł skwapliwie Battista.

— Podczas spaceru... — powiedziała kobieta tonem, który wydał mi się raczej wesoły i który nie pasował do jej władczych manier sprzed chwili.

W dalszym ciągu stała w wejściu do groty. Pozostali skupili się, nie ośmielając się zajrzeć do środka.

— No dobrze — powiedziała Marta Ricovacci. — Ponieważ jesteście tymi, którzy, w terminologii archeologicznej, dokonali tego odkrycia, czyńcie honory domu. Pokażcie nam drogę.

Weszli do groty, udając, że nie dostrzegają koców rozłożonych na ziemi, ogniska, które jeszcze się tliło, sprzętu kuchennego, słowem, wszystkiego, co świadczyło, że grotka jest naszym zakątkiem. Battista spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

— Pani dyrektor Ricovacci przyjechała dziś po południu z Rzymu, o czym uprzedziła nas telegramem. Ci panowie to dziennikarze. Zaraz po przyjeździe pani dyrektor chciała osobiście przekonać się, co jest warte to odkrycie, które poruszyło mieszkańców.

Dziennikarze zaczęli się uśmiechać. Wyglądało na to, że zgadzają się z panią Ricovacci. Wszyscy robili wrażenie naprawdę podekscytowanych, lecz pełnych szacunku. Ktoś zapalił latarkę.

— Przypuszczam, że posągi znajdują się za tym murem — odezwała się dyrektorka Ricovacci.

— Droga Marto, chodzi o mur antyczny, który zawalił się podczas ostatniego wybuchu naszego wulkanu w ubiegłym miesiącu — pospieszył wyjaśnić Battista pochlebczym tonem, jakby usprawiedliwiał się za erupcję, która nie była przewidziana w faszystowskim programie.

Dyrektorka Ricovacci podniosła z ziemi kawałek muru i obejrzała go w świetle latarki.

— Czy to mur z czasów starożytnych, nie wiadomo, ale nie ma to znaczenia. Nie przyjechałam tutaj z powodu jakiegoś muru. Chodźmy więc, młoda paro, idźcie przodem, jeśli nie jest to niebezpieczne.

Znowu mówiła tym swoim ironicznym tonem. Nie mieliśmy wyboru. Wzięłam latarkę i z Agrippiną, idącą w moje ślady, zagłębiłem się w dziurę. Pozostali utworzyli orszak, na którego czele szła dyrektorka Ricovacci. Znaleźliśmy się w drugiej sali, gdzie zrobiło się trochę ciasno. Don Leonardo wysunął się do przodu.

— Pani dyrektor, oto krypta, która być może była miejscem starożytnego kultu, o czym świadczy obecność tych dwóch posągów.

Zabłyśły kolejne latarki, rzucając światło na orła z rozłożonymi skrzydłami i kobietę z egipską fryzurą.

— „Orzeł pokona Balkis” — przetłumaczyła pani dyrektor z obojętną miną. — Inaczej mówiąc, królową Saby.

Don Leonardo wydał okrzyk, po czym zamilkł zawstydzony.

— Panowie dziennikarze — podjęła pani dyrektor Ricovacci — imię Balkis sięga odległych czasów starożytnych. Rządziła królestwem czy też cesarstwem, które obejmowało mniej więcej tereny dzisiejszego Jemenu, a przede wszystkim Abisynii. — Przerwała na chwilę, jakby coś sobie przypominała, po czym powiedziała przyciszonym głosem: — Ludy Jemenu nazywały ją Balkama, Grecy, którzy ją dobrze znali, nadali jej imię Kasjopeja, a Abisyńczycy — Makeda. Jednak jej najstarsze imię, najbardziej znane, chociaż pozostał po nim ślad jedynie w Koranie, brzmi Balkis...

Mówiła coraz ciszej, prawie szeptem, a uwodzicielski dźwięk jej głosu wywierał na słuchaczach niesamowite wrażenie.

— Balkis, panowie — ciągnęła — była faraonką, bo Abisyńczycy dużo wcześniej przyjęli tradycje egipskie. Była faraonką rasy czarnej, wystarczy zeszkrobać pył nagromadzony na tym posągu, który, jak mi się wydaje, jest zrobiony z drewna (gestem potwierdziła swoje słowa), żeby przekonać się, że to oryginalny kolor tej statui, która przetrwała stulecia. Według mojego oszacowania ma nie mniej niż trzy tysiące lat, ponieważ Balkis złożyła wizytę Salomonowi w dziesiątym wieku przed Chrystusem. Mamy oto przed sobą — powiedziała z triumfem w głosie — posąg kobiety, której potomkiem mieni się aktualny cesarz Abisynii, Hajle Sellasje.

Dziennikarze nagrodzili jej słowa oklaskami. Don Leonardo, Battista, Agrippina i ja także poszliśmy w ich ślady.

— A to imię napisane po grecku „Herofile”, co oznacza? — zapytał ktoś z obecnych w gromadzie.

Dyrektorka Ricovacci odpowiedziała swym czarującym głosem, na którego dźwięk ponownie się wzruszyłem.

— Herofile była wieszczką, najstarszą ze wszystkich, obdarzona była darem przepowiadania przyszłości.

— Herofile przepowiedziała Hekubie, żonie Priama, wojnę o Troję i jej upadek! — zawołałem.

Pani Ricovacci odwróciła się w moim kierunku, gdy tymczasem Agrippina gromiła mnie spojrzeniem swych czarnych oczu.

— Widzę, że ten młody człowiek jest nie tylko odkrywcą starożytności, lecz także ma niemałą wiedzę, której mu szczerze gratuluje.

Z twarzą nadal w cieniu podeszła i pocałowała mnie.

Znałem te perfumy.

— Proszę państwa — mówiła dalej — wieszczki przebywały zazwyczaj w miejscach położonych najbliżej świata podziemnego, co tłumaczy, dlaczego ich posągi zawsze ustawiane były w grotach na zboczach wulkanów. Stąd najpewniej czerpały swoje natchnienie.

— Czy można przetłumaczyć zdanie *Aquila Balkem vincebit* jako prorocstwo oznaczające, że „Rzym pokona Abisynię”? — zapytał jeden z dziennikarzy.

— Ciekawa uwaga — odpowiedziała pani dyrektor Ricovacci — że to ważne odkrycie może mieć odniesienie do czasów obecnych, kiedy wiemy już, jaka jest sytuacja międzynarodowa. Jednak, panowie, nie moją rolą jest komentowanie wydarzeń, w które tak mocno zaangażował się duce. To raczej wasza rola, jako że jesteście przedstawicielami wolnej prasy w wolnym kraju.

Znowu w grocie rozległy się oklaski. Dziennikarze poprosili panią dyrektor, aby ustawiła się przed posągami. W grocie zabłyśły flesze i wtedy po raz pierwszy zobaczyłem ukrytą dotąd w cieniu twarz pani Ricovacci. Zadrżałem, Agrippina także. Ścisnęła moją rękę. Nagle wyszło mi w ustach.

Wszyscy opuścili grootę i zaczęli schodzić do miasteczka. Kiedy dyrektorka Ricovacci przechodziła obok mnie, uśmiechnęła się i pogładziła mnie po policzku, po czym szybko dołączyła do dziennikarzy, Battisty i Don Leonarda, którzy, czekając na nią, ustawili się w szpaler. Słysząc było jej głos, jak rozprawia gdzieś na przedzie grupy o Balkis, jak również o hrabim Ciano, o którym wiedziałem tylko tyle, że jest ważną osobistością w rządzie.

— Jeśli ta kobieta, do której jesteś tak podobny, to twoja matka — powiedziała Agrippina kwaśnym tonem, który często przechodził u niej potem w złośliwy — to nie można powiedzieć, żeby otworzyła przed tobą ramiona.

— Chyba że mnie nie poznała — odrzekłem z pewnym rozczarowaniem. Zauważyłem, że nie była tak wzruszona jak ja.

Agrippina roześmiała się drwiąco.

— Doskonale wiedziała, że jesteś Carlo Gastaldi, syn Luki Gastaldiego, rybaka z tej wyspy, niegdyś ważnej figury w rządzie. Battista wszystko jej powiedział. Zresztą on ją rozpoznał, bo zwrócił się do niej po imieniu.

— Wiem o mojej matce tylko tyle, że tutaj się urodziła. Twoja matka poznała ją w szkole, do której uczęszczał również mój ojciec. Nauczycielka dała mi jej piórniki, w którym wyryte było jego imię. Dostała go przy rozdaniu nagród w tysiąc dziewięćset ósmym roku.

Agrippina pokręciła głową.

— Nie znam tutaj nikogo o nazwisku Ricovacci.

— Może pochodziła z innej wyspy. W tamtym czasie była tylko jedna szkoła i dzieci z innych wysp w tygodniu nocowały w niej.

— Jeśli to twoja matka, dlaczego nie nosi nazwiska twojego ojca? — nie ustępowała Agrippina.

— Może nigdy się nie pobrali... Na moim akcie urodzenia widnieje tylko nazwisko ojca.

Agrippina miała nieprzeniknioną twarz.

— Podobieństwo jest, ale może tylko mamy takie wrażenie. — Zrobiła nacisk na słowo „może”. — Bywają ludzie, którzy z wyglądu wydają się należeć do jakiejś rodziny, a w rzeczywistości nie ma między nimi żadnego pokrewieństwa.

Odpowiedziałem, że kiedy pani Ricovacci zaczęła mówić o Balkis, zmieniła ton, a ja go rozpoznałem. To był głos, który słyszałem, kiedy byłem małym dzieckiem, głos, który wracał do mnie czasami w snach. I jeszcze te perfumy...

— Faktem jest — przerwała mi Agrippina — że zawsze marzyłeś o tym, żeby mieć matkę, więc dlaczego nie może to być ona?

Wyczuwałem zbliżającą się sprzeczkę, ale tym razem byłem gotów.

— Faktem jest — odrzekłem, wypuszczając jej rękę — że nie życzysz sobie innej kobiety w moim życiu, nawet gdyby miała to być moja matka.

Milczała. Widziałem, że poczuła się dotknięta. Kiedy na zakręcie drogi ukazało się miasteczko, wzięła mnie znowu za rękę

— To prawda, co powiedziałeś. Dla mnie jest bardzo wygodnie, że nie masz matki. Lubię Pasqualinę i będę zadowolona, jeśli to ona w przyszłości, podczas naszego ślubu wprowadzi cię do kościoła.

Przytuliła się do mnie. Pochód przed nami docierał do pierwszych domów miasteczka. Przy molo stał morski kuter.

— W każdym razie — mówiła dalej Agrippina pewnym tonem, jakby chciała przekonać

samą siebie — jeśli to twoja matka, to nie chciała cię poznać. Wyjedzie stąd i nigdy więcej jej nie zobaczymy.

Bez wątpienia miała rację.

Poszliśmy za dyrektorką Ricovacci i jej świtą zmierzającą do portu. Rybacy po wyładowaniu ryb szli w odwrotnym kierunku. Pasqualina w gumowym fartuchu, z notesem w ręku, liczyła skrzynki, podczas gdy stojący przy wadze kierownik spółdzielni ogłaszał wagę każdej kategorii ryb.

W tym momencie zobaczyłem ojca. Stojąc do mnie tyłem, rozmawiał z innymi rybakami. Potem mieli pójść na szklaneczkę do trattorii Battisty. Ktoś musiał go uprzedzić, bo nagle odwrócił się i znalazł się twarzą w twarz z Martą Ricovacci.

Ona natychmiast zatrzymała się i dłuższą chwilę stali tak przed sobą bez ruchu, on w rybackim ubraniu, z rozpiętą koszulą, lśniący od potu, ona w białych spodniach i białej bluzce według ostatniej mody z Rzymu lub Capri. On śmierdzący rybami, ona pachnąca perfumami. Stali tak w milczeniu kilka sekund, oboje, jak mi się wydało, wstrząśnięci, oszołomieni.

Marta Ricovacci powiedziała kilka słów do towarzyszących jej dziennikarzy, którzy natychmiast się oddalili. Battista chwycił za ramię Don Leonarda i dając znak rybakom, powiódł ich do baru, zapowiadając, że stawia kolejkę. Ojciec i Marta Ricovacci nadal bez słowa patrzyli na siebie, po czym oboje zrobili krok do przodu i ucałowali się dwa razy w policzki. Z tyłu Pasqualina podniosła wzrok znad notesu i przerwała liczenie.

— Twój syn stoi za tobą — powiedział ojciec.

— Wiedziałam, że to on, wiedziałam od razu, gdy doszłam do groty — odpowiedziała Marta Ricovacci.

Dyrektorka Faszystowskiego Instytutu Badań nad Rzymskim Antykiem, moja matka, nie odpłynęła statkiem tego wieczoru. Postanowiła przemocować w *casa del Fascio*, gdzie przygotowano pokój dla specjalnych gości. Przewodniczyła tam nawet ważnemu zebraniu, w którym wzięli udział Battista, jego ludzie i sam Matamini, *ras* Reggio, przybyły specjalnie na tę okazję. Dowiedziałem się o tym od Agrippiny, która usłyszała to od matki, a ta z kolei od pana Foscarięgo, gdy przyszedł do domu po swoją farbowaną na czarno ślubną koszulę.

— Na pewno wyjedzie jutro — powiedziała Agrippina z nadzieją w głosie.

Nic nie wiedziałem na ten temat. Gdy tylko zostałem jej publicznie przedstawiony, zaraz odeszła ze słowami: „Ciao, Carlo, jeszcze się zobaczymy!”.

Gdzie, kiedy? Byłem zdezorientowany. Chciałem, żeby wyjechała na zawsze, ale pragnąłem także usłyszeć ją, mówić do niej... Co jednak miałbym jej powiedzieć? Że mi jej brakowało? Była to prawda i zarazem nieprawda. Śniłem o niej, lecz tak naprawdę nie cierpiełem z powodu jej nieobecności, bo jej właściwie nie znałem i w gruncie rzeczy doskonale urządziłem sobie życie bez niej. Jednocześnie umierałem z ciekawości. Co się z nią działo po rozstaniu z ojcem? W jaki sposób znalazła się na tak eksponowanym stanowisku? I jaka w tym wszystkim była rola mojego ojca?

Powitał mnie z szerokim uśmiechem, który pojawiał się na jego twarzy, gdy coś go dręczyło.

— Nie zostałeś z Martą?

— Ma zebranie w *casa del Fascio*.

Objął mnie, po czym dał mi kuksańca w bok. To był jego sposób na wyrażenie swojej solidarności. Potem usiadł w fotelu przed domem, z widokiem na morze, a ja do niego dołączyłem.

— Co ona robiła w grocie z tymi dziennikarzami? — zapytał z dziwnym uśmiechem na twarzy.

— Chciała zobaczyć posągi. Zrobiła wszystkim wykład na temat królowej Saby.

Ojciec pokiwał głową.

— Mogłem się tego domyślić. Chciała się popisać przed przedstawicielami prasy. Jest znawczynią antyku, wiem coś o tym. Gdyby nie to...

— Co chcesz powiedzieć? Że nadal bylibyście razem?

— Może. Twoja matka jest wyjątkową osobą. Przypuszczam, że to stanowisko, niewątpliwie ważne, jest tylko etapem na drodze do kariery, jaką chce zrobić. To kobieta, która uwielbia mieć władzę nad innymi. To jej narkotyk. Poświęciła temu wszystko.

— Łącznie z tobą?

Zaśmiał się krótko i zmierzwił mi włosy swą grubą dłonią rybaka.

— Tak, łącznie ze mną. Kiedy musiała wybrać, nie wahała się długo, spodziewałem się zresztą tego. Nie byliśmy małżeństwem. Była wolna, a ja stałem się dla niej trochę niewygodny, gdy wypadłem z łask duce. Zostałem spisany na straty. — Przerwał na chwilę. — Nie starała się temu zapobiec — powiedział z goryczą w głosie.

Pierwszy raz mówił mi o niej tak dużo.

— A ja, czy ja także jej przeszkadzałem?

Nie odpowiedział od razu. Szukał w myślach właściwych słów.

— Trudno powiedzieć, Carlo. Nikt nie wiedział o twoim istnieniu. Matka urodziła cię w klinice prywatnej, gdzie przyjęto ją pod innym nazwiskiem. Wysyłano tam dziewczyny

z dobrych rodzin, które nie mogły poddać się zabiegowi usunięcia ciąży. To Mussolini dał nam adres tej kliniki. Zapłacił nawet za pobyt w niej. W tamtym czasie zrobiłby dla mnie wszystko, podobnie jak ja dla niego. Twoja matka była wyjątkowo błyskotliwą kobietą, bardzo cenioną na salonach. — Cedził słowa przerywane chwilami ciszy, westchnieniami. — To była doktryna, w którą wierzyliśmy wszyscy, ja jeszcze bardziej niż ona. Nie należy mieć jej tego za złe. — Zamilkł na chwilę. — Byłeś dzieckiem miłości, miłość minęła, w każdym razie okazała się niewystarczająca. Wydawaliśmy wszystko, nie myśląc o oszczędzaniu. — Zaśmiał się krótko. — Poznałem ją tutaj, na wyspie, w szkole. Razem spędziliśmy dzieciństwo. Po wojnie to ja poprosiłem ją, żeby do mnie przyjechała, a ona nie wahała się ani chwili. Dołączyła do mnie, nie zważając na wywołany tym skandal, mieszkaliśmy razem w Mediolanie, należeliśmy do najbliższego otoczenia Mussoliniego skupionego wokół „Popolo d’Italia”. Potem podążyliśmy za nim do Rzymu. Przyszłość zapowiadała się wspaniale. — Zamilkł na dłużej niż poprzednio. — Potem miało miejsce zabójstwo Matteottiego i inne wydarzenia o tym samym charakterze, z którymi nie mogłem się pogodzić. — Znowu umilkł, pokręcił głową. — Nie należy jednak mieć tego za złe twojej matce. Wiedziała, że jesteś ze mną bezpieczny. Może cierpiała po rozstaniu z nami, ale nigdy nie pokazała tego po sobie. Nie miała dzieci z mężem.

— Wyszła za mąż?

— Jest wdową. — Znów się zaśmiał. — Ernesto Ricovacci był bogatym przemysłowcem z Wenecji, bardzo dobrze widzianym w sferach rządowych. Miał zostać *ras* Werony, ale zginął w katastrofie samolotowej. W otoczeniu Mussoliniego trzeba było umieć prowadzić samolot. Taka była moda, nowa forma rycerskości... Z tego co mi mówiono, to ona została jego spadkobierczynią.

— Co teraz będzie?

Wstał z fotela. Powiedział już dość.

— Trzeba iść spać, Carlo. Jutro wypływam wcześniej rano i zapewne, kiedy wrócę, twoja matka zdąży już opuścić wyspę. Ma zdjęcia, na których jej zależało, a my będziemy musieli o niej zapomnieć.

Nie starczyło mu odwagi, żeby dodać: „Tak jak ona zapomniała o nas”.

Nazajutrz Agrippina czekała na mnie w pobliżu przystani. Drżała. Chwyła mnie za rękę i odprowadziła na bok.

— Ona dzisiaj nie wyjedzie. Ojciec wrócił wczoraj późno wieczorem i wszystko opowiedział mamie, która na niego czekała. Ich rozmowę usłyszał przez przepierzenie mój młodszy brat i dokładnie mi powtórzył. — Agrippina ścisnęła moją rękę. — Twoja matka czeka na innych dziennikarzy, nie tylko włoskich, ale z różnych krajów, Francuzów, Anglików, ma przyjechać nawet jeden Amerykanin. Chcą zorganizować całą ceremonię z tymi posągami. Będzie to w kronice filmowej i być może przyjedzie sam hrabia Ciano.

— Co z tego?

Agrippina zrobiła oburzoną minę. Puściła moją rękę i odwróciła się do mnie plecami.

— Wprowadza zamieszanie w nasze życie. Nie ma już po co chodzić do grotty. Zresztą wysłała tam karabinierów, którzy mają pilnować, by nikt nie ukradł posągów! — Spojrzała na mnie i po chwili z wahaniem dodała: — Naszych posągów. Ale jest jeszcze coś. Zapytała, kim jestem. Zastanawiam się, po co jej to było. Ojciec odpowiedział: „To moja córka”, i wiesz, co wtedy usłyszała?

— Co takiego?

— Powiedziała mu: „Gratuluje panu, to przyjaciółka mojego syna i wygląda na to, że jest im ze sobą bardzo dobrze”. Ojciec nie wiedział, gdzie ma się skryć, bo mówiła to publicznie.

Zwróciłem Agrippinie uwagę, że chodziło o oficjalne zebranie w prywatnym miejscu.

— Takie sprawy nie na długo pozostają prywatnymi. Dziś rano rozprawiano już o tym w całym miasteczku — odrzekła rozdrażniona.

Odpowiedziałem jej, że moim zdaniem nic się takiego nie stało, bo i tak wiedziano o tym wcześniej.

— Żaden ojciec nie lubi słyszeć, że jego szesnastoletnia córka ma już przyjaciela, nawet jeśli wcześniej o tym wiedział, nawet jeśli wiedzieli o tym wszyscy, nie wyłączając Funghiny.

Czarująca była z tą hipokryzją. Nikt inny bardziej niż Agrippina nie kpiał z opinii miasteczka, jak również z opinii rodziców. Gdy tak mówiła z tym wzruszająco udawanym oburzeniem, patrzyłem na nią z zachwytem. Mówiła jeszcze jakiś czas w podobnym tonie, a ja coraz bardziej ją podziwiałem. Kiedy już skończyła, powiedziałem, że wydaje mi się, iż cokolwiek zrobiłaby moja matka, nie znalazłaby uznania w jej oczach.

— To prawda — przyznała z wyzywającą miną. — Zirytował mnie jej sposób bycia, nawet wtedy, kiedy zrobiła wykład na temat królowej Saby tym uniżonym dziennikarzom, wykład z pewnością przygotowany jeszcze na statku. Jej sposób ubierania się, sposób wyrażania, to pełen słodyczy, to autorytatywny, nie wspominając już o gorącym powitaniu z synem, którego porzuciła, gdy zaczynał dopiero mówić...

— Nie znasz jej! — przerwałem Agrippinie.

— Ty także jej nie znasz! — odparowała błyskawicznie.

Opowiedziałem jej więc wszystko, co usłyszałem poprzedniego wieczoru od ojca, o ich życiu w Mediolanie, potem w Rzymie, o ukrywanej ciąży, następnie o sprawie Matteottiego, o niełasce, w jaką popadł ojciec, o naszym powrocie na wyspę.

Słuchała mnie, kiwając głową. Od czasu do czasu przerywała mi, mówiąc: „Widzisz sam, Carlo, sam widzisz”.

Kiedy skończyłem, znowu stała się cudowną Agrippiną z oczyma wilgotnymi ze wzruszenia.

— Nic z tego, co usłyszałam, nie zdziwiło mnie. Przeczuwałam to, czego nie wiedziałam. To uwodzicielka. Dziś rano ojciec mówił w domu tylko o niej. Miał pełne usta tej „Gatta”, jak orzekła moja matka. No i wyszedł, nie pijąc nawet kawy, bo matka chciała go bić.

Aż drgnąłem.

— Bić?

— Tak, czasami go bije, kiedy na to zasługuje, ale dyskretnie, żeby nie dowiedzieli się o tym sąsiedzi i nie zepsuli mu opinii.

Agrippina najwyraźniej nie była tym zachwycona.

Ponieważ był to dzień, kiedy pomagała matce w pralni miejskiej, ucałowała mnie i odchodząc, rzuciła:

— Uważaj, Carlo, bo ja także będę cię bić, jeśli na to zasłużysz!

Poszedłem do portu, aby razem z innymi chłopcami sortować ryby biedniejszych rybaków, którzy wrócili już z połowu. Ci bogatsi mieli łodzie wyposażone w silniki i wracali później. Pasqualina sprawdzała, ważyła i zapisywała w swoim notesie, ile kto złowił. Podeszła do mnie.

— Czy ona wyjechała? — zapytała przez zęby.

— Nie.

— Czy wiesz, kiedy wyjedzie?

— Jeszcze nie teraz, ponieważ z powodu tych posągów ma się odbyć specjalna ceremonia.

— Czy widziała się z twoim ojcem? — zapytała, nachylając się do mojego ucha.

— Nie. Wczoraj wieczorem był ze mną w domu, a dziś rankiem wypłynęli obaj z Girasolem. Wypróbują silnik.

Pasqualina westchnęła. Spojrzałem na nią. Wyglądała na bardzo udręczoną. Powiedziała, że nie mogła zasnąć tej nocy, bo myślała ciągle o tym, że ona zabierze ojca i razem wyjadą. Staralem się ją uspokoić, tłumacząc, że ojciec doskonale wie, jaka jest Marta Ricovacci. Jednocześnie przypomniałem sobie, że próbowałem ją usprawiedliwić, ale tego Pasqualinie nie powiedziałem. Kiedy zakończyło się sortowanie ryb, dziewczyny ze spółdzielni potoczyły pełne wózki do chłodni. Pasqualina zamknęła notes. Zostaliśmy sami na nabrzeżu.

— A gdzie ona teraz jest? — zapytała znowu.

— Przypuszczam, że w Fascio. Tam zamieszkała.

Pasqualina pokiwała głową, spoglądając na morze, choć było jeszcze za wcześnie na powrót łodzi z silnikami. Przeprosiła mnie, że rozmawia ze mną o swoich osobistych sprawach związanych z moim ojcem, ale w miasteczku nie ma nikogo innego, komu mogłaby się zwierzyć. Powiedziała, że Gatta była zawsze kobietą gotową na wszystko, o czym się przekonano, kiedy postanowiła wyjechać z wyspy i żyć z moim ojcem w Mediolanie przez parę lat po wojnie. Nie wahała się ani przez chwilę. Jej rodzice, starsi już ludzie, prosili ją, by poczekała, zastanowiła się, nie wyjeżdżała, bo może ich już więcej nie zobaczyć. Odpowiedziała im, że to jej życie i że nie będzie miała innego. Zdążyła już wtedy ukończyć z doskonałym wynikiem studia na uniwersytecie i była to dla niej szansa, żeby wyjechać do Medoliano i dołączyć do mojego ojca, a nie zostawać na wyspie, gdzie skończyłaby jako żona rybaka z kupą dzieciaków na głowie.

— Może i miała rację — powiedziała Pasqualina. — W tamtym czasie byłam już wdową z jednym synem, skazana na pracę w spółdzielni. Zazdrościłam twojej matce, kiedy wyjechała, żeby wieść inne życie, drwiąc sobie ze skandalu. Nie interesował mnie żaden mężczyzna w miasteczku, ale miałam syna. Gatta pisywała do rodziców bardzo rzadko. Jej listy czytał im proboszcz i on także na nie odpowiadał. Wysyłała im pieniądze, których zresztą nie potrzebowali, bo nie mieli na co wydawać. Odkładali na konto na pocztę, mówiąc, że córka podejmie je, jeśli wróci któregoś dnia, albo posłużą na koszty ich pogrzebu, żeby nikogo tym nie obarczać. Dopiero wtedy, kiedy poczta zwróciła jej wysłane pieniądze, Gatta dowiedziała się, że rodzice zmarli jedno po drugim w ciągu kilku dni i że miesiąc wcześniej zostali już pochowani. Potem któregoś dnia wrócił na wyspę twój ojciec. Kupił łódź i zgłosił się do spółdzielni. To ja go wpisywałam.

Pasqualina umilkła. Uśmiechnęła się. Klepnęła mnie po ramieniu, tak jak to robią między sobą rybacy, następnie wróciła do budynku spółdzielni, żeby przepisać swoje notatki do grubej księgi i wszystko dokładnie podliczyć.

W tym momencie odwróciłem się i zobaczyłem matkę. Szła w moim kierunku. Ubrana była w zwykłą sukienkę jak tutejsza dziewczyna z miasteczka, która nie musi obnosić się ze swoją urodą. Ucałowała mnie w oba policzki, tak jak się to robiło w naszym miasteczku. Znowu poczułem zapach perfum, ten, który rozpoznałem w grocie, tych samych perfum, których używała, kiedy byłem dzieckiem, kiedy całowała mnie w domu w Rzymie, gdy szykowała się do wyjścia.

— Carlo, wiedziałam, że cię tutaj znajdę — powiedziała i biorąc mnie pod ramię, poprosiła: — Oprowadź mnie po moim miasteczku.

W rzeczywistości to ona mnie prowadziła. Upał już zelżał i trzymając się pod rękę, szliśmy przez *vicoli*, place, portyki, które, jak zauważyłem, znała tak samo dobrze jak ja, a może i lepiej. Znała ich nazwy, recytowała z pamięci inskrypcje na każdym sanktuarium. Wymawiając te wszystkie słowa, stopniowo traciła akcent, którym nasiąkała w Mediolanie lub Rzymie. Była to pora, kiedy kobiety wychodziły na próg domów, żeby porozmawiać o wszystkim i o niczym — *l'ora di parlare*, jak mówiono, bo dobrze jest zakończyć dzień taką pogawędką. Matka zatrzymywała się przed uchylonymi drzwiami, gdzie wisały kotary, skąd wołano do niej: *Gatta! Vieni qui!*

Były to kobiety, które znała z czasów szkolnych, które powychodziły za mąż i żyły w cieniu ubogich uliczek naszego miasteczka. Całowały matkę, jakby rozstały się z nią poprzedniego dnia, a ona odpowiadała im w ten sam sposób i ku mojemu zdumieniu już po chwili porzuciła swój wytworny język włoski z miasta, mówiąc miejscowym dialektem z takim samym ożywieniem, z taką samą werwą jak jej dawne koleżanki szkolne, ze swobodą, jakby nie było w ogóle tych wszystkich lat po wojnie, kiedy się nie widziały. Mówiły sobie po imieniu lub używając przydomków i matka nie obrażała się, gdy nazywano ją Gatta lub Gattina. Ona również nie zapomniła ich przydomków, śmiała się głośno, robiąc aluzje do wspólnie przeżytych zdarzeń w czasach, kiedy siedziały w tych samych ławkach i spotykały się z tymi samymi chłopakami. Po jakimś czasie jej koleżanki poślubiły tych chłopców, którzy zostali rybakami, urodziły dzieci, przytyły. Ja zaś byłem szczęśliwy, słysząc, jak mówi dialektem, widząc, jak jest piękna i młoda w porównaniu z jej rówieśniczkami. Nie przeszkadzało im to jednocześnie wypowiadać pod adresem mojej matki wulgarnych uwag, a ona odpowiadała na to nie mniej dosadnie. Kiedy któraś z kobiet powiedziała, że nie została *duttureddu*²⁸, jak jej przepowiadano, usłyszałem, jak odparowała:

— *Cu avi dinari e amicizia teni 'nculu il governo*²⁹.

Po czym wybuchnęły śmiechem, którym rozbrzmiała ulica. Kobiety pytały, jak się jej żyje, czy to prawda, że spotyka się z ważnymi osobistościami, takimi jak hrabia Ciano i Mussolini.

Matka odpowiadała jakimś dowcipem, żeby je rozśmieszyć, a ja domyśliłem się, że był to sposób na to, żeby nic nie powiedzieć. Kiedy zostaliśmy sami, zapytałem ją, dlaczego nie przyznała się przed swymi dawnymi przyjaciółkami do tego, że obraca się w najlepszym środowisku w stolicy.

— Ponieważ pozostały nadal moimi przyjaciółkami, o wiele wierniejszymi, o wiele szlachetniejszymi od tych, które mam w Rzymie. Nie chcę dzisiaj, kiedy nasze drogi się rozeszły, popisywać się moją pozycją. Wiedzą o tym wystarczająco dużo, nie wolno mi więc robić wrażenia, że nimi pogardzam, tym bardziej że niewiele brakowało, a byłabym jedną z nich.

— Z tego powodu włożyłaś tę skromną sukienkę?

— Tak. Miałam ją na sobie tego dnia, kiedy opuszczałam wyspę. Zachowałam ją, a teraz specjalnie ze sobą przywiozłam.

Matka milczała jakiś czas. Chciałem jej opowiedzieć o mnie, o ojcu i nawet o Agrippinie,

ale to nie był właściwy moment. Patrzyła na ściany domów, na balkony, na niedomknięte drzwi z kotarami, na bieliznę wiszącą w oknach lub na sznurkach rozciągniętych nad ulicą. Zamykała oczy, żeby lepiej słyszeć odgłosy miasteczka, wciągała nosem jego zapachy. Znowu się uśmiechnęła.

— Zawsze uważałam, że ta wyspa przez długi czas zajęta była przez Kartagińczyków. Dowodzi tego fakt, że Dionizjusz z Syrakuz...

Wdała się w dobrze udokumentowany dyskurs o wojnach i ruchach ludności od piątego wieku przed Chrystusem. Słuchałam tego, żalując w duchu, że nie ma przy nas Agrippiny, która musiałaby zmienić zdanie na temat wiedzy mojej matki.

Zadałam kilka pytań, na które matka odpowiedziała bez wahania, dodając taką uwagę:

— W pracy z języka łacińskiego, dzięki której dostałeś stypendium, znalazłam jedno źle użyte „ut” oraz jeden barbaryzm.

Zacytowała te fragmenty, a ja zaczerwieniłem się ze wstydu.

— Natomiast przekład był dobry. Cycero zawsze uchodził za trudnego do tłumaczenia, ale nie można określać Marka Antoniusza w czwartej filipice...

I ponownie ku mojemu wielkiemu zmieszaniu zacytowała tekst łaciński oraz mój przekład.

— Twoja przyjaciółka Agrippina również wypadła dobrze, jest nawet lepsza w gramatyce, zwłaszcza w zgodności czasów.

Nie kryłem zaskoczenia.

— Czy to znaczy, że czytałaś nasze prace? Ale...

Przerwała mi, wybuchając śmiechem.

— Naturalnie, Carlo. Don Leonardo przysyłał mi wszystkie twoje prace, a kiedy dowiedziałam się, że przyjaźnisz się z Agrippiną Foscari i że jesteście oboje jego uczniami, poprosiłam, żeby przysłał mi także prace Agrippiny, bo chciałam wiedzieć, czy dobrze wybrałaś. Zapewniam cię, że otrzymaliście stypendia bez żadnej interwencji z mojej strony. Jestem z was obojga bardzo dumna. Wydaje mi się nawet, że w łacinie jesteście lepsi niż twój ojciec i ja w waszym wieku. Ale uważaj na gramatykę! Po niej rozpoznaje się prawdziwą znajomość łaciny. Poducz się reguł zgodności czasów!

Byłem oszołomiony.

— Ale jak poznałaś Don Leonarda? — zapytałem.

Pocałowała mnie w policzek.

— „Więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie, Horatio, niż ich się śniło waszym filozofom³⁰”. To *Hamlet*, akt pierwszy. Czytałeś Szekspira?

— Nie...

— Powinieneś się do tego zabrać. Zapytaj ojca, czy mu nie będzie przeszkadzało, jeśli przyjdę do was wieczorem na kolację. Ciao, Carlo!

Nadeszła nasza ulubiona pora zapowiadająca urokliwą noc. Szliśmy wzdłuż plaży po piasku, skrajem wody. Po prawej stronie miałem ojca, po lewej matkę. Szła boso. Fala oblewała jej stopy aż do kostek, oblepianych przez bąbelki białej piany. Ubrana była w bawełniane niebieskie spodnie kupione w Ameryce, które nazywały się *blue jeans*, oraz białą koszulową bluzkę, której końce zawiązała wokół szczupłej talii. Początkowo mówiła niewiele, wdychając zapach morza z taką samą rozkoszą jak po południu zapachy miasteczka. Powiedziała, że żadne z mórz, nad którymi była, nie pachniało tak jak to tutaj. Ojciec zapytał, czy dużo podróżowała.

— Zbyt dużo. Miałam męża, który nie mógł usiedzieć na miejscu. Musiał ciągle gdzieś wyjeżdżać. Był człowiekiem szlachetnym, ale męczącym. Gdy zginął w wypadku, pomyślałam sobie, że teraz odpocznę.

Nie brakowało jej cynizmu, ale w jej ustach takie słowa nie szokowały, ponieważ wymawiała je lekko, jakby nie przywiązywała do nich znaczenia. Urzekła mnie.

— Ricovacci, jak powiadają, uczynił cię szczęśliwą, a nawet bogatą — rzekł ojciec.

Matka zatrzymała się. Zwróciła się do ojca wyraźnie wzburzona.

— Rzeczywiście, jestem bogata. Nie miał dzieci ani ze mną, ani z żadną inną kobietą, a pozostali członkowie jego rodziny byli jeszcze bogatsi od niego. Nie wstydzę się więc tego, co otrzymałam. Co do szczęścia... — przerwała na moment, patrząc na ojca. — To nie był człowiek, z którym mogłabym szczerze rozmawiać.

Cień padający od wulkanu zakrywał już prawie całe morze. Jeszcze daleko na horyzoncie widoczne było jakieś światło. Zawróciliśmy w kierunku domu. Po zapadnięciu zmroku moi rodzice zasiedli naprzeciw siebie przy stole na tarasie przed domem. Ojciec postawił butelkę grappy z Sycylii i dwa kieliszki. Na ich twarze padało słabe światło lampki wiszącej pod belką podtrzymującą drewniany dach. Widziałem ich dwa profile pochylone ku sobie. Drobną, ostrą matki, z ruchliwymi rysami, kiedy mówiła, i ojca — szeroki, przedłużony krótką brodą usianą siwymi włosami, z nieruchomymi rysami, jako że był człowiekiem, który potrafił doskonale panować nad emocjami.

Rozmawiali cicho i ledwie słyszałem ich głosy. Co jakiś czas przechodzili na dialekt, bogatszy w niuanse niż zwykły język, tym bardziej że towarzyszy mu odpowiednia intonacja i modulowanie głosu, które dodają słowom finezji. Zrozumiałem, że wrócili do sposobu rozmowy z dawnych czasów, używając na zmianę to włoskiego, to dialektu, w zależności od tego, co chcieli powiedzieć. Bez wątplenia mówili tak w czasach dzieciństwa i nigdy tego nie zapomnieli. Wiedziałem to tym lepiej, że zaobserwowałem to samo zjawisko w moich dyskusjach z Agrippiną, pod warunkiem że byliśmy całkowicie sami. Każde z nich opowiadało o swoim życiu. Ojciec o łodzi, o Girasolem, o rybach, po które trzeba było coraz dalej wypływać, o cenach zmieniających się według kryteriów, z którymi nie bardzo chciał się zgodzić. Opowiadał także o wyspie, o Nonno, który miał swoją chwilę gniewu, i o sztormie, podczas którego omal nie zginął, kiedy fala załazała mu silnik. Usłyszałem, jak zadał pytanie:

— Co by się stało z naszym synem, gdybym zatonął wraz z łodzią?

— Dowiedziałabym się o tym bardzo szybko przez Don Leonarda i Battistę, którzy zaalarmowaliby Reggio. Wiedzą, gdzie mnie znaleźć, i natychmiast przyjechałabym tutaj.

— Carlo powiedział mi, że Don Leonardo wysyłał do ciebie prace z łaciny nie tylko jego, ale też Agrippiny Foscari.

Matka machnęła ręką. Zauważyłem, że wykonywała ten gest często, kiedy coś wprawiała ją w zmieszanie. Powiedziała ojcu, że zamierzała poinformować go o tej korespondencji z *padre*,

ale ostatecznie nic nie zrobiła, bo nie chciała wtrącać się w nasze życie. Pragnęła nadal pozostać w cieniu.

— Nie mam już, Luca, żadnych praw do ciebie ani do Carla. Trzymałabym się tego, gdyby nie sprawa groty...

W tym momencie oboje wymienili porozumiewawcze spojrzenie, którego sensu nie rozumiałem. Do tej pory nie odezwałem się ani słowem. Słuchałem tylko, nie przerywając ich rozmowy. Teraz wstałem. Podszedłem do matki.

— Ja także chciałbym cię o coś zapytać. Mam to pytanie na ustach, odkąd wiem, że jesteś moją matką. Teraz jest na to dobry moment, gdyż znalazłaś się tu, gdzie się wychowałem bez ciebie. Dlaczego mnie opuściłaś?

Matka nie poruszyła się. Nie zrobiła nawet tego swojego charakterystycznego gestu, którym chciała pokryć zmieszanie. Przymknęła oczy, ale zaraz je z powrotem otworzyła. Ojciec podniósł się. Niespodzianie naszła go ochota, by pospacerować po plaży. Usiadłem na jego krześle. Wypiłem łyk grappy i spojrzałem jej w oczy.

— Przypuszczam, Carlo, że rozmawiałeś już o tym z ojcem, przynajmniej wtedy, kiedy się tu ponownie zjawiłam. Byłam młodą dziewczyną. Opuściłam wyspę, żeby być razem z Luca, którego kochałam od dzieciństwa tak jak ty teraz Agrippinę. Za cały swój bagaż miałam dyplom magistra historii starożytnej. To niewiele w kraju, w którym historyków jest jak mrówek. Twój ojciec był bliskim towarzyszem duce, a działo się to wtedy, kiedy po latach biedy i wojny doszedł on do władzy. To była także szansa i dla mnie. W ciągu kilku miesięcy moje życie zmieniło się, tym bardziej że poznałam wówczas Margheritę Sarfatti.

— Kto to taki?

— Oczywiście, nie możesz tego wiedzieć. To niezwykła kobieta, Żydówka zaprzyjaźniona z Mussolinim. Była jego natchnieniem. Dużo go nauczyła i ma on wobec niej wielki dług, chociaż od tamtego czasu zaszła zmiana w ich stosunkach. Pozostali jednak przyjaciółmi i nadal jest bliską mu osobą.

— Sądziłem, że się ożenił i że jego żoną jest Donna Rachele.

Machnęła ręką z lekką irytacją.

— Jest nią nadal, oczywiście. Jak wiesz, mają dzieci, ale Margherita to zupełnie coś innego. To ona przedstawiła mnie Mussoliniemu, którego już widywałam dzięki twojemu ojcu. Weszłam w ten sposób do ścisłego grona osób z jego otoczenia. Pojawiali się tam różni ludzie i odchodzili, ale ja zostałam. Wiedział, że go nie zdradzę. To mężczyzna, który miewa kochanki. Obecnie jest nią pewna dziennikarka, jutro będzie inna kobieta, ale mnie to nie dotyczy.

— Czy nie zdradziłaś mojego ojca?

Jedna chwila i już miałem przed sobą nie matkę, tę, która tak doskonale radziła sobie z naszym dialektem, lecz Martę Ricovacci, dyrektorkę Faszystowskiego Instytutu Badań nad Antykiem.

— Nie sądzę, żeby można było mówić tu o zdradzie. Czy ojciec użył tego słowa?

Przyznałem, że ojciec nie określił tego w ten sposób. Powiedział tylko, że nie powstrzymała nagonki na niego, która się właśnie zaczynała.

Dyrektorka Ricovacci pokiwała głową.

— Kiedy się podąży za takim człowiekiem jak Mussolini, nie można się zatrzymać z powodu takiej sprawy, jak ta związana z Matteottim. Jeśli ktoś się z tym nie zgadza, może zawsze odejść w milczeniu. Jednak twój ojciec dużo mówił. Napisał wiele artykułów, z których większość nie została opublikowana, lecz zamknięta w biurku duce. Napisał nawet książkę, w której przedstawił własną koncepcję faszyzmu i dał wyraz rozczarowaniu tym, czym się on stał. Książkę wydrukowano we Francji, ale skonfiskowano ją na granicy. Nigdy nie weszła do

sprzedazy.

Odrzekłem na to z wyzwaniem w głosie, że ocalał przynajmniej jeden egzemplarz, który stoi u nas na półce.

— Nie wątpię — odparła. — Czytałeś ją?

— Nie. Ojciec powiedział, że jestem za młody.

— Być może już nadszedł ten czas. Znam tę książkę bardzo dobrze. Pisał ją wieczorami w domu i czytał mi na głos. Mówiłam mu, że nie ma racji, że jest szalony.

— A gdzie w tym wszystkim byłem ja?

Spojrzała na mnie władczy wzrokiem. Przez chwilę wydało mi się, że odnajduję w nim spojrzenie duce, jakie widywaliśmy w kronice filmowej w *casa del Fascio*, kiedy przemawiał z balkonu na piazza Venezia, a kamery pokazywały jego twarz z bardzo bliska.

— Dochodzę do tego, mój mały. Nie sądzę, że próbuję się wykręcić, ale pewne rzeczy muszą być wyjaśnione. Trzeba o tym powiedzieć teraz, kiedy dorosłeś na tyle, żeby tego wysłuchać, albo nie mówić nic.

Jej kieliszek był pusty. Nalała grappy sobie i mnie. Upiła łyk. Zrobiłem to samo.

— Rozumiesz dobrze — podjęła — że wobec takiego braku zaufania do duce nie było żadnego sposobu, żeby powstrzymać nagonkę, jak to określił twój ojciec. W najlepszym wypadku groził mu proces, więzienie i wygnanie. — Pochyliła się do mnie. — To ja i Margherita Sarfatti wstawiłyśmy się za niego u duce. Nie chodziło o to, żeby zapomniał. Było to niemożliwe. Chciałyśmy, żeby twój ojciec przynajmniej uniknął takiej hańby. Margherita broniła twojego ojca, przytaczała przykłady jego lojalności. A ja przypominałam Mussoliniemu, że ojciec był jednym z tych, którzy towarzyszyli mu w trudnych chwilach „Popolo d’Italia”, w okresie, kiedy faszyzm był jeszcze ruchem słabym, podzielonym, że twój ojciec, wspierając go, bardzo ryzykował — nawet więzienie. W końcu, widząc, że duce nie może się zdecydować, powiedziałam, że jeśli Luca Gastaldi wyjedzie, ja zostanę.

— Tak mu powiedziałaś?

— Tak powiedziałam i mam na to świadków. Nieliczni przyjaciele, jacy pozostali jeszcze twojemu ojcu, a wśród nich Corrado Matamini, dziś *ras* Reggio, byli obecni przy tym i powtórzyli mu wszystko tego samego wieczoru, kiedy razem przyszliśmy do naszego domu. Twój ojciec szykował się na przybycie policji. Jednak przekazaliśmy mu decyzję duce, że ma wyjechać i milczeć. A to oznaczało, że nie będzie procesu ani więzienia, ale także że nie mogę mieć z nim żadnych kontaktów w przyszłości. Niełatwo przyszło Mussoliniemu zgodzić się na takie rozwiązanie, podczas gdy skazywał innych, choć mieli mniej na sumieniu niż Luca, którego głowy domagali się tacy ludzie jak Starace czy Farinacci. Dowiedziałam się potem, że robili Mussoliniemu z tego powodu wyrzuty, ale on im odpowiedział: „*Basta*, tak postanowiłem i nie będę do tego więcej wracał”.

Pani dyrektor Ricovacci umilkła. W świetle lampki pod sufitem ukazał się cień ojca. Stał tam i słyszał całe jej przemówienie. Powiedział, że jeszcze tego samego wieczoru wsiadł wraz ze mną do pociągu, obawiając się, że duce zmieni zdanie. Pożegnanie odbyło się na dworcu kolejowym, było bardzo krótkie, bo pociąg już ruszał i widać było sylwetki policjantów, którzy ich śledzili. Nie zachowałem z tego żadnego wspomnienia.

— Czekałem na ciebie, Marto — mówił dalej. — Myślałem, że zostaniesz jakiś czas przy duce, ale potem przyjedziesz do mnie, do nas — dodał z naciskiem. — Jednak nic takiego się nie stało. Nie miałem żadnych wiadomości o tobie. Tylko Matamini powiedział: „Została wysłana z pewną misją za granicę. Pracuje dla duce. Teraz to niemożliwe”. Aż któregoś dnia przeczytałem w gazecie, że wyszłaś za mąż za Ernesta Ricovacciego. Wtedy zrozumiałem, że nigdy nie wrócisz.

Moja matka milczała. Użyłem określenia „moja matka”, bo w tym momencie wyglądała znowu tak jak na początku wieczoru, a kiedy się odezwała, mówiła z akcentem z naszej wyspy i używała słów miejscowego dialektu.

— Początkowo byłem śledzona, sprawdzano moją korespondencję. Na kopertach widziałam ślady ich otwierania. Mój telefon był na podsłuchu. Wielokrotnie miałam tego dowody. Czasami na ulicy czułam, że ktoś za mną idzie. Zrozumiałam, że jeśli moje zachowanie wzbudzi choćby najmniejsze podejrzenie, zostanie to doniesione duce, żeby mu pokazać, że go zdradziłam. Nie mogło więc być mowy o wyjeździe. Kiedy widywałam się z Mussolinim, nigdy nie pytał mnie o ciebie, ale wiedziałam od Margherity Sarfatti, że poinformowano go o twoim powrocie na wyspę i o tym, że kupiłeś łódź rybacką. To go uspokoiło i powierzał mi coraz ważniejsze zadania.

Odwróciła się do mnie.

— To nie znaczy, że nie miałam wiadomości o tobie. Battista za pośrednictwem Mataminiego informował mnie o twoich postępach w szkole i o twoim zachowaniu. Przysyłał mi zdjęcia szkolne, przekazywał, że jesteś zdrowy, że uczysz się dobrze, podobnie jak inni chłopcy z miasteczka, a nawet o wiele lepiej.

— A Don Leonardo?

— To zupełnie inna historia. Poznaliśmy się przy okazji zawarcia konkordatu z Watykanem. Don Leonardo to naukowiec, człowiek konserwatywny, doskonały znawca Ewangelii, jak również historii antyku. Kiedy okazał się tak nieostrożny, że na swoje nieszczęście wyraził, chociaż tylko w kręgu bliskich znajomych, pogląd, iż dziewictwo Matki Boskiej wydaje mu się niemożliwe, Pius XI rozkazał mu natychmiast opuścić Watykan. Don Leonardo przyszedł się ze mną pożegnać i powiedział: „Zostałem mianowany proboszczem na wyspie między Kalabrią i Sycylią, mam objąć tam parafię, jedną z tych najbardziej zapomnianych we Włoszech”. Powiedziałam mu wtedy: „Na tej wyspie mieszka mój syn i jego ojciec. Mój syn nazywa się Carlo Gastaldi. Proszę nad nim czuwać i jeśli na to zasłuży, zająć się nim, ale nie chciałabym, żeby został księdzem”. Po jakimś czasie napisał do mnie: „Zająłem się nim, zasługuje na to. Niech się Pani jednak nie obawia, księdzem nigdy nie zostanie”.

Pogłaskała moją rękę, którą trzymałem na stole.

— Pewnego razu — mówiła dalej — wysłano mnie na Sycylię w celach mediacyjnych. Powiedziałam wówczas do Mussoliniego: „Proszę mi pozwolić, bym korzystając z tej okazji, zobaczyła się z moim synem i Lucą Gastaldim, którzy mieszkają na pobliskiej wyspie”. Odpowiedział mi: „Nie teraz. Jest jeszcze za wcześnie. Jeśli tam pojedziesz, to istnieje taka możliwość, że już nie wrócisz. A jesteś mi bardzo potrzebna tutaj”. Podporządkowałam się temu. Jakiś czas później powstał Faszystowski Instytut do Badań Antyku Rzymskiego z wieloosobowym personelem i dużym budżetem. To ważna sprawa dla państwa, które odwołuje się do tradycji Imperium Rzymskiego. Zostałam mianowana jego dyrektorką. W tym samym czasie przedstawiono mi Ernesta Ricovacciego, jednego z prywatnych inwestorów Instytutu. Potem uświadomiłam sobie, że nie był to przypadek, nawet jeśli nikt nie zmuszał mnie do wyjścia za niego za męża.

Chciałem zapytać: „A co potem? Co było potem, kiedy Ricovacci zginął w wypadku? Co ci, mamo, przeszkadzało wrócić do nas?”.

Ale ona uprzedziła moje pytanie.

— Potem było już za późno. Utknęłam w systemie. Widziałam, jak wokół duce pojawiają się wciąż nowe osoby. Wiele z nich, wykorzystawszy, usuwał, ale ja, jak już ci mówiłam, pozostałam. Wy urządziliście sobie życie we dwóch, ja urządziłam swoje. Chyba tak naprawdę opuściłam cię, Carlo, dopiero w tym momencie, ale wtedy już mnie nie potrzebowałeś.

Matka powiedziała, że w powszechnym mniemaniu to dzięki różnym pomyślnym okolicznościom pięła się stale w górę, co było może prawdą, ale takie okoliczności zdarzały się rzadko. Życie ewoluowało niepostrzeżenie, bez gwałtownych zmian. Codzienne zajęcia, drobne przyjemności, uczucie satysfakcji, które nie było szczęściem, ale miało jego pozory.

— Rodzaj szczęścia skażonego — uściśliła — ponieważ doskonale zdawałam sobie sprawę, że nie byłam tam, gdzie być powinnam, że w moim życiu kobiety i matki jest wyrwa, rana, że mimo wszystko postąpiłam wbrew naturze. Co chcesz wiedzieć więcej? — zapytała na koniec.

Powiedziała mi już dosyć. Przypomniałem sobie słowa Agrippiny dotyczące przeciwności losu, wydarzeń, które burzą wszystko w momencie, kiedy nic ich nie zapowiada.

— Gdyby nie było sprawy *povero Matteotti*... — szepnąłem.

— Byłaby inna — wtrącił natychmiast ojciec zdecydowanym tonem. — Na wszelkie zbrodnie sprawujących władzę, a tego we Włoszech nie brakuje, zawsze zareagowałbym tak samo. Bez względu na dzielące nas racje polityczne zawdzięczam ci, Marto, to, że uniknąłem procesu, więzienia, a może i czegoś więcej, ale mam czyste sumienie. Działąłem otwarcie. Przed zrobieniem czegokolwiek mówiłem duce, co sędzę o sprawie. Nie chciał mnie słuchać. Tutaj zarabiam na skromne, lecz wystarczające mi życie. Wychowuję syna i *basta!* — Pochylił się nad stołem. — Nie żałuję niczego — dodał dobitnie.

Matka skinęła głową i znowu machnęła ręką.

— Nie chcę zaczynać od nowa tej dyskusji, jaką toczyliśmy, kiedy pisałeś książkę. Jest jednak jeszcze coś. W Rzymie nie zapomniano o tobie, krążą pogłoski, że masz kontakty z ludźmi z opozycji, jedni są znani ze swej działalności, inni udają uległość wobec władzy, no i są jeszcze ci — przerwała na sekundę — o których nie warto wspominać...

— Niech to udowodnią! — zawołał ojciec takim samym wyzywającym tonem jak wówczas, kiedy powiedział, że niczego nie żałuje.

— Dobrze wiesz, że dowody nie są potrzebne. Mussolini codziennie rano znajduje na swoim biurku raport policji i kiedy z nim rozmawiałam...

— Wezwał cię?

— Oczywiście, z powodu tej afery z posągami, która jest potrzebna Ciano, ministrowi propagandy, w związku z szykującą się wojną. Skoro jakaś wieszczka oznajmiła, że orzeł rzymski pokona królową Saby, w tym wypadku Hajle Selassjego, należy to pokazać w kronice filmowej i opublikować zdjęcia na pierwszych stronach gazet.

W tym momencie ojciec i matka znowu wymienili porozumiewawcze spojrzenia, których nie rozumiałem.

— Mussolini powiedział mi wtedy, że gdyby dawano wiarę wszystkim denuncjacjom, które trafiają do niego, to połowa Włochów znalazłaby się w więzieniu. Nie podejmie więc żadnych kroków.

— Na razie — odparł ojciec. — Liczy się to, co będzie potem. Przypuszczam, że postawił jakieś warunki, bo w przeciwnym razie nie wspominałabyś mi o tym.

— Widzę, że nie straciłeś politycznego wyczucia — zauważyła pani Ricovacci. — Mussolini powiedział mi...

Chciałem wstać i odejść, tak jak to zrobił ojciec, kiedy zapytałem matkę, dlaczego mnie porzuciła, ale ona chwyciła mnie za rękę i poprosiła, bym został, ponieważ to, co za chwilę powie, dotyczy także mnie.

— Powiedział mi — podjęła matka — to, co wiedzą wszyscy w jego otoczeniu. W łonie wielkiej rady pojawiły się nieporozumienia, konkurencja, do głosu doszły ambicje. Ci, których nazywają nowymi faszystami, to ci, którzy najgłośniej krzyczą o swojej wierności, ale nie można

im ufać. Trzeba z nimi coś zrobić w sposób delikatny, zwłaszcza w tak ważnym momencie dla Włoch potrzebujących zwycięskiej wojny, która jednak będzie drogo kosztować. Pięćdziesiąt lat temu wygrali Abisyńczycy. Dla jednych jest to więc sprawa honoru, inni uważają, że Włochom nie jest potrzebna wojna, że są inne, ważniejsze sprawy. Wszystkie te opinie odzwierciedlają w rzeczywistości tylko jedno: walkę o wpływy. Nie mówię ci nic nowego.

— Faktycznie.

— Mussolini żałuje, że rozstał się z dawnymi przyjaciółmi tylko dlatego, że powiedzieli mu prawdę w złym momencie.

— No i?

— Chce przywołać z powrotem starych przyjaciół, w większości z czasów wojny. Chce ich zgromadzić wokół siebie i odtworzyć starą gwardię.

Przerwała i spojrzała na ojca. Oboje mieli napięte twarze.

— No i? — powtórzył ojciec.

— Kiedy przyjął mnie na piazza Venezia, wiedział, że zamierzam się z tobą zobaczyć, i dał mi instrukcje, które mam ci przekazać.

— Instrukcje?! — krzyknął ojciec. — On przesyła mi instrukcje!

— Tak — odparła dyrektorka Faszystowskiego Instytutu Badań nad Antykiem, cedząc słowa. — Chce, żebyś wrócił do Rzymu, żebym zabrała ze sobą ciebie i Carla. Takie jest moje prawdziwe zadanie.

— I co powiedział na to twój ojciec? — zapytała Agrippina.

Ze sposobu, w jaki postawiła pytanie, z widocznego na jej twarzy napięcia domyślałem się, że odczuwała jednocześnie niepokój i złość, gdy tak słuchała mojej relacji z wieczoru spędzonego z matką.

— Nic nie powiedział.

— Jak to? — Agrippina nie kryła zdziwienia. — Twoja matka oznajmia mu, że duce pragnie jego powrotu, że zlecił jej zadanie, aby sprowadziła go do Rzymu razem z tobą, a on nic na to nie odpowiada? Nie dziękuje za taką wspaniałą propozycję?

— Nie, nie powiedział nic.

— Nawet tego nie skomentował?

— Nie skomentował.

Agrippina przeciągnęła się niczym kotka, ale w tym momencie nie mogłem odważyć się na takie porównanie, ponieważ kojarzyłoby się z moją matką. Szliśmy plażą, po czarnym piasku, dzikim brzegiem wyspy, za wulkanem. Oprócz nas nie było nikogo. Miała na sobie lekką sukienkę z tak cieniutkiego materiału, że zapragnąłem ją pieścić. Klepnęła mnie jednak po rękę ze słowami „nie w tej chwili”. Chciała wiedzieć wszystko. No to się dowiedziała.

— Co się stało potem? — wróciła do swoich pytań.

— Matka wyszła. Kiedy nas obu uściskała, ojciec poprosił, bym odprowadził ją do *casa del Fascio*.

W drodze rozmawialiśmy o różnych rzeczach niemających związku z tym, co mówiła ojcu. Opowiadałem o sobie, o moim życiu na wyspie, o przyszłym roku w Reggio, w szkole, do której zostałem przyjęty. Matka wysłuchała mnie, po czym rzuciła:

— W Rzymie mieszkam w centrum, w willi, którą partia dała mi do dyspozycji. Jest piękna i trochę za duża. Uniwersytet znajduje się dwa kroki od niej... Goszczę u siebie wielu ludzi.

Agrippina pokręciła głową. Na twarzy miała dobrze mi znany wyraz koncentracji, jak wtedy, kiedy odrabiając lekcje, napotykała jakąś trudność — napięte rysy, zaciśnięte usta. Poruszył mnie głęboko taki jej widok na tej plaży, na której byliśmy już nieraz, gdzie kąpaliśmy się często, jak to zwykle robią młodzi, szczęśliwie zakochani ludzie.

— To jasne — odezwała się w końcu tym samym tonem, jakby recytowała jakąś gramatyczną zasadę — twoja matka proponuje ci, żebyś u niej zamieszkał. Będziesz miał świetne warunki, a kiedy skończysz liceum, zaczniesz studiować na Sapienzy, najlepszym włoskim uniwersytecie.

Patrzyłem na nią w milczeniu. Mówiła jakby w jakimś natchnieniu, cierpiąc wewnętrznie.

— To oznacza także, że będziesz przebywał wśród jej znajomych, wśród ich dzieci. Będziesz zapraszany do ich domów. Będziesz chodził na przyjęcia. Wszyscy będą interesować się tobą, bo twoim ojcem jest Luca Gastaldi, który odzyskał swoją pozycję u boku duce, a matką Marta Ricovacci, wpływowa kobieta. Rodzice będą zachęcać swoich synów, żeby się z tobą spotykali. Co do dziewcząt...

Znowu przerwała. Tę samą rękę, którą przed chwilą powstrzymała mnie, bym jej nie dotykał, położyła na moim ramieniu i mocno je ścisnęła. Zmienił się jej ton, stał się oschły. Mówiła dalej tak, jakby recytowała nudną lekcję wyuczoną na pamięć, jakby czytała na głos gazetę.

— Zainteresują się tobą dziewczyny. Całe chmary dziewczyn. Po pierwsze dlatego, że

jestes bardzo przystojny, o wiele bardziej ode mnie. Po drugie, jestes inteligentny, masz żywy umysł. Można pokładać wiele nadziei związanych z twoją przyszłością. Już teraz jesteś bardzo pociągający w tych starych spodniach, choć dawno straciły fason, w niemodnej koszuli kupionej u przygodnego sprzedawcy, który raz w miesiącu przyływa na naszą wyspę z kupą niesprzedanych na kontynencie ciuchów. Matka zabierze cię do tych dzielnic w Rzymie, gdzie ubiera się elegancki świat, na via del Corso lub via dei Condotti, do najdroższych sklepów w stolicy. Widziałam to w magazynach mody, które moje koleżanki sobie pożyczają. Matka kupi ci tam garnitur, białe koszule, dużo garniturów i dużo koszul, do tego krawaty w paski i pasujące do nich ozdobne chusteczki do kieszonki marynarki. Każdy z tych garniturów będzie kosztował tyle, ile tona ryb. Ale to jeszcze nie wszystko. Kupi ci także strój do tenisa, oczywiście cały biały, z emblematem na piersi. Nie umiesz jeszcze grać, ale się nauczysz. Już po kilku tygodniach lekcji będziesz sobie świetnie radził, a dziewczyny siedzące na trybunach, naturalnie także w białych krótkich spódnickach odsłaniających opalone kolana, będą ci biły brawo, mówiąc przy tym — przybrała akcent mojej matki, ten z Rzymu czy z Mediolanu — „Och, Carlo! Jak ty wspaniale grasz, jak pięknie odbijasz piłkę!”. Będą mówiły po angielsku, bo przy grze w tenisa trzeba używać terminów angielskich, w przeciwnym razie wychodzi się na wieśniaka. Ty też zaczniesz używać tych angielskich słów, a kiedy będziesz mówił po włosku, to z takim akcentem jak twoja matka, bo twój obecny jest zbyt pospolity.

Cały czas głąskała mnie po ramieniu. Przymknęła oczy, jakby widziała opisywane przez siebie sceny. Mówiła teraz dużo wolniej, jakby opowiadała sen.

— Po tenisie przyjdzie czas na samochód. Najpierw będziesz miał lekcje jazdy, a potem matka pożyczyci swój samochód, kabriolet. Jestem pewna, że ma kabriolet. Podniesiesz płócienny dach i wtedy dziewczyny będą mogły cię zobaczyć w tym ślicznym aucie. Jednak ten stan rzeczy nie potrwa długo. Potrzebny ci będzie własny samochód. Wóz odpowiedni do twojego wieku, sportowy. Matka zabierze cię do salonu Alfa Romeo. Mussolini ma samochód tej marki. Nie wiem, jaki model, ale widziałam w piśmie mojego ojca. Matka kupi taki dla ciebie. Powie: „Chcę kupić młodzieżowy samochód dla mojego syna, coś dobrego, ale niezbyt szybkiego. To jego pierwszy wóz...”. Odpowiedzą jej: „Mamy coś takiego, pani dyrektor. Proszę spojrzeć na ten model!”. A ona zwróci się do ciebie: „Podoba ci się, Carlo?”. A ty odpowiesz: „Bardzo, kochana mamo, nie wiem, jak ci dziękować”. A wówczas ona z kolei odpowie: „To nic takiego, kochanie. Mam taki dług wobec ciebie po tym, jak cię porzuciłam, że nigdy go nie spłacę”. Potem w swoim białym stroju tenisowym będziesz jeździł czerwonym samochodem, wożąc dziewczyny, które będą wołać: „Carlo, nie jedź tak szybko!”. A ty dodasz gazu, żeby one, głośno piszcząc, mogły udawać, że się boją, w tym samym czasie głaszcząc cię po kolanie. — Ręka Agrippiny zostawiła moje ramię, żeby popieścić moje kolano. — Wieczorem, zdjawszy strój tenisowy, przebierzesz się w granatowy garnitur, dyskretny, ale bardzo szykowny, i pójdziesz na spotkanie z dziewczynami. Twoi rodzice powiedzą: „Carlo, bądź rozsądny, nie wracaj za późno!”. A ty na to w odpowiedzi: „Obiecuję, możecie mi ufać!”. A jednocześnie pomyślisz: „Za godzinę będę miał tę dziewczynę!”. I ona pomyśli podobnie: „Za godzinę będzie mnie całował”. Ty draniu!

Oderwała gwałtownie rękę od mojego kolana i rzuciła mi pełne żalu spojrzenie, po czym, świetnie naśladowując głos mojej matki w chwilach, gdy chciała być bardzo miła, powiedziała:

— Oczywiście, Carlo, jesteś przecież rozsądnym chłopcem, a pewnego dnia któraś z tych dziewcząt poruszy twoje serce i wtedy nie będziesz na nią patrzył tylko pod kątem pożądania. To jasne, że kiedyś się zakochasz i wszystko się ułoży po twojej myśli.

— Sądzisz, że się zakocham? — wtrąciłem.

Pokiwała głową.

— Bardzo się zakochasz. W dziewczynie z tego samego środowiska co ty. Niezbyt dobrej w łacinie ani rozmiłowanej w antyku, ani nawet bardzo inteligentnej. Ale nie będzie to miało znaczenia. W dziewczynie bardzo dobrze wychowanej, z odpowiednim wyglądem, dystynkcją, posługującej się językiem włoskim z wyrażeniami bardzo modnymi w Rzymie, doskonale wiedzącej, co można mówić, co można robić, co należy wiedzieć, a co należy pominąć. W córce faszystowskiego dygnitarza albo przemysłowca, człowieka z manierami, niemającego nic wspólnego z ludźmi stąd.

— Rozumiem.

— Będzie to blondynka z jasną cerą. Tamtejsi chłopcy uwielbiają blondynki, a one im to odwzajemniają. Mówię tak, bo widziałam cię, kiedy byliśmy ze szkołą i z Don Leonardem w Palermo i Reggio, gdzie spotykaliśmy angielskie lub niemieckie turystki. Ty oglądałaś się za nimi, a ja w duchu myślałam: „Ta, która zajmie moje miejsce, będzie blondynką”.

Uniosłem rękę, żeby jej przerwać i zwrócić uwagę, że wtedy, kiedy jeździliśmy na te wycieczki, ledwie wyszliśmy z wieku dziecięcego i jeszcze nic między nami nie było. Agrippina zrobiła przeczący gest.

— Mów za siebie. Ja wiedziałam dobrze, że wybierzesz mnie któregoś dnia. Nie miałam co do tego najmniejszych wątpliwości. Musiałam więc także przewidzieć, jaka będzie moja następczyni. Pomyślałam, że będzie to taka blondynka, jakie mieszkają w miastach na północy. Prawdziwa lub farbowana. Myślałam o tych kobietach Renesansu, które nosiły kapelusiki bez denka, żeby słońce mogło jeszcze bardziej rozjaśnić ich włosy. Taki kolor nazywano „blond wenecki”.

— Wiesz, co to takiego blond wenecki?

— Wystarczy przeczytać biografię Lukrecji Borgii — odrzekła z poważną, nieco przemądrzałą miną. — Mam na myśli biografię udokumentowaną, napisaną przez prawdziwego historyka. Odsuwa podejrzenia o kaziroddstwo, które były tylko plotkami powstałymi za czasów papieża Juliusza Drugiego, powtarzanymi potem w dziewiętnastym wieku. Z tej biografii można się dowiedzieć wszystkiego o sławnej jasnowłosej Lukrecji i życiu w tamtej epoce. Widzisz, dowiadujesz się czegoś ode mnie. Będziesz mógł powtórzyć to potem twojej przyszłej żonie w Rzymie. Z pewnością nie będzie ona wielką erudytką, nawet jeśli będzie to taka blondynka jak Lukrecja. Może będzie nosić to właśnie imię. Śliczne imię, bardzo szykowne, odpowiednie dla blondynki ze stolicy, jak mi się wydaje. *Signora* Lukrecja Gastaldi. Będziecie mieć piękne dzieci...

Tym razem głośno się roześmiałem. Zapytałem, czy przewidziała także, co się stanie z nią. Ale Agrippina nie śmiała się. Była bardzo poważna.

— Będę czekać daremnie na twój powrót. Zdam maturę w szkole w Palermo i wstąpię na uniwersytet w Neapolu lub Bari, skromny uniwersytet. Ale ty nigdy nie wrócisz. Będę zbyt dumna, żeby do ciebie napisać, a dla ciebie okaże się to zbyt trudne. Zresztą co mógłbyś napisać, żeby mnie to zainteresowało? Krępowałbyś się pisać mi o twoim życiu z Lukrecją, a reszty nie chciałabym wiedzieć, bo nie dzieliłabym tego z tobą. W końcu i ja wyszłabym za mąż. Za jakiegoś poczciwego człowieka, spokojnego, dość inteligentnego. Niezbyt przystojnego, ale to nieważne. Nie będzie mi zależało na przystojnym mężczyźnie. Pewnie będzie to jakiś kolega z uczelni, miły, cierpliwy. Bez pieniędzy, bez oglady, ale o bystrym umyśle. Z biegiem lat staniesz się dla mnie bolesnym, słodkim wspomnieniem. Gdy wrócę na wyspę, odwiedzę miejsca, gdzie chodziliśmy razem. Na początku trochę sobie popłaczę, potem mi przejdzie. A ty...

— Co ja?

— Któregoś dnia pomyślisz z żalem o Agrippinie. Przypomnisz sobie smagłą dziewczynę

z wyspy, twoją czarnulkę. Znudzisz się Lukrecją i powiesz sobie: „A gdybym tam wrócił i spróbował się z nią zobaczyć?”. Jednak tak nie zrobisz. Taki pomysł powstanie w twojej głowie, ale zaraz pomyślisz o czymś innym, a gdy pomysł wróci, odsuniesz go, bo i tak będzie już za późno.

Oszołomiony nieco jej tyradą, chciałem coś odpowiedzieć, ale ona zerwała się nagle i zawołała:

— Ciao, Carlo! Bądź szczęśliwy z Lukrecją!

Uciekła biegiem, a wokół jej szczupłych nóg unosiły się ziarenka czarnego piasku. Z doświadczenia wiedziałem, że nie zdołam jej dogonić. Ruszyłem szybkim krokiem z myślą, że odnajdę ją tam, gdzie zaczyna się miasto, ale jej nie zobaczyłem. Z pewnością wróciła do domu, a ja nie chciałem pukać do drzwi państwa Foscarich. Błąkałem się samotnie po przystani, kiedy zawołała mnie Pasqualina. Ojciec czekał na mnie na swojej łodzi. Podszedłem nonszalanckim krokiem, udając obojętność, chcąc w ten sposób uratować moją dumę.

Było to pierwsze poważne nieporozumienie między mną i Agrippiną. Być może to, co zaszło między nami, nie stało się przypadkiem. Ja byłem zawsze powściągliwy w słowach, ale Agrippina nigdy nie powstrzymywała się przed wyrażaniem swoich uczuć. Tym razem jednak wydało mi się, że jej złość wynikała z prawdziwego lęku. Przyjazd mojej matki, jej wtargnięcie w moje, a tym samym i w jej życie, potraktowała jako prawdziwe zagrożenie. Dlatego tak zareagowała. Pragnęła, żebym czuł to samo co ona, irytowała się, że daję się uwieść pani Ricovacci i temu wszystkiemu, co wiąże się z jej postacią. Ja jednak nie obawiałem się niczego ze strony matki. Ucieszyłem się z jej przyjazdu. Byłem gotów ją pokochać, pewien, że ona czuje to samo. Powtarzałem sobie z uporem, że Agrippina się myli, że ze strony mojej matki nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo.

Ojciec czekał na mnie w kabinie. Odniosłem wrażenie, że na mój widok odetchnął z ulgą.

— Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił. Za godzinę odpływa statek do Messyny. Popłyniesz nim i wrócisz rejssem wieczornym. Tu masz pieniądze na bilet.

— Co mam zrobić w Messynie?

Sprawa była bardzo pilna. Dał mi kopertę, którą miałem zanieść do pewnego sklepiku w porcie, *via dell'amore degli amici*.

— I to wszystko?

Ojciec pokiwał głową. Przypuszczałem, że jest to trochę bardziej skomplikowane. Zdarzało się już w tym roku, że dawał mi tego rodzaju polecenia, które wykluczały użycie zwykłej drogi pocztowej. Nie stawiałem pytań. W naszym kraju, jeśli ktoś czegoś ci nie wyjaśnia, nie ma sensu o nic pytać. Trzeba zrozumieć w pół słowa albo pogodzić się z tym, że się nic nie wie, co zresztą jest chyba lepsze. Czasami rozumie się za późno, kiedy nie ma to już żadnego znaczenia. Byłem wychowany w tym duchu, jak wszystkie dzieciaki w miasteczku.

Ojciec wyjaśnił mi, co i w jaki sposób mam powiedzieć. Dopiero po usłyszeniu właściwych odpowiedzi mogłem przekazać przesyłkę. W przeciwnym wypadku miałem odejść, niczego nie zostawiając. Podał mi brązową kopertę, schowałem ją do kieszeni spodni. Wiedział, że wykonam jak należy powierzone mi zadanie. W życiu mojego ojca istniało wiele tajemnic nawet dla mnie i nie dotyczyło to jedynie jego stosunków z Pasqualiną. Miały one związek z przeszłością, z latami jego wczesnej młodości i datowały się być może jeszcze z okresu przed pierwszą wojną światową.

— Bywają takie chwile — powiedział niespodzianie — kiedy trzeba wiedzieć, gdzie są prawdziwi przyjaciele, czego się naprawdę chce i na co nie możemy się zgodzić. Zależnie od okoliczności niektóre znajomości są bardziej pożądane od innych, chociaż, jeśli o mnie chodzi, nigdy nie otrzymałem ani nie prosiłem o *pizzu*³¹, nie odczuwałem także potrzeby *di bagnarmi il becco*³².

Chciał przez to powiedzieć, że jego przyjaźnie, nawet te zakazane, opierały się na osobistych więziach i że nigdy nie splamił się wyłudzeniem pieniędzy.

Jednocześnie przypominam sobie, jak skomentował słowa matki o plotkach krążących na jego temat, zwracając jej uwagę na brak jakichkolwiek dowodów przeciw niemu.

— Chcę żyć tylko z tego, co daje mi rybołówstwo — dodał. — Nie ma mowy o tym, żebym przyjął propozycję twojej matki, a raczej zgodził się na to, co jej kazano mi powiedzieć. Sądzę, że domyślała się tego i że nie miała złudzeń, iż jej misja się powiedzie. Jestem w innym obozie i w nim pozostanę, chociaż mam jeszcze przyjaciół w tym drugim, takich jak Matamini. W każdej wojnie zna się kogoś po stronie wroga. To o niczym nie świadczy. Mussolini napotyka opozycję w szeregach swojej partii. Nic w tym nowego. Jak tylko będzie miał sposobność, zrobi w niej czystkę, być może już zaczął. Taki ma zwyczaj. Nie chcę być wśród ludzi, którzy biorą udział w tego rodzaju operacjach. Ten człowiek wbrew temu, co sam twierdzi, nie ma wyrzutów sumienia i liczy się dla niego jedynie własny interes.

Był to najdłuższy wywód, jaki kiedykolwiek usłyszałem z jego ust. W każdym razie ja nie miałem żadnych wątpliwości co do jego intencji. Po namyśle mogę stwierdzić, że nigdy ich nie miałem. Był człowiekiem upartym, co zarzucała mu moja matka. Ja jednakże byłem z niego dumny.

— Nic cię tu nie trzyma — rzekł niespodziewanie. — Możesz jechać do Rzymu. To twoje życie, być może od tego zależy twoja kariera. Matka ma względem ciebie pewne plany. Nie będę

miął do ciebie żalu, jeśli wyjedziesz.

Nie patrzył na mnie w tym momencie, spoglądając na nabrzeże przez okienko w kabinie. Nie miałem czasu, żeby mu opowiedzieć o przepowiedniach Agrippiny, ale uśmiechnąłem się do niego, a on, odwróciwszy się od okna, pogłaskał mnie po policzku. W ten sposób dawał mi do zrozumienia, że mnie kocha.

Udałem się na przystań i wsiadłem na statek. Stopniowo pojawiała się coraz więcej pasażerów. Czekaliśmy godzinny rejs. Powtarzałem w myślach polecenia ojca, kiedy obok mnie pojawił się czyjś cień. Była to Agrippina. Wsunęła rękę pod moje ramię.

— Jedziesz do Messyny? — zapytała. — Jadę z tobą.

Przez całą drogę Agrippina siedziała przytulona do mnie. Nie odzywała się, jakby tym milczeniem i czuлыми gestami przepraszała mnie za poranną scenę. Ja także nic nie mówiłem, czułem bowiem jej smutek. W miarę jak zbliżaliśmy się do sycylijskich brzegów, coraz bardziej rozplywał się w morskiej bryzie duch Lukrecji.

Po opuszczeniu statku poszliśmy razem ulicami starych dzielnic Messyny, niedotkniętych trzęsieniem ziemi. Szliśmy, obejmując się nawzajem, pewni, że nie spotkamy nikogo znajomego. Trzeba było jednak odnaleźć *via dell'amore degli amici* i sklepik opisany przez mojego ojca. Znajdował się na rogu, pod szyldem reklamującym sprzęt morski. Poprosiłem Agrippinę, aby na mnie poczekała. Spojrzała zdziwiona, ale o nic nie pytała, wychowana w tradycji głoszącej *l'umirta è cumandamentu*³³.

Pchnąłem drzwi zasłonięte kotarą i znalazłem się w ciemnym pomieszczeniu z drewnianą boazerią i takimiz ozdobami, dzięki którym sklep przypominał kabinę statku. Sprzedawano tutaj liny, lampy sztormowe, małe wieloramienne kotwice, jak również połyskujące słabo części do wyposażenia łodzi. Niewysoki, tęgawy mężczyzna w spodniach z szerokimi szelkami otwierał kartonowe pudła, żeby ustawić towary na półkach. Siedząca za kasą kobieta zajęta była liczeniem.

— Czym mogę służyć, przystojny młodzieńcze? — zapytała z uśmiechem.

Odpowiedziałem ostrożnie, że przyszedłem z pewnym poleceniem. Pokiwała głową z uprzejmą miną. Mężczyzna nadal wyjmował busole, knagi i ustawiał na półkach. Cały czas stał do mnie tyłem.

— Z jakim poleceniem?

— Wie pani, boli mnie ząb — odpowiedziałem.

— Niech więc pan idzie do dentysty. Jest na końcu tej ulicy.

— Na rany Chrystusa, strasznie mnie boli ten siekacz!

Dopiero w tym momencie tęgawy mężczyzna odwrócił się, obejrzał mnie od stóp do głów, po czym znowu zabrał się do porządkowania towaru. Kobieta wstała od kasy z westchnieniem i zniknęła na zapleczu sklepu. Mężczyzna ustawiał kompas w szeregu, nie zwracając więcej na mnie uwagi.

— Kiedy zaczął cię boleć ten ząb? — zapytał w końcu zrzędlwym tonem, w dalszym ciągu odwrócony do mnie plecami.

— W Dzień Zwiastowania.

— Z której strony?

— Prawy siekacz.

Odwrócił się po raz drugi.

— Mnie też boli ząb z tej samej strony — przyznał zrzędlwym tonem.

Patrzył na mnie czarnymi oczami bez wyrazu. Miał miękkie, sflaczałe policzki. Nosił koszulę w niebieskie paski. Otworzyłem usta i palcem pokazałem mój prawy siekacz.

— Ten ząb mnie boli.

Pokiwał głową ze zrozumieniem, ale zaraz mruknął, że jestem za młody, żeby cierpieć z powodu zębów. Odparłem, że osoba, która mnie tutaj przysłała, pewnie przekazała mi własny ból.

— Gdzie się znajdowała ta osoba, kiedy zaczął się ból?

— W Caltanissetta.

— Kto był przy tym obecny?

— Dobrzy ludzie.

— Co to za ludzie?

— Gervasio Ciancimino numer jeden, Orazio Palizzolo numer dwa.

— A jak popełnili swój niegodny czyn?

— Losowali i Palizzolo wygrał. Wziął święty obrazek, posmarował go krwią tego, który mnie przysłał. Potem go spalił na dłoni, popiół rozsypał w powietrzu i powiedział: „Jeśli zdradzisz naszą sprawę, twoje ciało spłonie tak jak ten święty obrazek”.

— Dobrze to zapamiętałeś, chłopcze, synu Luki Gastaldiego — rzekł mężczyzna. — W takiej sytuacji można polegać tylko na synu, prawda?

Wyjąłem z kieszeni kopertę i podałem mu ją. Właściciel sklepu przeczytał list tylko raz, po czym zgniótł go i spalił w popielniczce.

— Jak obrazek świętego — powtórzył.

Ojciec ostrzegł mnie, bym nie mówił ani słowa więcej, niż to konieczne. Ukłoniłem się więc w milczeniu.

— W porządku — mruknął — jesteś dobrym chłopcem.

Ta formułka znaczyła, że jestem już wolny.

Wyszedłem ze sklepu i przez szybę zobaczyłem, że kobieta z powrotem zajęła swoje miejsce za kasą.

Agrippina siedziała na obrzeżu fontanny. Na mój widok wstała i ruszyła w moim kierunku. Pokazała mi mężczyznę, który grał na skrzypkach na rogu ulicy. Przechodnie rzucali drobne monety do czapki leżącej na chodniku. Za każdym razem, kłaniając się, dziękował, po czym wracał do swojej gry.

— To ciekawe — powiedziała Agrippina — wydaje mi się, że on śledził, co się działo w sklepie. Ciągłe się odwracał i patrzył na drzwi, szczególnie wtedy, kiedy ty tam wszedłeś. Wszystko w porządku?

— W jak najlepszym.

Nie pytała więcej. Odszedłem z Agrippiną trzymającą mnie pod rękę. Jeszcze przez jakiś czas towarzyszyły nam dźwięki skrzypiec. Zrobiliśmy sobie cudowny spacer. Była to pora, kiedy miasto ożywiało się po martwocie popołudnia. Mijaliśmy ulicznych sprzedawców, marynarzy i mieszczuchów, którzy zawzięcie dyskutowali przed odsłoniętymi kramami. W powietrzu unosiły się przeróżne zapachy, śmiechy, krzyki.

— Chodźmy stąd — zaproponowała Agrippina. — Za dużo tutaj ludzi.

Zaciągnęła mnie na drugi koniec nabrzeża, gdzie nie dochodziły hałasy miasta, a zamiast nich słychać było szum morza i przenikliwe syreny statków, od których aż podskakiwaliśmy. Im dłużej szliśmy, tym bardziej się do mnie przytulała. Wiele razy zatrzymywała się, chcąc, żebym ją pocałował. Przyciskała bardzo mocno usta do moich warg. Głaskałem ją po policzku. Nagle zorientowałem się, że jest mokry. Agrippina płakała.

— Myślę o tym wszystkim — szepnęła — co ci powiedziałam rano.

Zapewniłem ją, że już o tym zapomniałem, ale Agrippina pokiwała głową. Ona nie zapomniła niczego — ani stroju do tenisa, ani samochodu, ani Lukrecji. Kiedy opisywała moje przyszłe życie w Rzymie, widziała je oczami wyobraźni.

— Były to piękne i jednocześnie straszne obrazy. Tak jakbym tam była obecna i uczestniczyła w twoim życiu. Lukrecja miała twarz i postawę heroiny z romansu, który czytała moja matka. Była blondynką o różowej cerze, niebieskich niczym fajans oczach, taki anglosaski typ.

Doszliśmy do końca nabrzeża. Stała tam kolistka altana z kamiennymi, jeszcze ciepłymi od słońca ławkami pod murem. W dole rozbijały się fale. Jakiś statek odpływał od nabrzeża i widać

było sylwetki pasażerów na pokładzie. Znowu syrena; mewy obserwowały morze, po czym pikowały w dół i z piskiem lądowały na jego powierzchni.

— Ojciec nie pojedzie do Rzymu — powiedziałem — i ja też tam nie pojedę.

Przymknęła oczy ze szczęścia i zaraz je otworzyła. Rozejrzała się wokoło.

— Nikt nas tu nie zobaczy. Weź mnie — poprosiła.

Na nic nie czekając, zadarła spódniczkę aż do pasa i ruchami bioder zsunęła z siebie majteczki. Zawahałem się, ale zaciągnęła mnie na ławkę. Ze wszystkich razów, kiedy się kochaliśmy — w grocie, w moim pokoju, na plaży — ten na kamiennej ciepłej ławce w odległym końcu portu w Messynie, w oczekiwaniu na statek, w chwili poprzedzającej zapadnięcie zmroku, nieplanowany, był najbardziej intensywny, najbardziej szalony, najczulszy, najbardziej zmysłowy w moim życiu.

Kiedy wieczorem wróciłem do domu, powiedziałem ojcu, że wypełniłem polecenie dokładnie według jego wskazówek i że wszystko będzie wykonane tak, jak chciał.

Kiwnął głową z uznaniem i już miał odejść, kiedy dodałem:

— W pobliżu był jakiś ciekawski typ. Wyglądał tak, jakby szpiegował, co się dzieje w sklepie.

— Uliczny grajek?

— Tak.

— Ten człowiek nie szpieguje — rzekł ojciec. — On czuwa, chroni, ale czasami to nie wystarcza. On także może być śledzony.

Nazajutrz na wyspę przybyły tabuny dziennikarzy. Kutry wojskowe wyrzucały ich na przystani i odpływały z powrotem po następnych. Miasteczko zostało sparaliżowane. Przybysze tłoczyli się na ulicach, mówili po angielsku, francusku, niemiecku. Robili wrażenie, jakby przyjechali tu na wakacje. Rozeszła się pogłoska, że Fascio z Reggio wzięło na siebie wszystkie wydatki i mieszkańcy miasteczka nie byli zadowoleni, że tyle pieniędzy zostanie wydanych na cudzoziemców. W oczekiwaniu na oficjalną ceremonię, która miała się odbyć następnego dnia, dziennikarze wspinali się do grotty, chcąc zobaczyć posągi, a potem rozsiadali się w restauracji Battisty, który nie wiedział, jak obsłużyć tylu ludzi w jednym czasie. Niektórzy wracali na noc do Reggio lub Messyny, obiecując, że przyplyną nazajutrz, aby wysłuchać przemówienia hrabiego Ciano. Był to wielki triumf mojej matki. Udało jej się namówić hrabiego Ciano, zięcia duce, odkąd poślubił jego córkę Eddę, a przede wszystkim ministra prasy i propagandy, aby osobiście asystował przy przetransportowaniu posągów do Rzymu, gdzie miały być wystawione w Muzeum Narodowym. Zaszczyt dla wyspy, dla jej mieszkańców, był „ogromny, niewyobrażalny”, jak powtarzał Battista, który zlecił specjalne wydanie „Giornale dell’isola”, numeru historycznego poświęconego tylko temu wydarzeniu.

— A co dostaniemy w zamian za te skarby? — pytali niechętni ludzie, którzy jeszcze kilka tygodni temu nie mieli zielonego pojęcia o istnieniu posągów i którym zresztą wcale się one nie podobały.

Battista wznosił ręce do nieba, mówiąc, iż wystarczająco wielkim zaszczytem będzie wystawienie posągów w Rzymie i dlatego nie wolno prosić o pieniądze od państwa, kiedy naród stoi na progu wojny. Jednak tamci, nieprzejednani, replikowali, że oni osobiście nie mają żadnych pretensji do Abisynii, która nigdy nie wyrządziła szkody ludziom Mezzogiorno, że ta wojna dotyczy jedynie rzymian, którzy miewają kosztowne fantazje.

Sprawa była bardzo delikatna i Battista rozumiał, że nie należy się nad nią rozwodzić, ponieważ to Rzym określał podatki, wystawiał rachunki, a nawet przysyłał karabinierów w wypadku jakichś niemiłych wydarzeń, toteż rozsądniej było nie poruszać tego tematu. Usiłował więc kłaść nacisk na zaszczyt — którego koszty ponosi Fascio z Reggio — jaki przypadł naszej skromnej, nieznannej wyspie, że będziemy gościć u nas taką osobistość jak minister Ciano, „człowiek cieszący się niezwykle przywilejem oglądania duce każdego ranka”.

„A jego córki co noc” — odpowiadali sceptycy. Ci pośród nich, którzy bywali na Sycylii, terytorium zbuntowanym przeciw władzy, przypominali także przydomki, jakie nadawano Ciano: *il Generissimo*³⁴ albo *il Cretino arrivato*³⁵, a nawet *la Coda magica*³⁶. Krótko mówiąc, nazwisko Ciano nie wzbudzało większego entuzjazmu. Wówczas Battista wpadł na nowy pomysł. Wspomniawszy tajemniczą miną, że miasteczko, a wraz z nim jego mieszkańcy otrzymają subwencje od państwa, oczywiście pod warunkiem, iż minister zostanie tutaj dobrze przyjęty, ale jak podkreślał, jest to informacja poufna, którą przekazuje jedynie zaufanym przyjaciołom. W żadnym wypadku nie mogą się o tym dowiedzieć mieszkańcy innych wysp, gdyż wywołałoby to w nich zrozumiałą zazdrość. Była to najlepsza metoda, żeby wiadomość rozeszła się szybko wśród całej ludności, która niezwłocznie zabrała się do robienia transparentów z powitalnymi napisami *à nostro ministro*.

Wtedy do restauracji wtargnęła Funghina z kościelnymi kumoszkami. Zażądały, żeby Battista natychmiast przedsięwziął odpowiednie środki w celu zapobieżenia skandalowi.

Podestac zdjął fartuch i otarł czoło, po czym usiadł na krześle, zapalił papierosa, by dodać sobie animuszu, i zapytał:

— O co znowu chodzi?

— Chodzi o to — odparła Funghina z rękami opartymi na biodrach — że nie można pozwolić, aby posągi przejechały ulicami miasta, gdzie będą je mogły zobaczyć dzieci.

Battista uniósł brwi ze zdziwieniem.

— A dlaczegoż to nie można ich pokazać dzieciom?

— A dlatego, że ta kobieta, czarna faraonka, jest całkiem naga! — odrzekła Funghina z triumfującą miną.

— Widać jej piersi, pośladki i *anzi il cespuglio*³⁷!... — dodała inna, pokazując palcem w dół.

Battista wzruszył ramionami. A więc o to chodzi.

— Słuchajcie, głupie baby! To jest popiersie! Przedstawia jedynie głowę i ramiona.

Reszty nie widać!

Funghina skrzyżowała ręce na piersi.

— Nie wierzę. To naga Murzynka.

— Zapytajcie Don Leonarda!

Kobiety zaczęły się nawzajem przekrzykiwać. *Padre* nie dawał wystarczającej gwarancji. Nie można powoływać się na duchownego usuniętego z Watykanu.

— Z powodów, które lepiej zachować w tajemnicy, ale które kobietom nie są obce — oznajmiła Funghina tonem dającym wiele do myślenia.

Battista westchnął. Podszedł do kasy, otworzył szufladę, wyjął stamtąd zdjęcia Balkis i położył na stole.

— Czy to wam wystarczy? — zapytał.

Kobiety popatrzyły na zdjęcia z niezadowolonymi minami, ale Funghina nie chciała się uznać za pokonaną. Zaatakowała od innej strony.

— Ten orszak ma iść tą samą drogą co Santa Mustiola.

— Oczywiście — przyznał Battista — bo święta niesiona jest przez wszystkie ulice.

— Wobec tego jest to niemożliwe — stwierdziła Funghina. — Wasz orszak musi pójść inną trasą.

Battista poprawił się na krześle, by lepiej odeprzeć ten nowy atak, który jak przeczuwał, będzie gorszy od poprzedniego. Zapowiadało się na dłuższą sprzeczkę.

Zaciągnął się papierosem i zapytał:

— A z jakiego to powodu, moje panie, należałoby zmienić trasę orszaku mającego na celu pokazanie wszystkim starożytnych cudów, które jutro rozślawią naszą wyspę?

Funghina nie odpowiedziała od razu. Najpierw zrobiła zamasyście znak krzyża, a pozostałe kobiety poszły jej śladem.

— Z tego powodu, *signore podesta*, że droga corocznej procesji ku czci Santa Mustioli, w której i pan uczestniczy... jest pobłogosławiona przez Boga. To całkiem wystarczy.

— Wiadomo też — dodała jedna z kobiet, idąc jej w sukurs — że samo przejście świętej oczyszcza domy i ich mieszkańców, którzy bardzo tego potrzebują.

— Umierający czekają na przejście świętej, bo wtedy mają pewność, że po śmierci pójdą do nieba — rzuciła inna.

— I dzieci, które mają się narodzić, czekają na procesję przed przyjściem na świat — zakończyła trzecia.

Battista zrozumiał, że osaczono go z góry ukartowanym manewrem. Odkaslnął, spojrzął na obecnych przy tym dziennikarzy, zachwyconych takim spektaklem, i ponownie zwrócił się do swoich przeciwniczek.

— Nie ma mowy o tym, żeby podważać cuda czynione każdego roku przez Santa

Mustiolę, jednak nie pojmuję, co mogłoby niepokoić naszą świętą, jeśli te posągi, które pochodzą być może z tej samej co ona epoki, przeniesiono by jej drogą, tym bardziej że innej trasy nie ma.

I w tym momencie wpadł w zastawioną na niego pułapkę.

— Przejazd bałwanów, w imię których nasza święta została umęczona przez Dioklecjana, trasą jej procesji oznacza triumfalny powrót jej katów. To, że ryzykuje pan własne zbawienie, *signore podesta*, to pańska rzecz, ale zupełnie inną sprawą jest skazywanie na nieszczęście chrześcijańskiej wspólnoty naszej wyspy — podsumowała Funghina, czyniąc ponownie znak krzyża.

Tym razem Battista miał już dość. Chciał dyskutować, mógł w razie potrzeby paktować, ale tego było już za wiele. Zgniółł papierosa, wstał z krzesła i założył ręce na piersi.

— Posłuchajcie, moje panie, reprezentuję w tym mieście prawo, które zadecydowało, że przed rejssem do Rzymu posągi przejadą przez nasze miasteczko, żeby zobaczyli je wszyscy łącznie z ministrem, który przybywa specjalnie na tę okazję. Tak będzie i nic na to nie poradzicie! To moje ostatnie słowo.

Podniósł dumnie podbródek, tak jak to widział u duce w kronice filmowej. Dewotki nie poddawały się. Czekają, co powie Funghina, która postąpiła krok do przodu.

— Posłuchaj, Dioklecjanie, posągi nie przejadą przez miasto! Mówi ci to Santa Mustiola!

Jej towarzyszki zrobiły równoczesny, niemal wojskowy zwrot w tył i opuściły restaurację. Podestat poszedł za bar i nalał sobie pełny kieliszek.

Dziennikarze bili mu brawo.

Zaledwie wyszedłem na dwór, kiedy dopadła mnie matka. Była w towarzystwie rudego draba w jaskrawoczerwonej koszuli w kratę, którego chciała mi przedstawić.

— William Thomson z „American Review of Archaeology”, pisma, które jest znane w całym świecie, zrobił nam ten zaszczyt i przybył tutaj.

Amerykanin uściśnął mi energicznie rękę, gratulując odkrycia orła i Balkis. Mówił kulawym językiem włoskim, a moja matka odpowiadała mu często po angielsku. Przyznałem się, że znam jedynie mój ojczysty język i trochę łacinę, matka jednak dodała, że jestem zbyt skromny, bo przecież otrzymałem państwowe stypendium na naukę w Reggio. Już po kwadransie rozmawialiśmy z Amerykaninem o wojnie trojańskiej, o Cezarze, Auguście, Kaliguli... Kiedy doszliśmy do Nerona, William Thomson zwrócił się do matki:

— Ile lat ma pani syn?

— Szesnaście.

Amerykanin kiwnął głową z uznaniem, po czym powiedział coś do matki po angielsku. Odpowiedziała mu w tym samym języku bez żadnych trudności. Uśmiechali się oboje.

Byłem ciekaw, jak to się stało, że moja matka nauczyła się angielskiego.

— To niezbędne w mojej pracy. Angielski służy do wszelkich kontaktów z zagranicą.

Odbyłam przyspieszony kurs. Teraz nie mam już z tym problemów.

— A język włoski?

— Rzadko się nim mówi poza granicami naszego kraju. Podobnie jest z francuskim, niemieckim czy hiszpańskim, chociaż ten ostatni używany jest w Ameryce Południowej, w dawnych koloniach Hiszpanii.

Byłem głęboko wstrząśnięty i zawiedziony. Moje życie ograniczało się do naszej wyspy, do Mezzogiorno, ewentualnie do innych części Włoch, których zresztą nie znałem. O świecie miałem mgliste pojęcie. Ameryka to byli kowboje, Indianie, ogromne wieżowce, które oglądało się niekiedy w kronice filmowej. Wydawało mi się to nierealne. Mój świat to były Włochy, duce, nie znałem innego i nie bardzo potrafiłem sobie wyobrazić inny system rządów niż faszystowski. W moim przekonaniu reszta świata obracała się wokół Włoch i duce, wbrew temu, co mówił

o nim mój ojciec. Wierzyłem, że inni władcy na naszej planecie pełni są podziwu dla niego. Przeszłość to byli starożytni Rzymianie, starożytni Grecy i do pewnego stopnia Egipcjanie. Ta przeszłość wydawała mi się wystarczająco bogata i pełna chwały, nie widziałem potrzeby oglądania innych krajów. Podzielałem opinię starożytnych, że istniała *oikoumenê*, to znaczy znana im cywilizacja, a reszta to byli barbarzyńcy. Tymczasem nie ulegało wątpliwości, że ten Amerykanin o nazwisku niewymawialnym dla zwykłego Włocha nie jest barbarzyńcą, że jego język z nosowymi dźwiękami nie jest językiem barbarzyńskim. Dowodem było to, iż moja matka, Marta Ricovacci, kobieta ciesząca się wielkim poważaniem, musiała się nauczyć języka angielskiego, którym mówiła bez wątpienia lepiej niż ten Amerykanin włoskim, co było oburzające.

— W przyszłości na całym świecie będzie się mówić po angielsku, a człowiek, który nie opanuje dobrze tego języka, stanie się w jakimś sensie kaleką — stwierdziła matka. — Podobnie będzie z tymi, którzy nie nauczą się prowadzenia samochodu.

Tak więc konieczne będzie spełnienie tych dwóch warunków — mówić po angielsku i mieć prawo jazdy. Zapytałem matkę, czy ma samochód.

— Oczywiście — odpowiedziała. — Przyjechałam nim z Rzymu. Czeka na mnie w Reggio.

— Jakiej marki?

— Alfa Romeo.

Przypomniałem sobie, co mówiła Agrippina — że duce ma alfę romeo i że zapewne moja matka jeździ samochodem tej samej marki.

— Kupiłaś alfę romeo dlatego, że taki wóz ma Mussolini?

— Skądże znowu. Odziedziczyłam go po mężu. Chciałam go sprzedać i kupić fiata, ale Galeazzo poradził, bym go zatrzymała. Powiedział, że to niezwykle samochód. Teraz widzę, że miał rację.

Amerykanin skłonił się nam i odszedł, by dołączyć do pozostałych dziennikarzy.

Chciałem się dowiedzieć, kim jest Galeazzo.

— Hrabia Ciano — odparła z uśmiechem. — To oficjalny powód mojej obecności tutaj, bo mam przygotować wszystko na jego wizytę.

— Dobrze go znasz?

Kiwnęła głową. Na jej twarzy pojawił się znowu uśmiech, który wydał mi się jakiś niewyraźny. Po czym zmieniła temat rozmowy. Powiedziała, że ojciec nie przyjmie oferty duce, o czym zresztą wiedziała, zanim jeszcze mu ją przekazała. Był zbyt dumnym człowiekiem.

— A ty — zapytała — pojedziesz ze mną do Rzymu?

Spodziewałem się tego pytania. Odpowiedziałem, że jest na to jeszcze za wcześnie.

Chciałem jechać do Reggio, zrobić tam maturę, poza tym była też Agrippina.

Zrobiła swój zwykły gest, po czym jakby pożałowała.

— Tu chodzi o twoją karierę, Carlo. Uniwersytet w Rzymie jest najlepszy. Nigdy nie podróżowałaś, nie znasz świata. Twój ojciec jest w innej sytuacji. Przeżył już sporo i ma swoje powody, żeby tutaj zostać. Musisz wyjechać z wyspy, z Mezzogiorno. Tutejsi nauczyciele...

Zawahała się na chwilę, ale jej przerwałem.

— Chcesz powiedzieć, że nigdy nie stanę się *duttoreddu*?

Kiwnęła głową. Właśnie to chciała powiedzieć. Taki chłopiec jak ja, ze zdolnościami, jakie we mnie widziała, powinien dokonać wyboru jak najszybciej, w każdym razie jeszcze przed zrobieniem matury. Chciałem powiedzieć coś jeszcze o Agrippinie, ale mnie uprzedziła:

— Jeśli chodzi o twoją przyjaciółkę... Oczywiście, nie jestem właściwą osobą, żeby mówić o miłości i jej niespodziewanych zwrotach, ale... Mogłaby przyjechać razem z tobą.

Porozmawiam z jej rodzicami. Zrozumieją.

Była to niezwykła wiadomość. Najchętniej pobiegłbym do Agrippiny i powiedział jej o tym, ale wrócił Amerykanin. Chciał iść do groty, zobaczyć z bliska posągi i zrobić zdjęcia do „Przeglądu Archeologicznego”. W oczach matki ujrzałem cień niepokoju, ale szybko się opanowała i rzekła z uśmiechem:

— Oczywiście, Carlo cię tam zaprowadzi. Jeszcze powiem mu dwa słowa i pójdziecie.

Pochyliła się, jakby zamierzała pocałować mnie w policzek. Jednocześnie szepnęła mi dialektem na ucho:

— Postaraj się, żeby nie dotykał posągów i nie sfotografował ich.

Po czym skierowała się do Funghiny i jej towarzyszek, które stały w innym końcu placu. Zobaczyłem, że się ucałowały i wdały w ożywioną pogawędkę.

Poprowadziłem Amerykanina krętymi ścieżkami po zboczu Nonno. Wycierał czoło wielką kraciatą chustką pasującą do koszuli. Sięgnął do torby i wyjął z niej czapkę z napisem HUC 1935. Zapytałem, co oznaczają te litery.

— Harvard University Club — odpowiedział. — To jedna z najbardziej prestiżowych uczelni amerykańskich, koło Bostonu.

Zapytałem, gdzie leży Boston. Odrzekł, że na północ od Nowego Jorku, w stanie Massachusetts. Nic mi nie mówiły te nazwy, słyszałem tylko o Nowym Jorku, gdzie Italo Balbo, słynny włoski lotnik, został triumfalnie powitany po przelocie nad Atlantykiem. Wiedziałem, że są w tym mieście wielkie budynki nazywane z powodu wysokości drapaczami chmur. Pokazywali takie w kronice filmowej w kinie na świeżym powietrzu przy Fascio.

Opowiedział mi z wielką prostotą o swoim życiu. Byłem dumny, że rozmawia ze mną jak z dorosłym, ponadto powiedział, że traktuje mnie jak kolegę, ponieważ wiem tyle o starożytności, ile jego studenci na wydziale w Harvardzie, gdzie ma wykłady z tej dziedziny. Dzielił swoje życie między działalność wykładowczą i podróże do krajów starożytnej *oikoumenê* (użył tego właśnie słowa). Włochy, Grecja, Egipt i Mezopotamia. Z powodu prażącego tam słońca nauczył się zawsze mieć przy sobie czapkę.

Tak więc część swego życia spędzał wśród grobów i posągów. Pracował nad ich klasyfikacją, datowaniem, a wyniki swoich badań publikował w „Przeglądzie Archeologicznym”. Moją matkę poznał w Rzymie przy okazji wykopalisk obok Koloseum. Niedaleko znajdowała się — jak mi wyjaśnił — *aula neroniana*. Uczestniczył w badaniach zleconych przez włoskie władze, bo w jednym musiał oddać sprawiedliwość Mussoliniemu: to na jego polecenie kopano wszędzie tam, gdzie można by znaleźć ślady rzymskiej wielkości.

— Zobaczyłem miejsca zapomniane od czasów Trajana, widziałem pałac Nerona i jezioro wykopane w samym środku tej posiadłości. Trzeba jednak jeszcze drążyć i drążyć, żeby pod fundamentami dzisiejszego Rzymu odnaleźć pozostałości jego chwały. Co do Koloseum...

— To nie Trajan zbudował Koloseum, ale Wespazjan w latach osiemdziesiątych naszej ery — wtrąciłem.

Thomson roześmiał się. Podobałem mu się. Klepnął mnie po ramieniu tak jak mój ojciec. Cały czas rozmawiając, dotarliśmy w poblizze groty. Przed wejściem do niej stał na straży policjant z Fascio, który otrzymał zadanie pilnowania tego miejsca aż do chwili zabrania stąd posągów. Podczas gdy Amerykanin szukał czegoś w torbie, powiedziałem w dialekcie do strażnika, że dyrektorka Instytutu zabroniła robić tu zdjęcia i dotykać posągów. Policjant zwrócił się więc do Williama Thomsona, który wyciągał właśnie aparat fotograficzny.

— Tylko pracownicy Faszystowskiego Instytutu Badań nad Antykiem mogą robić tu zdjęcia.

Amerykanin protestował, ale policjant pozostał niewzruszony. Powiedziałem

Thomsonowi, że są zdjęcia oficjalne, które może dostać od mojej matki. Kiwnął głową i poprosił, żebym wprowadził go do wnętrza. Poświecił latarką dokoła. Nachylił się najpierw nad jednym, potem nad drugim posągami i wyjąwszy mały pędzelek, zabierał się do obtarcia pyłu pokrywającego orła i królową. Policjant, który nam towarzyszył, złapał go za rękę.

— Nie wolno dotykać posągów.

— Szkoda — odrzekł William Thomson. — Tego orła i królową gdzieś już widziałem, nie mogę jednak sobie przypomnieć gdzie. Muszę sprawdzić w moich dokumentach.

Wyszliśmy razem na zewnątrz. Byłem podekscytowany. Wyglądało na to, że nasze posągi istniały w kilku egzemplarzach. Z bijącym mocno sercem poprosiłem Thomsona, by poszukał w pamięci. Może chodziło o jakąś inną grotę, którą zwiedził w Grecji, grotę innej wieszczki. Pokręcił przecząco głową.

— Nie, to nie było w Grecji. Zresztą nigdy nie widziałem takiej groty, która mogłaby stanowić schronienie dla jakiejś wieszczki. Zastanawiam się nad tym napisem *Aquila Balkem vincebit*. Wieszczki nie wyrażały swoich myśli dosłownie, lecz w zagadkowy sposób. Nigdzie nie ma wzmianki o wieszczce, która mówiłaby po łacinie. No i dlaczego poniżej znajduje się inskrypcja w języku greckim?

Zwróciłem mu uwagę, że całe południe Włoch aż do Neapolu uległo hellenizacji. Był to obszar Wielkiej Grecji. Eneasz dobił do brzegu w Neapolu, który w starożytności nazywał się Neapolis i nawet Ulisses...

— Poeci nie są geografami — przerwał mi. — Wiadomo, z jakiego powodu została napisana *Eneida*. Miała sławić czyny Augusta. Co do *Odysei*...

Zamyślił się. Szedłem obok niego w drodze powrotnej. Niespodzianie opowiedział mi o Aleksandrze. Wiele razy był już pewien, że odnalazł jego grób, ale zawsze potem przeżywał rozczarowanie. Najpierw ciało Aleksandra zostało przewiezione do Aleksandrii na rozkaz Ptolomeusza, ponieważ ten, kto urządzi pogrzeb Aleksandra, miał być uznany za jego następcę. Ptolomeusz zbudował wspaniałe mauzoleum, w którym można było oglądać zwłoki zdobywcy ubranego w zbroję. Jest to pewne, ponieważ Cezar widział grób Aleksandra trzysta lat później. Ale potem zrobiło się zamieszanie. Dlaczego zabrano ciało Aleksandra, w jakie miejsce je przeniesiono?

— Może dlatego — powiedziałem — żeby nie dostało się w ręce Oktawiana, który wkroczył do Aleksandrii w dwudziestym dziewiątym roku przed naszą erą, w żadnej bowiem kronice nie ma wzmianki o tym, że Oktawian widział grobowiec Aleksandra.

Klepnął mnie znowu po ramieniu. Zdecydowanie mu się podobałem. Nagle podskoczył.

— Wiem — mruknął — już wiem, gdzie widziałem tego rodzaju posągi. Jestem tego pewien.

Spodziewałem się, że powie coś więcej, ale on milczał. Kiedy już dochodziliśmy do miasteczka, zapytałem, czy zechciałby być tak uprzejmy i powiedzieć, gdzie widział posągi, on jednak grzecznie mi odmówił.

— Muszę to sprawdzić. To tajemnica archeologa, którą podzielę się z tobą. Dziś jeszcze nie mogę.

Podczas kolacji opowiedziałem ojcu, jak przebiegł mi dzień. Słuchał mnie w roztargnieniu. Widziałem, że myśli zupełnie o czymś innym, udając, że słucha mnie z uwagą. Pocałowałem go i poszedłem spać. W nocy się obudziłem. Wydawało mi się, że słyszę hałas silnika. Wstałem. Od plaży przed naszym domem odbijała nieoświetlona łódź. Usłyszałem ciche głosy. Jakieś sylwetki oddalały się w ciemnościach w głąb łądu. Miałem wrażenie, że rozpoznaję głos ojca, matki i nawet Funghiny! Co oni robili o tej godzinie wszyscy razem? Poczulem znowu senność. Wróciłem do łóżka. Rankiem wszystko było normalnie, doszedłem więc do wniosku, że

był to sen.

— *Signore podesta, cari compagni fascisti, cari amici*, jestem bardzo szczęśliwy, że znajduję się między wami, że postawiłem stopę na tej pięknej wyspie za twoją namową, droga Marto Ricovacci...

Zaraz po zejściu na brzeg hrabia Ciano wygłosił zaimprovizowane, może niezbyt oryginalne, ale gorące przemówienie, w którym wyrażał swoje zadowolenie, wręcz szczęście, że dotarł w końcu na naszą wyspę. Jego zachwycony wzrok przesuwiał się po twarzach ludzi zgromadzonych wokół przystani, swoje słowa podkreślał szerokim gestem ramion, uważając bardzo, żeby przy powitaniu nikogo nie pominąć. Ubrany był w nieskazitelnie białą bluzę mundurową na czarnej koszuli. W słońcu lśniły jego zadbane włosy okalające twarz o regularnych miłych rysach. Słowa płynęły potokiem z jego pełnych, zmysłowych ust, jak powiedzieliby niektórzy. Krótka mówiąc, był wspaniały.

Matka, ubrana w świetnie skrojony kostium w olśniewająco kremowym kolorze, jakiego zapewne nikt nigdy nie widział w Mezzogiorno, stała obok niego z takim samym triumfującym uśmiechem, jaki zapewne przybierała na wszystkich uroczystościach reżimu, w których brała udział. W tym momencie pomyślałem, że musiała to być dla niej niezwykle satysfakcja, że wróciła na tę ubogą wyspę, gdzie spędziła całą młodość, w roli gospodarza przyjmującego tak znakomitą osobistość, która zwracała się do niej: *cara Marta*. Można było bowiem żartować sobie z hrabiego Ciano, wypominając mu jego wyniosłe maniere, małżeństwo z córką duce — podobno często ją zdradzał — stanowisko *importantissimo* ministra prasy i propagandy, lecz był on księciem reżimu, który do nas przyjechał. Widywaliśmy go w kronice filmowej z żoną, z ich dziećmi, w samochodzie Mussoliniego, któremu mówił coś na ucho podczas parady bojowników Fascio. I oto ta gwiazda, ten wspaniały człowiek był wśród nas tak blisko, że można go było niemal dotknąć, a jego melodyjny głos, który dotąd mam w uszach, spływał na skromny tłum mieszkańców wyspy, przekazując życzliwe słowa w imieniu jego mistrza, który był także i naszym mistrzem, ostatniego cesarza rzymskiego. Jednocześnie pamiętam także trochę kpiący głos Agrippiny:

— *E molto seducente*³⁸ — szepnęła z udanym zachwytem.

— Tak samo uważa moja matka — odparłem tym samym tonem.

Agrippina spojrzała na mnie spod oka, szukając w myślach jakiejś złośliwej riposty.

— *Veramente... gli piaciono i bellimbusti*³⁹ — dokończyła, cedząc przez zęby.

Orszak ruszył w kierunku *casa del Fascio*. Na czele szedł Foscari i drugi zastępca, torując w tłumie drogę dla Ciano, obok którego kroczyli Battista oraz moja matka. Za nimi maszerowało kilku policjantów. Stanowili oni ochronę ministra i przyłączyli się do niego z statkiem. Mieszkańcy nie pożałowali na tablicach i transparentach słów gorącego powitania i wyrazów dozgonnej miłości dla zięcia Mussoliniego, mając nadzieję na zapowiedziane przez podestata subwencje. On zaś nie przestawał rozsyłać uśmiechów, pozdrawiał tłum ręką, obejmował dzieci i starców. Najwyraźniej był rozluźniony, szczęśliwy, że tu przyjechał. Ta jego radość ogarnęła także chroniących go policjantów, którzy nie mieli już tak ponurych min jak na początku i robili wrażenie, jakby przybyli tu na wakacje. Były jeszcze przemowy, pieśni, muzyka jak na inauguracji *casa del Fascio*. Nie było tylko mojego ojca, który nie pokazał się od rana, ani Giuseppiny, która zapewne modliła się w kościele. Może oboje wyrażali w ten sposób swój sprzeciw.

Po zaśpiewaniu *Giovinezzy* Ciano pełnym entuzjazmu głosem zaintonował *Faccetta nera: Faccetta nera, bell'abissina*,

*aspetta e spera, che già l'ora si avvicina!
Quando saremo insieme a te,
noi ti daremo un'altra legge e un altro Re.
La legge nostra è schiavitù d'amore,
il nostro motto è libertà e dovere,
vendicheremo noi camicie nere,
gli eroi caduti liberando te.
(Czarna twarzyczko, piękna Abisynio,
Czekaj i miej nadzieję, że już zbliża się ta godzina,
Kiedy się połączymy.
Damy ci inne prawa i innego króla.
Naszym prawem jest miłość,
Naszą dewizą wolność i obowiązek,
Zwyciężymy, my, czarne koszule.
Bohaterami są ci, którzy zginęli, wyzwajając ciebie).*

Wtedy przyszła kolej na Battistę, najwyższego w hierarchii lokalnych dostojników, który krzyknął:

— *Per il ministro alla Stampa e Propaganda, Galeazzo Ciano! Eja! Eja! Eja!*⁴⁰.

Wszyscy obecni podnieśli ręce w rzymskim powitaniu, odpowiadając: *Alala! Alala!* Ręce opadły. Ale teraz podniósł rękę Ciano z okrzykiem:

— *Camicie nere, salutate nel Duce il fondatore del Impero!*⁴¹.

Wszyscy obecni podnieśli jak on ręce i zawołali: *A noi!*⁴².

Zagrały fanfary.

Dopiero w tej chwili można było się rozejść.

Na placu przed *casa del Fascio* rozbito namiot, pod którym stały suto zastawione długie stoły. Hrabia, cały czas w towarzystwie podestata i mojej matki, próbował każdego dania, a my wszyscy śmialiśmy się radośnie.

W tym momencie zabrali się do dzieła fotoreporterzy. Na pierwszym planie tłum mieszkańców, w środku my z Agrippiną, nasze dwie roześmiane twarze obok siebie, wpatrzeni w obiektyw, a za nami dostojne trio — moja matka, Ciano i Battista — również uśmiechnięci. Z całej serii zdjęć zrobionych pod koniec sierpnia 1935 roku na placu w naszym miasteczku zachowała się do dziś jedna czarno-biała odbitka, na której została utrwalona ta chwila i na której widać wyraźnie mnie i Agrippinę. Ta jedna fotografia, zdobyta przeze mnie w okolicznościach, o których jeszcze potem opowiem, sprawiła, że postanowiłem opisać tę historię.

Wczesnym popołudniem, po zakończonej uczcie, kiedy jej resztki zostały zabrane na wieczór i na dzień następny, orszak uformował się ponownie i ruszył w kierunku Nonno. Tragarze nieśli dwa postumenty, na których miano ustawić posągi, aby je następnie przewieźć ulicami miasteczka, tak żeby zobaczyli je wszyscy, a potem załadować na statek i odpłynąć razem z ministrem. Dziennikarze i fotoreporterzy stanowili osobną grupę. Ciano wziął moją matkę pod rękę, zabawiając ją jakimiś głupstwami. Wydało mi się, że odpowiada mu w tym samym tonie, trochę z przymusem, jakby czegoś się obawiała, ale było to tylko chwilowe wrażenie. Pomyślałem o tym znacznie później, wspominając wydarzenia tamtego dnia.

Przed grota orszak zatrzymał się, tworząc przed wejściem półkole. Stał tam mój ojciec. Ciano i Luca Gastaldi, były poseł, zbuntowany przeciw Fascio, wymienili spojrzenia i przywitani się skłonieniem głowy, minister uprzejmie, mój ojciec lodowato.

— *Onorevole Gastaldi, quando ritornerai?*⁴³.

— *Mai!*⁴⁴ — odrzekł ojciec.

— *Boia chi molla!*⁴⁵ — mruknął przez zęby Ciano.

I to było wszystko.

Tragarze postawili postumenty na ziemi. Minister zabrał głos, oznajmiając, iż to niezwykła chwila, gdy po raz pierwszy od dwóch tysięcy lat posągi wykonane przez naszych znakomitych przodków ujrzą po opuszczeniu groty światło dzienne i zostaną przetransportowane do Rzymu, do sławnego muzeum, nad którego wzniesieniem, według ścisłych wskazówek duce, czuwa Marta Ricovacci. Dodał, że posągi pełnią rolę symbolu, ponieważ uosabiają przyszłe zwycięstwo Włoch nad Abisynią w bliskiej już wojnie.

W tym momencie — do dziś pamiętam dobrze tę scenę — mój ojciec nałożył przeciwsłoneczne okulary, a minister, dając znak tragarzom, by weszli do groty, zawołał:

— Idźcie po nie w imieniu Rzymu!

Nagle rozległ się głuchy huk. Wnętrze groty niespodziewanie się rozjaśniło, wejście jakby zafalowało, skała zarysowała się i po sekundzie zawaliła. Zbocze Nonno zakołysało się na kilkunastu metrach, po czym runęło w ogromnych kłębach pyłu. Tony skał rozpadły się i grota znikła. Kiedy pył opadł, wszyscy pojęli, iż posągi spoczęły pod ziemią na wieczność i że nie zobaczy ich nikt więcej.

— To wybuch wulkanu — wyjąkał Battista.

— To Santa Mustiola! — dał się słyszeć z oddali przenikliwy głos Funghiny.

— To zamach terrorystyczny — rzekł Ciano.

Policjanci pojawili się w naszym domu nazajutrz rano, żeby aresztować ojca. Wyważyli drzwi i założyli mu kajdanki w chwili, gdy zamierzał pić kawę. Po czym zabrali się do przeszukania całego domu. Ojciec wzrokiem dał mi znak, bym nie ruszał się z miejsca. Pozostałem więc na krześle, podczas gdy oni plądrowali szafy, wywracali łóżka i wyrzucali wszystko na podłogę. Zerwali nawet parkiet, żeby sprawdzić, czy czegoś tam nie znajdą. To było pogwałcenie naszego spokoju domowego. Ubrania, moje dziecinne zabawki, zdjęcia, bielizna, talerze znalazły się na podłodze, deptane buciorami policjantów. W końcu ten, który dowodził grupą, zainteresował się biblioteczką. Wziął do ręki jedną książkę, drugą, przeczytał tytuły, zajrzał do środka, po czym rozkazał zakończyć rewizję. Jego blada twarz i martwe oczy przywodziły na myśl głowę ryby.

Zwrócił się do ojca ze złym uśmiechem.

— Wie pan, *Onorevole* Gastaldi, że obowiązuje zakaz posiadania takich książek, łącznie z tymi, które pan napisał, i że ich obecność w tym domu wystarczyłaby już, żeby posłać pana do więzienia.

Ojciec nic na to nie odpowiedział. Zrozumiałem, że wołał zachować milczenie, nie protestować i nie dać się sprowokować.

Policjant mówił dalej:

— A zamach w grocie? Nie miał pan z tym nic wspólnego?

— Stałem w pierwszym rzędzie — odrzekł ze spokojem ojciec. — Trzeba udowodnić, że obsunięcie się skał nastąpiło w wyniku zamachu. Zresztą przeciw komu? Nie ma ofiar.

— Znaleźliśmy detonator oraz sznurek łączący go z grotą. Dobra robota. Widać w tym rękę zawodowca. Faktem jest, *Onorevole*, że w czasie wojny dał się pan poznać w tej dziedzinie.

Ojciec nie odpowiedział. Miał kamienną twarz, jakiej u niego przedtem nie widziałem.

— Zastanawiam się — mówił dalej policjant — kto minionej nocy wniósł materiał wybuchowy do groty i odpowiednio go przygotował, a przede wszystkim kto przywiózł ten materiał na wyspę. Straż przybrzeżna zauważyła w nocy łódź, która płynęła bez świateł. Zatrzymała się na bardzo krótko, może naprzeciwko pańskiego domu. Tyle, żeby zdążyć wyładować dynamit i natychmiast odpłynąć. Oczywiście nic pan nie słyszał?

— Nic — odrzekł ojciec.

Policjant odwrócił się do mnie.

— A ty, chłopcze, też nic nie słyszałeś?

— Spałem. Nic nie widziałem ani nic nie słyszałem.

Uderzył mnie w twarz z całej siły.

— Mały krętacz! A po co pojechałeś przedwczoraj do Messyny?

— Żeby pospacerować tam z moją przyjaciółką, Agrippiną Foscari, powinien pan o tym wiedzieć, bo przecież wiecie o wszystkim.

Patrzyłem mu prosto w twarz. Wargi mi krwawiły, ale zmuszałem się do uśmiechu. Jeszcze się nie urodził taki człowiek, który zmusiłby mnie do donosicielstwa. Policjant kazał i mnie także założyć kajdanki. Wyciągnąłem ręce, cały czas się uśmiechając. Zobaczyłem błysk w oczach ojca. Był ze mnie dumny.

— Jazda! — rzekł policjant. — Zostaniecie przesłuchani na posterunku policji w Reggio, potem przewiozą was obu do Rzymu. To jasne, że chłopak przekazał w Messynie polecenie przywiezienia tutaj dynamitu.

Zwrócił się do mnie:

— Nie powiesz mi, że nie znasz *via dell'amore degli amici*?

Za przykładem ojca nic nie odpowiedziałem. W duchu szykowałem się na czekające mnie wkrótce przesłuchanie. Policjanci wyprowadzili nas. Przemarsz do miasteczka trwał około dwudziestu minut. Dwóch policjantów szło przed moim ojcem, dwóch za mną. Na przodzie kroczył ten o twarzy ryby. Nagle do mnie podszedł.

— Jeśli powiesz mi prawdę, zwolnię cię i szepnę słówko sędziemu w sprawie twojego ojca.

Wzruszyłem ramionami. Nie tylko mu nie wierzyłem, ale w dodatku dobrze pamiętałem starą zasadę Mezzogiorno — nigdy nie rozmawiać z przedstawicielami władzy, a zwłaszcza z tymi, którzy przybyli z Rzymu. Nie nalegał i dał mi spokój. Zobaczyłem, że szepcze coś ojcu, i wyobraziłem sobie jego słowa: „Jeśli pan się przyzna, *Onorevole*, pański syn zostanie zwolniony, a ja szepnę sędziemu słówko w pańskiej sprawie”.

— Niech pan nie strzępi języka — odrzekł ojciec — dzisiaj jest upalny dzień, a ludzie tacy jak pan nie są przyzwyczajeni do naszych temperatur. Pańska cera też może ucierpieć w tutejszym klimacie.

Codziennie chodziłem, raz rano, raz wieczorem, tą samą drogą, którą obierała Agrippina, żeby do mnie dołączyć, gdy wymykała się ze swojego domu, drogą, którą musiała chadzać moja matka w tamtym czasie, kiedy kochała mojego ojca. Jednak o tej porze Agrippina o niczym jeszcze nie wiedziała; z pewnością pomagała matce przy pracach domowych, przy myciu i ubieraniu młodszych braci. Moja matka pewnie już wsiadła na statek w towarzystwie Ciano, który otrzepał białą bluzę z czerwonych grudek ziemi, wraz z dziennikarzami, którym skonfiskowano aparaty fotograficzne, żeby wyjąć z nich klisze na wypadek, gdyby sfotografowali zawalenie się grotu.

Zaczęliśmy iść w dół ulicami miasteczka w stronę przystani. Nigdzie nie było widać nikogo. Żadnych przechodniów. Drzwi i okiennice były zamknięte na głucho, co mnie dziwiło o tej porze, ale pomyślałem, że mieszkańcy chcą oszczędzić nam upokorzenia, gdy tak szliśmy z kajdankami na rękach, w asyście policjantów, na oczach wszystkich. Byłem im za to wdzięczny. Pomyślałem też, że być może oglądam moje miasteczko ostatni raz. Dopiero przed przystanią, gdzie stał zakotwiczony statek, który przywiózł policjantów, pojąłem, dlaczego ulice były puste. Ludzie z miasteczka zgromadzili się na nabrzeżu. Byli tam wszyscy mieszkańcy: Battista, Foscari, Don Leonardo, Pasqualina... Nie brakowało nikogo. Przyszli nawet starcy i dzieci. Stali z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Nie odzywali się ani słowem. Zobaczyłem Agrippinę. Stała obok matki, obie dumnie wyprostowane. Patrzyły na nas. Agrippina nie płakała. Miała nieruchomą twarz, ale widziałem, że drżą jej usta. Byłem z niej dumny, tak jak mój ojciec ze mnie kilka chwil wcześniej. Mieszkańcy miasteczka utworzyli gęsty, zwarty mur przed przystanią. Prowadzący konwój policjant, zaskoczony i trochę zaniepokojony, zatrzymał się

— *Signore podesta*, proszę pozwolić nam przejść.

Jednak Battista nie ruszył się. Był ubrany w czarną koszulę, podobnie jak Foscari, który także miał na sobie swoją ślubną koszulę przefarbowaną na czarno, wkładaną na oficjalne okazje. On także nie drgnął.

— Nie możecie — rzekł Battista spokojnym, zdecydowanym głosem — zabrać Luki Gastaldiego i jego syna. Wszyscy ich dobrze znamy. Oni nic nie zrobili.

— Jeśli nic nie zrobili, to szybko wrócą — odparł policjant. — Proszę nas przepuścić. Battista jednak nadal nie ruszał się z miejsca.

— Obawiam się, że mnie pan nie zrozumiał. Pełnię funkcję podestata na tej wyspie i mówię panu, że oni są niewinni. To powinno panu wystarczyć. Proszę puścić ich wolno i odjechać tam, skąd przybyliście.

Sytuacja była patowa. Dowodzący grupą odwrócił się do swoich ludzi. Zamierzał wydać im jakiś rozkaz, kiedy przez tłum przepchnęła się Funghina. Stała przed policjantami. W rękach trzymała krzyż.

— Chcesz wiedzieć, kto wysadził grootę, piękny młodzieńcze? Powiem ci: to Santa Mustiola! A ja jej pomogłam. Chcesz wiedzieć dlaczego... A dlatego, żeby te pogańskie posągi nie przejechały tą samą drogą, którą wozimy naszą świętą. Nacisnęłam więc detonator w odpowiednim momencie i święta dokonała reszty. Aresztuj mnie, jeśli chcesz. W moim wieku nie możecie mi wiele zrobić.

Wyciągnęła przed siebie ręce. Dowódca policjantów nic nie pojmował. W tłumie zaczęły odzywać się kpiące głosy.

— Usuń się z drogi, stara kobieto. Nic do ciebie nie mam.

Funghina jednak zachowała się tak samo jak podestak. Stała jak wryta z rękoma wysuniętymi do przodu, z krucyfiksem zaciśniętym w dłoni.

— Dobra — rzekł policjant — rozumiem. Wykorzystujecie to, że jest nas tylko pięciu. Gdzie macie telefon?

— Niestety — odparł Battista — na wyspie tylko ja mam telefon. Jednak dziś rano się zepsuł. Próbowałem dzwonić, ale nie uzyskałem połączenia. Czasami trwa to kilka godzin, czasami kilka dni, w końcu zawsze go reperują. Nie pozostaje więc nic innego, tylko cierpliwie czekać.

W grę wchodził honor całej policji faszystowskiego państwa. Dowódca policjantów sięgnął do pasa i wyciągnął pistolet. Trzymał go lufą do ziemi.

— Proszę nie zmuszać mnie, żebym zrobił z niego użytek. Proszę nas przepuścić, a zapomnę o całym zajściu.

Rozległ się wystrzał, oddany z wysokości któregoś dachu. Ziemia rozprysnęła się tuż pod stopami policjanta, aż podskoczył.

— Kto strzelał? — wybełkotał.

— Nie mam pojęcia — odrzekł Battista. — Tutaj nigdy nie wiadomo, kto strzelił.

— Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, co pan robi, *signore podesta*? To przeciwstawianie się policji państwowej. Prędzej czy później będzie pan musiał zapłacić za to nie tylko swoim stanowiskiem, ale być może wolnością, chociaż nosi pan tę czarną koszulę.

Battista pokręcił głową. Wyjął z kieszeni kartkę papieru.

— Znowu się pan myli. Dziś rano, kiedy poszedł pan aresztować Lucę Gastaldiego i jego syna, zdążyłem przed awarią zatelefonować do burmistrza Reggio, *ras* Mataminiego, i powiedziałem mu, co pan zamierza zrobić. Okazuje się, że nie poinformował go pan o swoich zamiarach, a tylko on może wydawać rozkazy w tym regionie. Przysłał telegram, w którym przekazuje mi swoje policyjne uprawnienia na tej wyspie. Tak więc jest pan tutaj nielegalnie.

Podał telegram policjantowi, a ten rzucił na niego okiem i zaraz zwrócił.

— Proszę oddać pistolet — dodał Battista ze spokojem. — Dostanie go pan, kiedy będzie pan stąd wyjeżdżał, a to nastąpi wówczas, kiedy pański statek zostanie zreperowany, bo jakaś ryba przegryzła linę steru i trzeba nieco czasu na założenie nowej.

Policjant oddał broń. Dał znak swoim ludziom, by zdjęli nam kajdanki. Pasqualina rzuciła się w ramiona mojego ojca.

— No cóż — zakończył Battista swoim miłym głosem — panowie policjanci, nie chciałbym, żebyście zachowali złe wspomnienia o naszej wyspie. Zapraszam was do mojej restauracji, abyście się mogli orzeźwić.

Wziął pod ramię dowódcę policjantów i skierował się w stronę miasta. Pozostali funkcjonariusze poszli za nimi. Ojciec zdążył jeszcze odebrać skrzynkę, do której zapakowano

jego zakazane książki. Podszedł do niego Foscari:

— Luca, nie da się ich zbyt długo przetrzymać. Musisz natychmiast odpłynąć swoją łodzią. Zabierz ze sobą syna. Jutro wrócą z posiłkami i z ważnym nakazem aresztowania. Nie mogą was tutaj zastać.

Ojciec uściskał go. Ciągle mam przed oczyma obraz mojego ojca i Foscariego, obejmujących się. Agrippina złapała mnie za rękę.

— Ja też jadę! — krzyknęła.

— Nie ma mowy! — rzekł mój ojciec. — Zobaczycie się później, gdzie indziej. Nie mogę cię zabrać tam, gdzie się wybieram.

Ojciec miał rację. Nie miałem nic do dodania. Potem wszystko działo się bardzo szybko. Girasole już zapuścił silnik. Wskoczyliśmy obaj do łodzi.

— Płyniesz z nami? — zapytał ojciec.

Girasole tylko wzruszył ramionami. Oczywiście, że płynął. On mógł. Trzymałem Agrippinę za ręce, ale nie zdążyłem jej pocałować, bo Girasole podniósł kotwicę i nasze ręce się rozłączyły. Łódź odpływała od nabrzeża. Jeszcze dziś słyszę głos Agrippiny:

— Carlo! Carlo!

Potem jeszcze coś krzyczała, ale nie dosłyszałem dobrze. Nie wiedziałem, co powiedzieć. To wszystko mnie przerosło. Zawołałem:

— *Ciao bella!*

Łódź minęła już molo.

Popłynęliśmy więc w ten rejs z silnikiem pracującym na pełnych obrotach i z postawionym żaglem. Dopóki nie straciliśmy wyspy z oczu, ojciec sterował w prawo.

— Będą czekać na nas w Messynie. Popłyniemy tam. To o wiele dalej, ale dużo bezpieczniej.

Stałem na dziobie, mając za zadanie ostrzegać przed nadpływającymi łodziami, ale widziałem jedynie statki z turystami. Gdy zbliżyliśmy się do Palermo, ojciec ściągnął żagiel. Zamierzał poczekać, nie mówiąc mi na co. Wkrótce zrozumiałem, o co mu chodziło, kiedy włączył się w sznur rybackich łodzi wracających do portu jedna za drugą. Gdy tylko znalazł się w porcie, opuścił szereg i popłynął wzdłuż nabrzeża do jakiegoś hangaru i tam dopiero przycumował. Zeszliśmy na ląd we dwóch, Girasole został, by pilnować łodzi. Jakiś człowiek kierował się w naszą stronę. Popatrzył na ojca, potem na łódź. Ojciec powiedział do niego kilka słów w dialekcie. Mężczyzna nie odrzekł nic, ale po kilku minutach zainstalowany tam dźwig podniósł łódź i postawił ją na kołysce do wodowania znajdującej się w hangarze, którego bramy zostały natychmiast zamknięte. Ojciec porozmawiał jeszcze chwilę z tym mężczyzną, po czym podszedł do mnie. Girasole miał zostać, żeby czuwać nad zleconymi przez ojca przeróbkami łodzi.

Zapadał zmrok. Była to moja ulubiona pora, lecz tym razem nie zwracałem na to uwagi. Uciekłem wraz z ojcem i Girasolem. Opuściłem wyspę i Agrippinę. Podporządkowałem się mechanicznie danym mi rozkazom. Nie chciałem się nad niczym zastanawiać. Wieczorem wrócił ojciec, tym razem w towarzystwie mężczyzny ze sklepu w Messynie na *via dell'amore degli amici*. Ten popatrzył na mnie z sympatią.

— Nadal bolą cię zęby? — zapytał.

— Coraz bardziej, zwłaszcza siekacz z prawej strony.

Pokiwał aprobująco głową.

— Pójdiesz ze mną. Zaprowadzę cię w bezpieczne miejsce.

Spojrzałem na ojca. Wyglądał na zmęczonego. Westchnął.

— Posłuchaj, Carlo. Rozstaniemy się na kilka dni do czasu, aż znajdę jakieś rozwiązanie dla nas obu. Zgoda?

Nie miałem wyboru, musiałem się zgodzić, chociaż marzyłem tylko o jednym — żeby wrócić na wyspę i do Agrippiny. Uściskałem ojca, pytając, czy go jeszcze zobaczę. Poklepał mnie swoim zwyczajem po ramieniu na znak, że mnie kocha i że zajmie się mną. Wsiadłem do samochodu właściciela sklepu. Powiedział, że ma na imię Fabrizio. Mogłem mówić mu po imieniu, ponieważ byliśmy teraz towarzyszami, a któregoś dnia, jak dodał, zostaniemy braćmi. Zawiózł mnie w góry. Samochód nie wyglądał zachęcająco, ale silnik działał doskonale. Fabrizio zaczął śpiewać naprawdę pięknym głosem. Zaskakujące, że zwykły człowiek ma taki talent. Powiedziałem mu o tym i chyba sprawiłem mu przyjemność. Wyznał, że pragnął zostać zawodowym śpiewakiem, los jednak zdecydował inaczej. Tak więc śpiewał tylko dla siebie i przyjaciół, czasami podczas świąt w jakimś miasteczku, gdy go tam zapraszano. To, co śpiewał, to aria z opery *Cavalleria rusticana*, ale ja nie miałem pojęcia o żadnej operze.

— Niedobrze — rzekł Fabrizio. — Dla Włocha znajomość opery to narodowy obowiązek. Nawet faszyzm ją ceni.

Przyjechaliśmy na jakąś farmę. Wsiadłem z samochodu razem z Fabrizioem. Zapukał do drzwi w szczególny sposób. Na progu pojawił się mężczyzna. Za jego plecami widać było całą rodzinę siedzącą przy stole.

— To jest Carlo — rzekł Fabrizio. — Zostanie u was przez kilka dni.

— Wiem — odrzekł mężczyzna.

Zaprosił mnie do środka, a Fabrizio odjechał. Słyszałem odgłos silnika, gdy zniknął za zakrętem. Wszedłem do jadalni. Była tam kobieta, jej córka i dwóch synów.

— To Angelina, Toni i Claudio — powiedziała kobieta. — Ja jestem Lauretta, a on — wskazała na męża — to Alberto. Usiądź, na pewno jesteś głodny. Wiem coś na ten temat.

Wówczas dopiero uświadomiłem sobie, że od rana nie miałem nic w ustach. Lauretta przyniosła dla mnie talerz, na który położyła przygotowane przez siebie danie. Angelina spojrzała na mnie z miną wyrażającą współczucie i uśmiechnęła się, a ja odpowiedziałem jej tym samym. Dwaj bracia, Toni i Claudio, parsknęli śmiechem. Alberto nalał mi wina. Traktował mnie jak dorosłego mężczyznę. Podjęli rozmowę przerwana moim przyjazdem. Mówili o swoich kozach, przyszłych zbiorach i o aktualnej pogodzie. Słuchałem, nie odzywając się słowem. Gdy skończyłem jeść, Lauretta podała mi kawę, a Alberto dolał trochę grappy, żebym, jak wyjaśnił, lepiej spał, bo jak przypuszczał, miałem za sobą ciężki dzień.

W domu Alberta i Lauretty spędziłem trzy dni i trzy noce. Nikt nie stawiał mi żadnych pytań i ja też o nic nie pytałem. W dzień spacerowałem koło farmy albo towarzyszyłem Angelinie, która pilnowała kóz. Nie była ładna, ale bardzo miła. Domyślałem się, że chciałaby wiedzieć, skąd przyjechałem i dokąd mam się potem udać, ale przestrzegła zasady, że nie należy wypytywać gościa, który ma na pieńku z władzą. Ponieważ nie umiała czytać, nie chodziła do kina, a w szkole bywała raczej rzadko, mieliśmy mało tematów do konwersacji.

Wpadłem więc na pomysł, żeby opowiedzieć jej o wojnie trojańskiej. Najwyraźniej nigdy o niej słyszała, a była to długa i piękna historia. Zacząłem od sceny, kiedy trzy boginie walczą o pierwszeństwo pod względem urody. Wyjaśniłem, jak rozstrzygnął ten spór nieznany jeszcze syn Priama, króla Troi, Parys, któremu przepowiedziano, że spowoduje upadek tego miasta. Opowiedziałem o bogach i boginiach, o skomplikowanych stosunkach między nimi i ludźmi. Od czasu do czasu musiałem przerywać, żeby Angelina mogła złapać kożę, która odeszła za daleko, lecz zaraz potem prosiła mnie, bym opowiadał dalej, bo tak ją to zainteresowało. Uznała, że to znacznie ciekawsze niż czytane w radiu we fragmentach powieści o miłości. Czwartego dnia przyjechał po mnie Fabrizio. Musiałem niezwłocznie opuścić to miejsce. Angelina miała łzy w oczach. Doszliśmy do momentu, kiedy Grecy ustawiają na plaży skonstruowanego przez nich słynnego drewnianego konia.

— Nigdy się nie dowiem, jak się to skończyło — powiedziała z żalem.

— No to posłuchaj. Grecy ukryli się we wnętrzu tego konia. Trojańczycy wciągnęli konia do miasta. Grecy w nocy wyszli z brzucha konia i otworzyli bramy swojemu wojsku. Troja została spalona. Andromacha dostała się do niewoli, ale w końcu uciekła. Parys został zabity, nie wiem przez kogo, a Eneasz dopłynął do Italii i jego potomkowie założyli Rzym.

Fabrizio już ruszył. Angelina, biegnąc obok, krzyknęła:

— A Helena?! Co się stało z Heleną?!

— Menelaos przebaczył jej i zabrał ją z powrotem do Sparty.

Zobaczyłem na jej twarzy zaskoczenie, że Helena wyszła z tej historii cało.

— Dobrze się tu czułeś? — zapytał Fabrizio.

Odpowiedziałem twierdząco, ale skłamałem. Prawdę mówiąc, wojna trojańska uratowała mnie przed wpadnięciem w rozpacz. W nocy z trudem udawało mi się nie płakać. Chciałem wrócić do Agrippiny, chciałem wrócić na naszą wyspę, ale zdawałem sobie sprawę, że je straciłem. Fabrizio zawiózł mnie do jakiegoś baru w porcie naprzeciw przystani, skąd odpływały statki pasażerskie, i zniknął. Ojciec czekał na mnie w barze. Zamówił kawę dla nas obu i podał mi sakiewkę.

— Są tu złote monety — rzekł. — Będiesz mógł je wymienić wszędzie, w banku i u jubilera. W środku jest rachunek za nie. Dowiesz się więc, ile są warte. To twój spadek.

Miał zapadłe oczy człowieka, który dawno nie spał, i znużoną twarz. Było w niej coś jeszcze, czego nigdy przedtem u niego nie widziałem. Wyraz niezmiernego smutku.

— Carlo — powiedział — mamy tylko pół godziny, potem wsiądziesz na statek, który stoi naprzeciwko. Popłyniesz do Reggio. Tam się tobą zajmą i zawiozą w bezpieczne miejsce.

Wypił kawę, nie spuszczać ze mnie wzroku. Widziałem, że stara się odcisnąć w pamięci moje rysy, i ja uczyniłem to samo. Wyciągnął rękę nad stołem i ujął moją dłoń.

— Musimy się rozstać. Jestem poszukiwany. Nie chcę, żebyś był ze mną, kiedy mnie złapią. Rozumiesz?

To, co mi oznajmił, było katastrofą. Przerazała mnie myśl, że mogą znowu zakuć go w kajdanki, zamknąć w więzieniu, a może i jeszcze gorzej.

— Powiedz — wyjąkałem — powiedz, gdzie będziesz. Muszę wiedzieć, co się z tobą dzieje. Nie chcę, żeby cię uwięziono.

Po twarzy przemknął mu taki uśmiech jak wtedy, kiedy go coś rozbawiło. Powiedział, że tu, na Sycylii, niebezpieczeństwo jest niewielkie, ale nie może spędzić całego życia na ukrywaniu się. Musi zamieszkać gdzieś indziej i wrócić do rybołówstwa. To wszystko, co umie robić poza wojowaniem i pisaniem książek, w których wyraził swoją opinię na temat spraw dotyczących Włoch i świata. Znowu się uśmiechnął po swojemu.

— Tej nocy — wyszeptał — kiedy straż przybrzeżna będzie z drugiej strony, ja razem z Girasolem wypłynę w morze. Łódź została całkowicie przerobiona i przemalowana, inaczej wygląda kabina. Zmieniono jej nazwę i mam odpowiednie dokumenty.

Nie zapytałem, dokąd popłynie. Na pewno lepiej było, żebym o tym nie wiedział. Nie pytałem także, dokąd ja pojedę. Gdybym został złapany, najlepszym sposobem na to, żeby nic nie powiedzieć, było nie wiedzieć o niczym. Obaj musieliśmy się podporządkować temu samemu prawu.

— Posłuchaj — odezwał się ojciec ponownie. — Jestem ci winien wyjaśnienia w sprawie, za którą oczywiście ponoszę odpowiedzialność. Mam na myśli grotę. Nie mogłem zgodzić się na to, żeby te posągi wsparły faszystowskie władze w szykowanej przez nie wojnie. Dla mnie był to wystarczający powód, żeby je zniszczyć, nie dopuścić, żeby zostały przewiezione do Rzymu, ale nie działałem sam, powinieneś poznać całą prawdę. Zresztą gdybym przewidział konsekwencje, jakie czekały nas obu, nigdy bym tego nie zrobił. Nie było mowy o tym, żebym miał wybierać między synem a polityką. Jednak jest coś, o czym się dowiedziałem i co mnie podnosi na duchu. Wszyscy ci, którzy dostali taką samą propozycję od duce, aby znowu dołączyć do niego, a odmówili jak ja, zostali aresztowani pod zarzutem udziału w antypaństwowym spisku. Prawdziwym powodem mojego aresztowania było to, że odmówiłem. Żeby zewrzeć szeregi, Mussoliniemu potrzebny jest spiszek i wskazanie jego autorów. Znam dobrze twoją matkę i jestem pewny, że nie miała z tym nic wspólnego. W przeciwnym wypadku nie opowiedziałaby mi o tym wszystkim, a ja zgodziłbym się wrócić do Rzymu, żeby nie zaszkodzić tobie. Z pewnością chciano wydobyć z ciebie zeznania w zamian za wolność.

Ojciec umilkł. Na dworze rozległa się pierwsza syrena nawołująca pasażerów wybierających się do Reggio. Wstałem. Chciałem go objąć i pocałować, lecz nie był to dobry moment, żeby robić z siebie widowisko.

— Wiem, dokąd pojedziesz, Carlo. To bardzo daleko — dokończył. — Dowiesz się w ostatniej chwili. Napiszę do ciebie, ale nie oczekuj wiadomości ode mnie wcześniej niż za miesiąc.

Życzył mi *buona fortuna*, po czym gwałtownie wstał, klepnął mnie po ramieniu i zniknął

w sali na zapleczu.

Syrena na statku zawyła drugi raz. Nadeszła pora wyjazdu.

Wieczorem statek wpłynął do portu. Zostało mi jeszcze kilka lirów, kupiłem więc niezbyt smaczną kanapkę, którą wrzuciłem do wody, nie dojadłszy do końca. Nie byłem głodny. W trakcie rejsu przeżyłem trudne chwile, kiedy w zasięgu wzroku miałem moją wyspę i w oddali dostrzegłem grzbiet Nonno. Przyszła mi nawet do głowy szalona myśl, żeby rzucić się do wody i popłynąć do brzegu, ale oczywiście nic takiego nie uczyniłem.

Myślałem o Agrippinie. Co robiła o tej porze? Gdzie była? Czułem, że ból, który tłumiałem w sobie podczas pobytu u Alberta i Lauretty, teraz zacznie mnie naprawdę dręczyć i szybko nie minie. Zszedłem na ląd z ostatnimi pasażerami, czujnie rozglądając się wokół. Obok wyłoniła się czarna sylwetka. Był to Don Leonardo. Uściskał mnie.

— Wsiądziemy do autobusu i pojedziemy pod wskazany mi adres. Tam cię zostawię...

Kiedy znaleźliśmy się w autobusie, zapytałem, co się działo po naszej ucieczce. Don Leonardo opowiedział mi, że policja przyszła nazajutrz do naszego domu, ale nic nie mogli zdziałać i odeszli. Raczej już nie wrócą.

— A Agrippina?

Była to jedyna rzecz, która mnie naprawdę interesowała. Don Leonardo sięgnął do plecaka i podał mi kopertę.

— Kiedy jej powiedziałem, że się z tobą zobaczę, spędziła u mnie cały wieczór. Masz przeczytać ten list dopiero wtedy, kiedy będziesz sam. Jeszcze mam dla ciebie prezent.

Znowu sięgnął do plecaka i wydobył z niego grubą książkę.

— To najlepszy, jaki istnieje, słownik języka łacińskiego. Wydany został przez Watykan i nie jest dostępny w powszechnej sprzedaży. Mój osobisty egzemplarz. Daję ci go w prezencie. Jeśli pójdziesz tą drogą, jakiej ci życzę, będziesz go bardziej potrzebował niż ja.

Autobus zatrzymywał się co chwilę na przystankach. Don Leonardo czytał uważnie tablice z nazwami ulic. Nagle powiedział:

— Tutaj wysiądziesz i pójdziesz pod numer sto trzydzieści dwa. Tam na ciebie czekają.

— A książka?

— Pojadę dalej tym autobusem, potem przesiądę się do innego, jadącego w przeciwnym kierunku, i wrócę statkiem. Lepiej, żeby nie widziano nas razem.

Nie pytałem go, kto dostarczył mu tych informacji, a on nie kwapił się, by mi to wyjaśnić. Kiedy zamieszkał w Mezzogiorno, poznał tamtejsze zasady. Autobus zwolnił i się zatrzymał. Wsiadłem i odwróciłem się. Don Leonardo pomachał do mnie przez szybę i autobus odjechał. Ruszyłem ulicą, którą mi wskazał. Była to bogata ulica z willami i ogrodami. Numer sto trzydzieści dwa widniał przy wysokiej żelaznej bramie. Zadzwoiłem i brama otworzyła się automatycznie. Poszedłem aleją wysypaną żwirem. W jednej ręce trzymałem sakiewkę ze złotymi monetami od ojca, w drugiej słownik od Don Leonarda i list od Agrippiny.

— Tędy, Carlo.

Na końcu alei pokazała się moja matka. Wyciągnęła do mnie ręce. Po raz pierwszy. Upuściłem na ziemię sakiewkę, słownik i list i rzuciłem się w jej objęcia.

Potem czekała mnie pierwsza w życiu i zarazem ostatnia podróż z moją matką, bo kiedy rozstaliśmy się, nigdy więcej już jej nie zobaczyłem. Podróż, która trwała całą noc, w długiej czarnej limuzynie, samochodzie służbowym Mataminiego, *ras* Reggio, przyjaciela mojego ojca z czasów wojny, tego, który po wykluczeniu mojego ojca z parlamentu i życia politycznego wspierał go i nadal darzył przyjaźnią, kiedy ojciec stał się zwykłym rybakim na jednej z licznych wysep między kontynentem i Sycylią. To on pożyczył swój samochód i nawet szofera, człowieka dyskretnego i godnego zaufania, który prowadził wóz krętymi drogami Kalabrii na północ. Widziałem tylko jego kark przez szybę oddzielającą przednią część samochodu od tylnej, tak iż nic nie mógł usłyszeć z prowadzonej przez nas cichej rozmowy.

— Musisz wiedzieć — zaczęła moja matka — że posągi z grotty to falsyfikaty wykonane w jakimś mieście Kampanii i sprzedane zagranicznym turystom zwiedzającym ten region. Twój ojciec znalazł je w czasach naszej młodości w rozwalonej skrzyni wyrzuconej na jedną z plaż po katastrofie, jakiej zapewne uległ transportujący je statek. Przenieśliśmy je do grotty, w bezpieczne miejsce, z dala od ciekawskich spojrzeń, i tak to się zaczęło. Twój ojciec wyrył nożem napis *Aquila Balkem vincebit*, bo on był orłem, a ja królową Saby. Ja dorysowałam kotkę, bo tak wtedy przezywano mnie w miasteczku, i żeby było śmieszniej, wyryłam na dole imię Herofile. Każdy archeolog szybko zorientowałby się w naszej zabawie i dlatego ja, wbrew temu, co oficjalnie mówiłam, nie miałam innego wyjścia, musiałam zapobiec przewiezieniu tych posągów do Rzymu, bo chciałam uniknąć ośmieszenia faszystowskich władz.

Z tego powodu postawiłam na straży przed grotą policjanta, któremu obiecałam awans. Twój ojciec zdążył wcześniej dostać się do grotty i założyć tam ładunki dynamitu, który przedtem zamówił w Messynie. Zostały przywiezione łodzią poprzedniej nocy. Odkąd rząd faszystowski z pomocą prefekta Mori rozpędził brutalnie Onoratę⁴⁶, Sycylia jest wrogo nastawiona przeciw reżimowi i dlatego twój ojciec nie miał żadnych trudności ze znalezieniem pomocy, tym bardziej że jako bardzo młody człowiek został członkiem Onoraty, podobnie jak przed nim jego ojciec i jak również mój własny ojciec. Pomogła nam Funghina, która zdetonowała ładunek na znak dany przez twojego ojca, kiedy ostentacyjnie nałożył okulary przeciwsłoneczne. Każde z nas trojga miało swój powód, żeby wysadzić grotę. Nie mogłam jednak przewidzieć, że wybuch posłuży za pretekst, żeby was obu aresztować. Prawdziwy powód jest zupełnie inny. Mussolini chce przeprowadzić czystkę wśród opornych członków partii przeciwnych wojnie etiopskiej, która potrzebna jest reżimowi dla wzmocnienia autorytetu.

Zapytałam matkę, dlaczego nie przekonała władz, aby nie wystawiano na widok publiczny tych fałszywych posągów.

— Było na to za późno! Ciano już zapowiedział swoje przybycie na wyspę, pisały o tym gazety, które wysłały dziennikarzy, przyjechał także taki specjalista jak William Thomson, który natychmiast rozpoznałby oszustwo. Z tego też powodu zabroniłam robić zdjęcia i dotykać posągów.

— Wydaje mi się, że on i tak odkrył prawdę.

Matka zrobiła swój charakterystyczny ruch ręką.

— Gdyby przysłano tutaj kogoś innego, a nie mnie, wybuchłby skandal. Ucierpieliby na tym nie tylko wyżsi urzędnicy, lecz także mieszkańcy wyspy. Dlatego zgodziłam się przyjechać i odegrać komedię. Sądziłam, że postępuję słusznie. Dzisiaj, kiedy widzę, jak sprawy się potoczyły, myślę, że się pomyliłam. Gdybym wiedziała wcześniej o trwającej już czystce, byłabym bardziej ostrożna i ostrzegłabym twojego ojca, wiedząc, że odrzuci ofertę duce. Nie

przewidziałam jednak, jakie będą konsekwencje jego odmowy. Czasami jestem bardziej naiwna, niż można by sądzić. Słyszałeś, co powiedział Ciano: *Boia chi molla*. To popularne wyrażenie w Rzymie w środowisku, w którym się obracam. Ten, kto odstępuje od faszystowskiej idei, jest najgorszym łotrem. Należy go traktować jak zbrodniarza.

Długi był monolog mojej matki. Opowiadała o swoim życiu. W czasie tej nocnej podróży próbowała nadrobić lata nieobecności w moim życiu. Powiedziała mi, że mój ojciec był jedynym człowiekiem, którego kochała. Nie wątpiła, że on także ją kochał, chociaż wiedziała o jego związku z Pasqualiną. Opowiedziała mi o swoim mężu, Erneście Ricovaccim. Był czarującym człowiekiem, ale jak wielu faszystowskich dostojników, których miała okazję poznać, dał się ponieść najbardziej niedorzecznym marzeniom Mussoliniego. Opowiedziała o Galeazzu Ciano, równie urzekającym, sympatycznym, zabawnym, przystojnym, ale tak słabego charakteru — uśmiechnęła się przy tym — że nie dawało się przemówić mu do rozsądku. Ten człowiek, całkowicie uzależniony od Mussoliniego, był zdolny do najbardziej bezsensownych czynów, nawet szkodzących jego własnym interesom. Nie przestawała mówić, podobnie jak mój ojciec, kiedy pewnego wieczoru, na tarasie, opowiadał mi o swojej przeszłości. Mówiła o innych jeszcze ludziach, których znała. Jednych nienawidziła, drugich szanowała, tak jak Mataminiego, który podjął ryzyko, żeby ratować mojego ojca i nawet mnie, użyczając swojego samochodu.

Przekonałem się, jak realne jest niebezpieczeństwo, gdy musieliśmy minąć trzy posterunki na drodze. W światłach limuzyny ukazywał się napis „Alt Polizia” i wszystkie samochody zwalniały, by ustawić się w kolejce do kontroli prowadzonej przez karabinierów i mężczyzn ubranych po cywilnemu. Czuję lęk, jednak nasz szofer bez wahania przejeżdżał obok kolejki. Przez okno pokazywał urzędowy dokument, na którego widok karabinierzy stawali na baczność, a my odjeżdżaliśmy z łopoczącym na wietrze proporczykiem z herbem *ras* Kalabrii umieszczonym z prawej strony wozu.

— Czy jedziemy do Rzymu? — zapytałem matkę.

Nie odpowiedziała. Zrozumiałem, że o miejscu przeznaczenia dowiem się w ostatnim momencie, zgodnie z regułą przezornego milczenia, której przestrzegała jak prawdziwe dziecko Południa.

Podróż trwała całą noc. Od czasu do czasu zasypiałem na krótko, a kiedy się budziłem, widziałem pochyloną nade mną twarz matki. Przyglądała mi się tak samo jak ojciec w barze, żeby utrwalić w pamięci moje rysy. W milczeniu spoglądała w noc przez okno, po czym wracała spojrzeniem do mnie. Uśmiechała się, brała mnie za rękę i zaczynała znowu opowiadać. Wspominała o swoim życiu na wyspie, o szkole, gdzie poznała mojego ojca, o ich eskapadach, kiedy się w sobie zakochali, o tym, jak znaleźli posągi i umieścili je w grocie, co było odtąd ich wspólną tajemnicą. Im dłużej mówiła, tym bardziej stwierdzałem, że jej romans z moim ojcem przypominał to, co przeżywałem z Agrippiną. Powiedziała jednak także, że teraz, gdy ma już swoje lata i wraca pamięcią do tego, co przeżyła, uświadamia sobie, że zawsze kierowała się chwilowymi pragnieniami, ślepa na grożące jej konsekwencje.

— Może powinnam była wrócić z twoim ojcem na wyspę, ale duce poprosił mnie, bym została. Z pewnością był to warunek, żeby nie prześladowano twojego ojca, żeby zostawiono go w spokoju, ale też czułam się wyróżniona i pozwoliłam mu odjechać. I tobie też pozwoliłam odjechać, a teraz siedzimy razem w tym samochodzie, którym uciekasz przed reżimem, któremu służę. Znamy się, Carlo, bardzo mało, i nie wiem, czy cię jeszcze kiedyś znowu zobaczę. Poprzedniej nocy spotkałam się w Palermo z twoim ojcem. Uzgodniliśmy, że pojedziesz wozem Mataminiego. A twój ojciec właśnie teraz odpływa swoją łodzią jak najdalej od Włoch, mając nadzieję, że nie zauważy go straż przybrzeżna.

Niespodzianie zaczęła płakać, a ja zareagowałem wówczas tak, jakbym chciał ją

pocieszyć. Objąwszy ją, wdychałem jej perfumy, te same, których używała, gdy byłem dzieckiem, które rozpoznałem w grocie. Moja matka, pani Ricovacci, dyrektorka Faszystowskiego Instytutu Badań nad Imperium Rzymskim, łąkała w moich ramionach.

O świcie dotarliśmy do przedmieść jakiegoś wielkiego miasta. Był to Neapol. Matka podała szoferowi adres znanego jej hotelu, a potem go odesłała, wsunąwszy mu do ręki plik banknotów. W hotelu oboje wykapaliśmy się i położyłem się spać. Obudziła mnie koło dziesiątej.

— Musimy iść na zakupy — oznajmiła.

Taksówka zawiozła nas na via Toledo, ulicę najlepszych sklepów w Neapolu. Chciała ubrać mnie od stóp do głów, kupując koszule, marynarki, kilka garniturów, a nawet biały strój do tenisa, bo jak powiedziała, umiejętność gry w tenisa jest konieczna dla ambitnego młodzieńca. W trakcie zakupów przypomniałem sobie przepowiednie Agrippiny o tym, że matka zabierze mnie do eleganckich sklepów, żebym był ubrany według jej gustu. Po zakupach zostałem zaprowadzony do Gambrinusa, luksusowego baru naprzeciw budynku, w którym, jak się od niej dowiedziałem, mieściła się opera San Carlo. Podawano tam przepyszne dania na zimno. Oszołomiony otwierałem szeroko oczy, dawałem się prowadzić, byłem jakby w innym świecie, ale przez cały czas w głębi ducha zastanawiałem się, co ona zamierza ze mną zrobić.

— Będziemy musieli się rozstać — powiedziała matka. — Zaufana osoba ma adres, na który będziesz mógł do mnie pisać. Kiedy otrzymam twój list, odpiszę także na ten adres.

Podawała mi portfel.

— To pieniądze dla ciebie, twój spadek. Nie bądź rozrzutny, ale nie martw się. Dopóki będę żyła i będzie mnie na to stać, obiecuję regularnie wysyłać ci pieniądze. Otworzyłam już konto na twoje nazwisko tam, gdzie teraz jedziesz, i przeleję na nie odpowiednie sumy. Nigdy ci niczego nie zabraknie.

Powiedziałem, że dostałem już od ojca w spadku złote monety. Uśmiechnęła się. Wcale jej to nie zdziwiło.

— Dokąd ja jadę? — zapytałem w końcu. — Do Francji?

Pokręciła przecząco głową.

— Nie, Carlo. Jedziesz dużo dalej.

Podawała mi drugi portfel. Były w nim wszystkie dokumenty potrzebne przy kontroli policji i na komorze celnej.

— Jaka kontrola? Jaka komora celna?

Nie odpowiedziała. Zamówiła taksówkę. Kierowca zapakował walizki zawierające wszystko, co mi kupiła. Miałem na sobie jasny garnitur i pierwszy w życiu krawat.

— Do portu międzynarodowego — poleciła.

A do mnie powiedziała:

— Nie martw się o kontrole. Przepuszczą cię. Matamini zrobił, co należało.

Samochód ruszył. Im bliżej byliśmy portu, tym bardziej twarz matki się chmurzyła.

— Bardzo cierpię z tego powodu, że znowu cię opuszczam. Zaraz nastąpi nasze prawdziwe rozstanie.

Taksówka się zatrzymała. Przy nabrzeżu stał ogromny statek zasłaniający horyzont. Nazywał się *Star of Boston*. Na rufie zobaczyłem flagę amerykańską.

— Płyniesz do Ameryki, Carlo — powiedziała już bez ogródek.

Pomogła mi wyjąć bagaże i powierzyła je tragarzowi, potem pokazała mi kolejkę pasażerów przechodzących przez kontrolę.

— Idź tam...

Niespodziewanie objęła mnie z nieoczekiwaną siłą.

Chciałem ją pocałować, ale dała mi znak, żebym tego nie robił, żebym szedł od razu na

statek. Zachowywała się tak samo jak mój ojciec. *La rappresentazione d'addio, non c'era*⁴⁷.

Ruszyłem w kierunku funkcjonariuszy dokonujących kontroli granicznej. Podałem dokumenty, które otrzymałem od matki. Mężczyzna w mundurze, z nieprzeniknioną twarzą, z pistoletem przy pasie, wyciągnął rękę w skórzanej rękawiczce.

— Carlo Gastaldi — powiedział, patrząc mi w oczy.

Zapytał mnie o datę i miejsce urodzenia. Odpowiedziałem machinalnie. Wciąż mi się przyglądał, po chwili zwrócił dokumenty, dając znak, że mogę przejść, i w tym momencie mruknął: *Buona fortuna*. Odwróciłem się. Matki już nie było. Na dole trapu czekał na mnie mężczyzna w eleganckiej marynarce, w spodniach pumpach. Był to William Thomson.

— Witaj w Ameryce, Carlo — rzekł.

Dwie godziny potem wyszedłem na pokład w poszukiwaniu spokojnego kącika, gdzie mógłbym przeczytać list od Agrippiny. Jednak miejsca były zajęte przez turystów. Rozmawiali ze sobą w tym ich nosowym języku, przepychali się, żeby podziwiać Zatokę Neapolitańską. *Star of Boston* opuścił redę i płynął wzdłuż wyspy, którą turyści pokazywali sobie i nazywali ją Capri. Łąd oddalał się i przez chwilę poczułem panikę, nawet rozpacz. Podszedł do mnie William Thomson. Domyślając się, jak jestem zagubiony, zdenerwowany, nieszczęśliwy, położył mi rękę na ramieniu.

— Co ja teraz będę robić? — zapytałem.

— Uczyć się angielskiego — odpowiedział.

Agrippina ad Carolum,

Amor meus in saeculis saeculorum ergo per semper es...⁴⁸.

Tak zaczynał się list Agrippiny, pierwsze linijki dwudziestu stron, które pisała nocą, częściowo po łacinie, częściowo po włosku, walcząc z sennością, kiedy oczy same się zamykały. Pisała całą noc, bo tak było to dla niej ważne, bo chciała wręczyć rano list Don Leonardowi, żeby przekazał go mnie jeszcze tego samego dnia. Nie znając mojego adresu, nie wiedziała, czy będzie miała jeszcze okazję do napisania następnych listów. Pisała, miotana niepokojem, jakie będzie jej miejsce w moim przyszłym życiu.

Pismo, na początku staranne, potem zmieniało się w zależności od jej stanu ducha. Na pierwszych stronach zapewniała o stałości i niezmienności swoich uczuć, potem, ulegając zmęczeniu, gniewowi, rozpaczy, buntowała się przeciw losowi, złościła się na samą siebie i na mnie, oskarżając mnie, że zламаłem jej życie. Już po chwili przeproszała za to, co napisała, choć się z tego nie wycofywała, wracała do łaciny, co świadczyło o tym, iż odzyskiwała panowanie nad sobą.

Co pisała? Byłem głównym tematem jej listu. Dokonywała drobiazgowej analizy tego, co powiedziałem któregoś dnia, tego, co zrobiłem, tego, czego nie zrobiłem, co zanotowała w swojej pamięci z myślą, że powie mi to później, któregoś dnia, kiedy nasza sytuacja się ustabilizuje, nasza miłość będzie tak pewna jak *banca d'Italia*, tak silna, że będzie mogła poradzić sobie ze wszystkimi okolicznościami wspólnego życia. I oto okazuje się, że taki dzień nie nadejdzie, bo ja oddalam się od niej, wprawdzie wbrew mej woli, ale odjeżdżam gdzieś bardzo, bardzo daleko, tak jak ona przeczuwała, nic jeszcze o tym nie wiedząc, że rozdzieli nas niezmiernie przestrzenie ziemi i morza, że słońce będzie wschodzić dla każdego z nas o innej godzinie, że będzie świecić jednemu, gdy drugie będzie w tym czasie spać, że będziemy należeć do dwóch różnych światów, bez możliwości komunikowania się, jak żywi i martwi, jakby jedno wciąż żyło, a drugie już umarło. Korzysta więc z tej jedynej okazji, żeby napisać mi o tym wszystkim, nie wiedząc, czy jej kiedykolwiek odpiszę. Nie mogąc ze mną porozmawiać, musi napisać mi to wszystko, co do tej pory przemilczała, albo powtórzyć to, na co w danej chwili w ogóle nie zwróciłem uwagi, z czego zdawała sobie sprawę. Musi więc przekazać to wszystko na piśmie, żebym nigdy o tym nie zapomniał, żebym miał to w pamięci, kiedy w świecie, w którym będę żył, pojawi mi się przed oczyma jej obraz. Ponieważ nigdy nie spędziliśmy ze sobą całej nocy, chce w ten sposób spędzić ze mną tę niezwykłą noc miłości, pisząc do mnie, pochylona nad stołem na plebanii, uzyskawszy przedtem pozwolenie rodziców, żeby mogła tu spać. Zależy jej bardzo na tym, żeby list zabrał rano Don Leonardo, który ma odpłynąć pierwszym rejsowym statkiem i spotkać się ze mną w nieznanym jej miejscu, zanim ja udam się w tę niepojętą podróż, z której, jak przewiduje, nie wrócę albo wrócę za późno.

Tak więc, jak pisała, była to noc bez łóżka, bez pościeli, nawet bez materaca z piasku czy paproci, na których zazwyczaj się kochaliśmy, noc miłości przerywana jedynie skrzypieniem pióra na papierze, niekiedy jękiem płaczu, od którego zamazywały się słowa, co sam zauważyłem w trakcie czytania, noc miłości spędzona na rozmowie ze mną. Najgorsze jednak, że był to jednocześnie list pożegnalny i noc pożegnalna.

Oczywiście nie napisała tego wyraźnie, nie powiedziała: „Żegnaj, ukochany”, ponieważ mimo wszystko miała nadzieję, że być może w przyszłości ten sam los, który teraz nas tak boleśnie doświadczył, to fatum starożytnych, odwróci się i bieg wypadków sprawi, że znowu się spotkamy. Nie chciała zaklinać przyszłości w obawie, by los się nie zemścił, ale jednocześnie

zdawała sobie sprawę, że na taki zwrot wydarzeń mamy nie większą szansę niż na wygranie miliona w loterii państwowej. Ona właśnie znajdowała się w sytuacji gracza na loterii, który dobrze wie, że jego szanse wybrania szczęśliwego losu są rozmiaru ziarenka piasku na wielokilometrowej plaży, a jednak decyduje się grać, kupuje bilet loterii, wydając niepotrzebnie pieniądze, bo to jego jedyna, choć znikoma szansa na wygraną.

Pisze do mnie tak długi list, ponieważ musi streścić na dwudziestu stronach nie tylko to, czego nie miała czasu mi powiedzieć, kiedy się spotykaliśmy, lecz także i to, co mogłaby mi powiedzieć, gdybyśmy zostali razem na przyszłość. Wyobraziła sobie, co powiedziałyby mi za dziesięć lat, za dwadzieścia lat, wtedy, kiedy się zestarzejemy, kiedy będziemy mieli już odchowane dzieci i nawet wnuki, na wszystkich etapach naszego życia, w okresach kryzysów, bo na pewno takie się zdarzą, wtedy, kiedy będziemy się razem cieszyć, że kryzys minął. Było coś niezwykłego w tym, jak widziała naszą przyszłość, jak opisywała ją bez upiększeń, możliwie jak najdokładniej, przyszłość, która nigdy nie zaistnieje.

Pisała ten list tak, jakbym był ofiarą jakiegoś wypadku lub nagłej choroby, w wyniku której muszę opuścić ten świat w najbliższym czasie. Dzięki łaskawości losu mogę ją jeszcze słyszeć, ale nie mogę jej odpowiedzieć. Ma już tylko tę jedną noc do rozmowy ze mną, zanim wraz z rankiem nadejdzie śmierć. Zawsze chętnie ze sobą dyskutowaliśmy. Teraz jest w stosunku do mnie na uprzywilejowanej pozycji, ponieważ nie mogę się jej sprzeciwić. Będzie więc mówić za mnie. Z pewnością — pisała Arrippina — nie zgodzę się z tym, co chce mi powiedzieć, i zareaguję odpowiednio. Znajac mój sposób myślenia, wyobraziła sobie moje repliki, być może bardziej wyrafinowane, bardziej uszczypliwe niż te, które rzeczywiście bym wypowiedział. Dokładała wszelkich starań, by przedstawić moje odpowiedzi jak najlepiej, abym czytając ten list, widział, że nie wykorzystuje sytuacji, że jest to naprawdę rozmowa między nami. Nie chce mi mówić, że cierpi, bo nie należy do dziewcząt płaczących. Ja jednak wyczuwałem między wierszami tego listu jej smutek i samotność. Poznawałem miejsca, kiedy przerywała pisanie, bo stawało się dla niej za trudne i musiała głęboko odetchnąć, a potem znowu pisała, jakby nic się nie wydarzyło między dwoma fragmentami jej listu, jednym po łacinie, drugim po włosku. Potem zmieniała ton. Starła się zapomnieć o cierpieniu. Jednak cierpienie będzie stanowić część jej życia, nie da się jednym ruchem pióra pozbyć go całkowicie. Będzie ono jak chroniczna choroba, z którą należy się oswoić i żyć. Na razie pozostawała nadzieja. Wróciła więc do tego, o czym już mi mówiła, do maleńkiej, jak ziarenko piasku na rozległej plaży, szansy, że znów się spotkamy. Pragnęła wierzyć w zwrot losu, w mój powrót na wyspę za miesiąc, dwa, może za dziesięć lat, a jeśli nie na tę wyspę, to może przyjadę gdzie indziej, do innego miasta albo do innego kraju, wiedziała bowiem, że nie mogę pojawić się we Włoszech. Ze słów Don Leonarda zrozumiała, że zostałem skazany na dalekie wygnanie. Zastanawiała się jak dalekie. Francja? Niemcy? Hiszpania?

Wymieniła wszystkie kraje Europy, nie wyobrażając sobie, że pojedę o wiele dalej. Pisała: „To daleko i zarazem blisko. Wystarczy kilka dni podróży”. Gdy tylko będzie mogła, gdy tylko dowie się o miejscu mojego wygnania, natychmiast do mnie przyjedzie. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że przez jakiś czas, może dosyć długi, nie będę mógł do niej pisać. Battista powiedział przecież, że wszystkie listy przychodzące na wyspę z zagranicy będą otwierane i konfiskowane.

Z tego też powodu zabraniała mi, bym odpowiedział na ten list, zanim znajdę bezpieczny sposób korespondowania z nią. Była pewna, że znajdę taki sposób. Jeśli jednak — dodała — ta korespondencja okaże się niemożliwa, jeśli nie będzie miała ode mnie żadnych wiadomości, postara się odszukać mnie sama i od tej chwili natychmiast zacznie zbierać pieniądze na podróż. Gdziekolwiek będę na świecie, w końcu mnie odnajdzie, a jeśli nie będę już jej chciał, musi to

usłyszeć z moich ust, muszę powiedzieć jej to prosto w oczy, aby mogła w to uwierzyć. Wyobrażała sobie to spotkanie, ten dzień, kiedy mnie odnajdzie, dzień, w którym nastąpi kres jej cierpienia bez względu na to, czy się ucieszę na jej widok, czy ją odepchnę, bo od tego dnia będzie wolna, uleczona ze swojej obsesyjnej miłości.

Tak więc tego dnia, dnia być może bardzo odległego, w nieznanym jej mieście, z pewnością w jakimś innym kraju, spotkamy się zupełnie nieoczekiwanie twarzą w twarz. Będzie to na pewno zaskoczenie dla mnie i być może także dla niej, będzie to spotkanie tak nieoczekiwane jak śmierć, o której Cezar, w dzień przed jego zamordowaniem, wspomniął w rozmowie podczas kolacji w domu Lepidusa, gdzie każdy ze współbiesiadników mówił, jak chciałby umrzeć. Cezar powiedział, że pragnie śmierci *subitam et celerem*, naglej i szybkiej, nie przypuszczając nawet, iż czeka go to już nazajutrz. Takie właśnie będzie to spotkanie — jedno z nas otworzy drzwi, a drugie pojawi się na progu. Albo na trotuarze pośród ludzi, których, jak powiadają, są tłumy na ulicach wielkich zagranicznych miast. Będziemy szli ku sobie, nawet o tym nie wiedząc, i nagle, w tej obcojęzycznej wrzawie, w świetle niezrozumiałych neonowych reklam, pośród zapachów egzotycznego miasta, szok, zaskoczenie, wpadniemy na siebie i każde z nas wyjąka: „To ty?”. Będzie to jak przerwany w biegu marsz, bo w tych miastach nikt nie spaceruje, każdy zmierza szybko do celu.

Przerwany marsz, nieruchome postacie jak na filmie, kiedy blokuje się klisza, ci wszyscy ludzie, którzy nadal podążają w dwóch kierunkach, jedni w prawo, drudzy w lewo, i my dwoje, jak wmurowani. Poznamy się tylko po twarzach, ponieważ, w zależności od tego, ile upłynie czasu od ostatniego spotkania, nasze ciała zmienią się i każde z nas będzie w ubraniu nieznanym temu drugiemu, być może w kapeluszu, bo w wielkich miastach mężczyźni i kobiety noszą kapelusze, a ich twarze wyglądają wówczas inaczej, ale ona nie sądzi, żeby to przeszkodziło nam się poznać, nastąpi bowiem wtedy jakby cichy wybuch, niewidzialny błysk, jak przy zetknięciu się dwóch przewodów elektrycznych, i każde z nas doświadczy tego naturalnego, fizycznego fenomenu miłości. Od tego momentu wszystko stanie się łatwe do wyobrażenia, nagły uścisk, podniecające uczucie szczęścia, absolutna doskonałość. Należy jednak liczyć się z tym (a wiedziałem, że była taką osobą, która potrafi przewidzieć nawet najbardziej nieoczekiwane sytuacje), że przeszłe wydarzenia z naszego życia nie pozwolą nam być znowu razem. Agrippina już zaczęła się przygotowywać na taką możliwość, że gdy dojdzie do tego spotkania, w drzwiach jakiegoś mieszkania czy na ulicy, będzie mi towarzyszyć żona, a może i dzieci, które będę miał z tą kobietą. Gdyby tak miało się stać, nie powinienem się martwić, ponieważ ona jest wystarczająco rozsądna, świadoma tego, że w życiu bywa różnie, i potraktuje to jako jedną z niedogodności, które są związane z rozstaniem, *impedimentum*, jak nazywali to starożytni Rzymianie. Ona nie okaże swych uczuć, choćby nawet były bardzo silne. Z drugiej strony mogłoby się i tak zdarzyć, chociaż w tym momencie, kiedy pisze ten list, trudno jej uwierzyć, że to ona będzie miała męża i dzieci. W takim wypadku powinniśmy poszukać jakiegoś wybiegu i przedstawić siebie naszym małżonkom jako przyjaciół z dzieciństwa, którzy cieszą się z tego spotkania, odgrywać tę komedię aż do chwili, kiedy uda nam się spotkać sam na sam, zorganizować nasze nowe życie, odzyskać stracony czas, uwolnić się od aktualnych małżonków, którzy potrzebni nam byli, żeby zmniejszyć cierpienie wynikające z rozłąki, podobnie jak do kawy, żeby złagodzić jej gorycz, sypie się czasem coś przypominającego cukier, co wcale nim nie jest.

Dalej pisała ten list po łacinie. Nie miała czasu go przeczytać, bo nadeszła pora, kiedy musiała zakleić kopertę i oddać ją Don Leonardowi przed jego wyjazdem. *Mane venit* (nadchodzi ranek) — pisała — *mane horribilis* (straszny ranek), wiedziała teraz, dlaczego nienawidzi poranków, podobnie jak ja, jak mój ojciec, Luca Gastaldi, który musiał w pochmurne poranki

odprowadzać dezerterów na miejsca egzekucji. Pisała coraz szybciej, mniej starannie. Pomyślałem, że Don Leonardo ją poganiał. Zakończyła słowami *Vale ut valeam* — bądź zdrow, abym i ja była zdrowa — a podpis pod spodem, imię Agrippina, wyglądał niczym rysa na papierze.

Przechowywałem ten list, czytałem go wiele razy, prawie nauczyłem się na pamięć, aż któregoś dnia zniknął, nie zgubiłem go ani nie wyrzuciłem, lecz ukradziono mi go razem z moimi osobistymi zdjęciami i nawet ze słownikiem łacińskim, który ofiarował mi Don Leonardo. Wykradł mi go ktoś spośród tych, którzy przeprowadzają wywiady dla popularnych dzienników, którzy włamują się do mieszkań ludzi takich jak ja w poszukiwaniu czegoś pikantnego, co można by wykorzystać w skandalizującym artykule. Tak przynajmniej myślałem do czasu, kiedy pewnego dnia, po wielu latach, nieoczekiwanie wyjaśniła się sprawa tej kradzieży.

Złodziej pewnie nie znał języka włoskiego, a tym bardziej łaciny. Wprawdzie zdjęcia zostały opublikowane, ale nie słyszałem nigdy, by wspomniano o liście czy słowniku. Ich strata spowodowała jednak zerwanie najważniejszej więzi z moim poprzednim życiem, a dla mojego przesądnego umysłu wydała się nowym znakiem przeznaczenia.

Tak więc odbyłem tę dwunastodniową podróż na statku *Star of Boston*, który miał cztery kominy i w którego wąskich korytarzach gubiłem się. Odnajdywał mnie zawsze William Thomson, przejęty misją czuwania nade mną. Kiedy dowiedział się, że w jednej z sal na statku odbywają się dla emigrantów lekcje języka angielskiego od podstaw, zachęcił mnie, bym z nich skorzystał. W taki to sposób poznałem pierwsze słowa tego nosowego języka, naginając mój łaciński umysł do reguł anglosaskiej gramatyki, tak że pod koniec rejsu potrafiłem bezbłędnie powiedzieć kilka prostych zdań.

Nastąpił wreszcie ten ekscytujący, niepokojący moment, gdy na horyzoncie ukazał się ląd; jego linia stawała się coraz wyraźniejsza, pojawiły się kontury miasta, jakiego nigdy przedtem nie widziałem.

— Nowy Jork — powiedział William Thomson bez dalszych komentarzy.

Ameryka jest bezlitosna dla ludzi słabych i pechowych. Ja nie byłem słaby, a szczęścia miałem aż nadto. Dlatego pokochałem Amerykę i ona odwdzięczała mi się tym samym. Jeszcze dziś, chociaż jeżdżę tam bardzo rzadko, mam dla Wuja Sama, bez względu na to, kim się stał, wyraźny sentyment, nieco ironiczny, ale zawsze niezmienny, z domieszką żalu, że nie mogłem uczestniczyć w tym spektaklu, ponieważ po upływie niezbyt długiego czasu musiałem opuścić tę ziemię.

Jednak 5 sierpnia 1935 roku, kiedy stanąłem przed członkami komisji na Ellis Island, których musiałem przekonać, że jestem zdrowy i mam zapewnione środki do życia, kiedy po raz pierwszy postawiłem stopę na bruku Nowego Jorku, mając za plecami Statuę Wolności, a przed sobą wieżowce na Manhattanie, nie miałem o niczym pojęcia. Byłem niepozornym młodzieńcem, który dukał kilka zdań po angielsku, oszołomionym rykiem silników, wrzawą tłumu, krótko mówiąc, hałasem, jakiego nigdy dotąd nie słyszałem ani na mojej wyspie, ani w Reggio, ani w Messynie, ani nawet w Neapolu, który, wbrew temu co do niedawna myślałem, nie stanowił granicy *oikoumenê*. William Thomson, cały czas przytrzymujący mnie za ramię — bo jak powiedział: „Jeśli stracę cię z oczu, to już cię nie odnajdę” — zaprowadził mnie do czarno-żółtej taksówki (wydaje mi się, że taksówki już w tamtym czasie były w tych kolorach).

Nie odzywałem się, nie czułem nic — ani zadowolenia, ani strachu; przeszłość zostawiłem za sobą, nie wiedziałem, co mnie czeka w najbliższej i dalszej przyszłości; nie miałem pragnień; nie czułem ani głodu, ani gorąca, ani zimna. Kierowca gwałtownie przyspieszył, przejeżdżając skrzyżowanie na czerwonym świetle. Wymienili z Williamem Thomsonem kilka krótkich uwag, z których nic nie zrozumiałem. Patrzyłem na wszystko, na wielkie witryny wielkich sklepów, na ludzi, miliony ludzi, którzy szli szybko bez przepychania się, w zbitym tłumie, na chodnikach o wiele szerszych niż najszersze ulice w miastach, które dotąd znałem. Byłem ośmieszony, wystraszony, oszołomiony, zachwycony. Odczuwałem to wszystko jednocześnie. William Thomson obserwował mnie ukradkiem. Nie pytał o moje wrażenia, nie był to właściwy moment. Dopiero potem prosił, bym z nim o tym porozmawiał. Zmuszał, bym mówił po angielsku, sprawdzał w ten sposób moje postępy, poprawiał mnie lub pomagał, gdy utykałem na jakimś słowie lub wyrażeniu. Ale wtedy, w taksówce, zostawił mnie własnym odczuciom, domyślając się, w jakim jestem stanie.

Tak więc przyjechałem do Ameryki bez radości w sercu. Dużo później wspominałem przeżyte w pierwszych miesiącach chwile, kiedy bardzo cierpiałem. Nastąpiło jednak coś, bez czego z pewnością nie dałbym rady — bardzo szybko dorosłem, wydaje mi się, że w jeden rok osiągnąłem większą dojrzałość niż inni w moim wieku w ciągu trzech czy nawet czterech lat. Los sprawił, że musiałem zapomnieć o nawykach rozleniwionego nastolatka, z czym było mi przedtem dobrze. Stałem się całkowicie odpowiedzialny za siebie, nie licząc opieki, jaką z pewnego dystansu sprawował nade mną William Thomson.

Krótko mówiąc, musiałem radzić sobie sam, nie pod względem materialnym, bo o to nie musiałem się martwić, lecz pod względem psychicznym. A to było oczywiście najtrudniejsze. Miałem ojca, który wychował mnie na swój sposób. Ojciec był dla mnie skałą, opoką, na której mogłem się wesprzeć, kiedy czułem taką potrzebę. Miałem swoje środowisko — moją wyspę, język, a nawet dwa, licząc nasz dialekt, przyjaciół, kolegów, a przede wszystkim Agrippinę — cudowną towarzyszkę, moje alter ego, partnerkę, kochankę, moją kobietę, wprawdzie miała tylko szesnaście lat, ale była jakby moją żoną, moją podporą. I oto w ciągu trzech tygodni wszystkiego zostałem pozbawiony — ojca, kraju, mojego regionu, nawet ojczystego języka, bo musiałem

zmienić go na inny. Cały mój dotychczasowy świat się zachwiał. Moim światem stał się teraz Nowy Jork z jego drapaczami chmur, alejami, tłumami, hałasami i zapachami. Byłem zmuszony nie tylko go zaakceptować, lecz także wmieszać się w niego, wtopić. Był to bowiem jedyny dla mnie wybór, jedyny sposób, żeby przeżyć. Gdyby mi się to nie udało, byłbym zgubiony. Zrozumiałem to bardzo szybko i od tej pory dostosowywałem mój umysł, moje ciało, a także język do wszelkich wyzwań, jakie stawiała przede mną Ameryka.

Nauczyłem się angielskiego, a raczej amerykańskiego, bo te dwa języki już wtedy się różniły. Była to najpilniejsza sprawa. Za radą Willa Thomsona poszedłem do stworzonej specjalnie dla ludzi w mojej sytuacji szkoły na Siedemdziesiątej Siódmej Ulicy. Byłem najmłodszy — chłopak między dorosłymi, trzydziestolatkami, czterdziestolatkami, a nawet starszymi, ludźmi żonatymi, ojcami rodzin, którzy otrzymali wizy na długi pobyt, szansę na rozpoczęcie nowego życia. I tak razem z tymi starszymi ode mnie ludźmi uczyłem się słówek, nieregularnych czasowników, tworzyłem zdania i nawet prowadziłem konwersację. Byłem młody, więc uczyłem się szybko, szybciej od innych. Po dwóch miesiącach intensywnej nauki mówiłem niezłe po angielsku. Miałem w głowie topografię Nowego Jorku od Down Town do drugiego końca, znałem Brooklyn i Bronx, a nawet Upper East Side. Chodziłem po mieście pewnie, nie potrzebując pomocy.

Mieszkałem w pensjonacie rodzinnym madame Powell, na Osiemdziesiątej Trzeciej Ulicy. Madame Powell miała włosy farbowane na złoty blond i trwała ondulację, pieczołowicie zrobioną przez fryzjera na tej samej ulicy. Nie znała oczywiście ani słowa po włosku, nie miała najmniejszego pojęcia, gdzie leżą Włochy. Może nie wiedziała nawet, że Włochy leżą w Europie. A czy w ogóle wiedziała, gdzie jest Europa? Po drugiej stronie oceanu był Paryż, który oglądała tylko w kinie. Mówiła o Paryżu, mając nadzieję, że sprawia mi tym przyjemność, mówiła o nim *nice city*, tak jak o mnie mówiła, że jestem *nice boy, so nice!*, z przymilnym uśmiechem właścicielki pensjonatu. Wcale nie była zainteresowana, gdzie jest moja matka, gdzie jest mój ojciec, jak się tutaj dostałem. Co tydzień wręczałem jej kopertę z dwunastoma dolarami, za co dziękowała mi skinieniem głowy.

Od czasu do czasu, gdy miała jakiś problem albo była z czegoś zadowolona, co zdarzało się nie tak rzadko, odwoływała się do swojego męża. Mówiła wtedy: *I'll talk with Mr Powell about what happens*⁴⁹. Albo: *Mr Powell does not agree, not at all!*⁵⁰. Albo nawet: *He thanks you very much indeed!*⁵¹. Mówiła o nim, ale nigdy go nie widziałem. Przypuszczałem, że mieszka gdzieś na górze w ich apartamencie i pogardza niższymi piętami.

Któregoś dnia zapytałem właścicielkę:

— *How's Mr Powell?*⁵².

Popatrzyła na mnie, nie odpowiadając na pytanie, a ja nie śmiałem nalegać. Kiedy jednak w następną sobotę wręczyłem jej kopertę z zapłatą za mieszkanie, włożyła ją do szuflady, od której klucz nosiła na łańcuszku, po czym powiedziała cicho:

— *Mr Powell died twenty years ago*⁵³.

Następnie powtórzyła znowu tym swoim śpiewnym głosem, że jestem *nice boy, so nice indeed*. Nigdy potem nie nawiązałem tak serdecznych stosunków z żadną inną właścicielką mieszkania.

W tym czasie uczęszczałem do szkoły międzynarodowej, *High school*, dla dzieci obcokrajowców, w której dzięki staraniom Williama Thomsona znalazłem się w klasie literatury i historii. W weekendy Thomson zabierał mnie do kina, do restauracji lub do muzeum. Zabrał mnie również do teatru na Broadwayu, a potem wystawianą tam sztukę kazał opowiedzieć sobie po angielsku. Był bardzo poruszony moją sytuacją. Nie miał żony ani dzieci, tylko wieloletnią kochankę, bardzo bogatą, o imieniu Jane, której zostałem przedstawiony. Zaprosiła mnie na

kolację do swojego pięknego apartamentu na Trzeciej Avenue. Wszyscy goście (jak się zorientowałem — profesorowie) interesowali się mną. Jeden z nich, wiedząc, że jestem Włochem, zapytał, czy moi rodzice zamierzają przyjechać do Nowego Jorku. Odpowiedziałem na to: *I don't think so!* (Nie przypuszczam!). Jane trąciła go łokciem, by przestał zadawać takie pytania, ale ja powiedziałem, że jeśli chce, może mnie dalej pytać, bo przecież nie mam nic do ukrycia. Jane szybko skierowała rozmowę na ostatnią wypowiedź prezydenta Roosevelta w radiu podczas audycji pod tytułem „W kole rodzinnym”.

Opisane przeze mnie epizody są śmieszne, mało poważne. Można by się spodziewać, że szesnastoletni chłopak, który znalazł się w Nowym Jorku wbrew swej woli, miał przeżycia większej wagi niż rozmowy z właścicielką pensjonatu o jej nieobecny mężu czy też problem odpowiedzi na pytanie w rodzaju: „Czy pańscy rodzice odwiedzą pana?”, jakie mu zadano w apartamencie Jane na Trzeciej Alei. Kiedy jednak cofam się pamięcią do tamtego roku, do moich pierwszych miesięcy w Ameryce, pamiętam jedynie te chwile, które szczególnie mnie zbulwersowały. Nie oznacza to wcale, że cała reszta, całe codzienne życie pozbawione było wzruszeń, przyjemności lub niepokoju. Oczywiście istniały, ale spływały po mnie, nie zostawiając śladów. Byłem bowiem przekonany, że po nieszczęściu, jakiego doznałem, po ucieczce, która przypominała opowieść z komiksu, po wstrząsach, na które nie byłem przygotowany, musiałem się uodpornić, „opancerzyć”, jak by dziś powiedziano, przeciw wszelkiego rodzaju wzruszeniom. Jednym słowem, przyswoiłem sobie egoizm charakterystyczny dla ludzi dorosłych dotkniętych brutalnością życia oraz w jakimś sensie cynizm, niepasujący do mojego wieku. Zacisnąwszy zęby, aby nie poddać się tęsknocie, żalowi, smutkowi i marzeniom, jakie się miewa w bardzo młodym wieku, wiodłem szarą egzystencję, dosyć uporządkowaną, z ustalonymi godzinami nauki, spacerami i wizytami organizowanymi w weekendy przez Willa i Jane, dla których stałem się czymś w rodzaju syna, jakiego nigdy nie mieli, a o którym pewnie marzyli, chociaż nigdy mi o tym nie powiedzieli.

Oczywiście miewałem chwile wspomnień albo raczej pokusy, by się w nie zanurzyć. Pewnej soboty, pod nieobecność moich opiekunów, którzy wyjechali na jakiś kongres do Filadelfii czy Baltimore, cały dzień przechadzałem się po Nowym Jorku. I wtedy wyobraziłem sobie, że towarzyszy mi Agrippina, że maszeruje u mojego boku, trzymając mnie za rękę, że razem ze mną ogląda witryny sklepów na Piątej Alei, poznaje Central Park i nawet Brooklyn. Z radością słuchałem jej z lekka uszczypliwego głosu, kiedy wygłaszała komentarze na temat tego, co widziała, miliarderów z Waldorf Astorii, Murzynów z Brooklynu, żelaznych mostów przerzuconych nad rzekami Hudson i East River, o tym, że w amerykańskich rodzinach wszyscy ubierają się w ten sam sposób, jakby kupowali duży kawał identycznego materiału i potem szyli z niego ubrania dla dorosłych i dla dzieci. Jednak wracając wieczorem do pensjonatu wdowy Powell, uświadomiłem sobie, że jestem sam, że o tej porze, uwzględnivszy położenie geograficzne, słońce zaczynało dopiero wschodzić nad moją wyspą, gdzie Agrippina jeszcze spała, a rybacy w swoich łodziach mijali właśnie molo. I jeśli był jakiś moment, kiedy poczułem się wygnańcem, samotnym, nieszczęśliwym, to właśnie wtedy. Usiadłem na pierwszej napotkanej ławce, stojącej przy prawie pustym chodniku, i rozplakałem się. Przechodnie odwracali wzrok. Rozumiałem ich, ponieważ była to jedna z niepisanych zasad Ameryki: „Każdy człowiek jest odpowiedzialny sam za siebie, nie pytaj o nic innych ludzi, jeśli nie chcesz, żeby pytali ciebie”. Przyjąłem tę zasadę, doskonale mi odpowiadała, ponieważ po przykrych doświadczeniach, jakie były moim udziałem, zdecydowałem, że będę myślał tylko o sobie.

— *What's the matter with you?*⁵⁴

Stała przede mną dziewczyna. Miała na sobie plisowaną spódniczkę w szkocką kratę i białą bluzkę. Wszystko idealnie wyprasowane. I najdziwniejsze było to, że po jej różowych policzkach również płynęły łzy. Odpowiedziałem, że nic mi nie jest, że owszem, byłem smutny, ale już nad tym zapanowałem. Kiedy mówiłem, kiwała poważnie głową, jakby wyczuwając ten smutek, który, jak twierdziłem, już minął. Teraz ją z kolei zapytałem ją, co jest powodem jej łez. Uśmiechnęła się w odpowiedzi, bo rozśmieszyło ją podobieństwo naszych sytuacji. Posprzeczała się ze swoim boyfriendem i wysiadła gwałtownie z jego samochodu, gdy stanął na czerwonym świetle. Przybrałem odpowiednio poważną minę wyrażającą współczucie. Powiedziała jednak, że nic takiego się nie stało, bo tak naprawdę chłopak jest jej obojętny, a umówiła się z nim tylko po to, żeby zrobić przyjemność rodzicom, którzy przyjaźnili się z jego rodzicami.

— Dlaczego więc pani płacze?

— Bo nie mam przy sobie pieniędzy i nie wiem, jak wrócić do domu.

Wyjąłem z kieszeni dwudziestocentową monetę, pokazując kabinę telefoniczną na rogu ulicy.

— Może pani zadzwonić do rodziców i przyjadą po panią.

Wzięła monetę, kręcąc głową. Był jeszcze jeden problem. Nie wiedziała, gdzie się znajduje. Podniosłem wzrok i przeczytałem na tabliczce nazwę ulicy.

— Jest pani na Madison Avenue, po prawej stronie, idąc w kierunku Down Town, na wysokości sklepu Mapies, numer cztery jeden trzy pięć.

Podziękowała mi. Patrzyłem, jak idzie do budki telefonicznej i mówi coś z ożywieniem. Wróciła uśmiechnięta, bardziej zaczerwieniona, może z powodu odbłasku od neonowej reklamy sklepu Mapies.

— Ojciec po mnie przyjedzie. Jestem panu winna dwadzieścia centów.

— Proszę je zachować i kupić sobie plan Nowego Jorku w kiosku z gazetami.

Usiadła bok mnie i zapytała, czy poczekam z nią na przyjazd jej ojca. Odpowiedziałem, że mam dużo czasu, bo nikt na mnie nie czeka. Na jej twarzy znowu pojawił się wyraz współczucia.

— Jest pan tutaj sam?

Wydawało się, że ta myśl ją przeraziła. Jak można żyć samotnie w takim mieście? Wzruszyłem ramionami — nie miałem wyboru. Dodałem jednak, że nieźle sobie z tym radzę. Do samotności można się przyzwyczaić. Nie była to do końca prawda, ale w tym momencie istotnie tak sądziłem. Pokiwała znowu głową. Pewnie coś takiego zwykli mówić chłopcy z jej otoczenia.

— Jest pan cudzoziemcem? — zapytała.

— Jestem Włochem.

— *Oh, Italy!* (Wymówiła to: „Aitali”).

Najwyraźniej nie wiedziała, gdzie to jest. Pewnie gdzieś w Europie, ale tak jak pani Powell nie umiała jej dokładnie usytuować. Wiedziała tylko, że Europa leży po drugiej stronie oceanu. Sama nazwa kraju nie była jej obca.

— Tam jest wojna. Słyszałam w radiu.

— Nie we Włoszech, lecz w Abisynii. Włochy zajęły Abisynię drugiego października tego roku.

— A gdzie leży Abisynia?

— W Afryce.

— *Oh, Africa!*

Uśmiechnęła się. Nie miała pojęcia o Afryce, tak jak nie miała pojęcia o Włoszech ani o Europie, ale była urocza z tymi różowymi policzkami, spojrzeniem fiołkowych oczu i szkocką spódniczką, tak pięknie plisowaną. Poglaskała palcami moje czoło, po czym szybko cofnęła rękę, jakby zrobiła coś zabronionego.

— Nazywam się Wendy, Wendy O’Connaught.

— Bardzo mi miło, ja jestem Charly Gastaldi.

— Oh, Charly... — Po czym dodała, podobnie jak pani Powell: — *You’re a nice boy.*

Zaczęła się zaraz tłumaczyć. Nie powinna była tak powiedzieć. Nie wypada tak zwracać się do chłopca, ale to było silniejsze od niej. Odpowiedziałem, że cała przyjemność po mojej stronie. Przyglądałem się jej. Była bardzo zadbaną dziewczyną. Pachniała dobrym mydłem i drogimi perfumami, chyba kąpała się dwa razy dziennie.

— Jesteś szczęśliwy?

Polubiłem Amerykanów za to, że są tacy bezpośredni. Powiedziałem Wendy O’Connaught, że nie czuję się nieszczęśliwy. Spoglądała na mnie, jakby oceniając moje ubranie. Na szczęście miałem na sobie jeden z garniturów kupionych z matką na via Toledo. Zrozumiałem, że jest to coś w rodzaju egzaminu, ale Marta Ricovacci miała dobry gust i byłem pewien, że go pomyślnie zdałem.

— A pani jest szczęśliwa?

Po namyśle odpowiedziała, że chwilami tak, chwilami nie. Właśnie skończyła osiemnaście lat i zastanawia się nad wieloma rzeczami.

— Nad jakimi? Nad życiem, nad ludźmi, nad miłością?

Odpowiedziała twierdząco. Zwłaszcza nad miłością, ale tak naprawdę nie wie, co to takiego, chociaż wiele o niej słyszała.

Było to bardzo zabawne. Chętnie bym jeszcze z nią porozmawiał, ale niestety przy krawężniku zatrzymał się samochód. Wysiadł z niego mężczyzna w czapce z daszkiem i jakby w mundurze. Otworzył tylne drzwi i czekał.

— Dick! — zawołała Wendy. — Odwieziemy tego pana do jego domu.

Wsiadłem do samochodu. Był tak samo długi i luksusowy jak auto *ras* Mataminiego. Chyba cadillac lub buick. Zaczynałem odróżniać marki amerykańskich wozów. Dick zapytał mnie, gdzie mieszkam, podałem więc adres pensjonatu pani Powell na Osiemdziesiątej Trzeciej Ulicy. Było to niedaleko. Podczas jazdy Wendy siedziała w drugim końcu kanapy. Wywnioskowałem z tego, że oznacza to koniec naszej zażyłości.

— Mieszka pan tutaj?

— Tak, w pensjonacie rodzinnym pani Powell. Do widzenia, Wendy.

Powiedziała mi do widzenia i pomachała ręką. Samochód ruszył z miłym dla ucha szumem. Zobaczyłem, jak światła znikają na zakręcie. Ten wóz przypominał statek.

Nazajutrz była niedziela. Wdowa Powell zapukała energicznie do moich drzwi około godziny dziesiątej.

— *Charly, a call for you*⁵⁵.

Zszedłem na parter. Słuchawka leżała na stoliku. Dzwoniła Wendy. Jej rodzice, żeby wykorzystać ostatnie dni pięknej pogody przed zimą, *indian summer*⁵⁶ — jak powiedziała — urządzają w ogrodzie grilla.

— *Would you agree*⁵⁷.

Powiedziałem, że przyjadę, i chciałem zanotować adres, ale przerwała mi. Wyśle po mnie samochód.

Wszedłem w cukrowy, rozkoszny świat Wendy O’Connaught przez wielką, wspaniałą bramę w żelaznym ogrodzeniu strzegącym posiadłości z czerwonej cegły należącej do jej

rodziców, położonej w Atlantic City, prestiżowej dzielnicy na obrzeżach Nowego Jorku. Do nieba pięły się radośnie drzewa nieznanego mi gatunku. Żwirowana aleja była zapewne zamiatana codziennie. Po bokach rosły obficie kwiaty, wszędzie kręcili się ogrodnicy z długimi nożycami, pokojówki w pasiastych fartuszkach podśpiewywały, pchając wózki z apetycznie pachnącymi potrawami. Wendy powitała na mnie na ganku.

— *It's so kind of you...*⁵⁸.

Nie śmiałem protestować. Miała poważną, uprzejmą minę mającą świadczyć o powadze chwili. Ujęła mnie pod rękę. W naszą stronę już zbliżała się jej matka, energiczna kobieta pod czterdziestkę z twarzą opaloną na brąz podczas wielu popołudni spędzonych na zielonym polu golfowym, jak się wkrótce dowiedziałem. Mrużąc fiołkowe irlandzkie jak u Wendy oczy, egzaminowała mnie przez dobrą chwilę.

— Od wczoraj wieczór słyszę wciąż tylko o panu! — zawołała, biorąc mnie za drugie ramię.

Prowadzony przez obie panie, poznałem po kolei członków ich rodziny, przyjaciół, znajomych, którzy tłoczyli się wokół stołów rozstawionych w ogrodzie. Przedstawiano mnie ze słowami: „Oto dzielny młodzieniec, który uratował wczoraj Wendy, gdy zabłądziła opuszczona przez swojego boyfrienda”.

Tymczasem przybywali inni zaproszeni goście. Ich buicki, cadillaki, pontiaki zajeżdżały przed główne wejście, a matka Wendy spieszyła im naprzeciw. Słyszałem co chwila: *It's so kind of you*. Wendy zostawiła mnie samego. Zrozumiałem, że ona także ma swoje obowiązki, i zostałem sam z talerzem, podczas gdy pokojówki w pasiastych fartuszkach popychały nowe wózki. Pojawił się ojciec Wendy. Był to krzepki mężczyzna o donośnym głosie; ścisnął ręce gości, klepał ich po ramieniu, potrząsając płomiennie rudą czupryną. Przytulał kobiety do piersi, przechodząc od jednej do drugiej z radosnym okrzykiem: *So kind of you!*...

W tym momencie ogarnęła mnie niezmierna tęsknota za moim miasteczkiem. Pomyślałem o ludziach, którzy podążali na procesję ku czci Santa Mustioli albo na festyny przed siedzibą Fascio, żeby najeść się do syta i w torbach, które ze sobą przynieśli, zabrać do domu resztki ze stołów. Dzięki temu nie musieli nic wydawać na jedzenie przez dobrych kilka dni. Wszyscy to widzieli, ale nikt nic nie mówił.

Każde z tych świąt było świętem ludzi biednych. Powitalne formułki ograniczano do minimum, bo wszyscy się dobrze znali. Nie rosły tam drzewa, które chroniłyby biesiadników przed słońcem, i trzeba się było przepychać, by skorzystać z cienia pod namiotem, jeśli takowy był... A tutaj...

Uświadomiłem sobie, że nikt nie zwraca na mnie uwagi. Wendy otoczona została przez podobnych do niej chłopców i dziewczyny i wszyscy razem śmiali się hałaśliwie. Wstałem dyskretnie i ruszyłem spokojnym krokiem, jakbym chciał rozprostować nogi. Gdy znalazłem się na skraju parku, poszedłem główną aleją, pilnując się, by nikt mnie nie zauważył. Na szczęście brama była otwarta i szybko wydostałem się na zewnątrz. Było pięknie, listopadowe popołudnie. Ciepłe *indian summer*. Szedłem lekkim krokiem wzdłuż muru posiadłości państwa O'Connaught. Odczuwałem satysfakcję z tego, że zareagowałem dumnie na pogardliwe traktowanie. Ubogi chłopak zaproszony do bogaczy... Witają takiego biedaka, dają mu jeść, żeby nie mógł się skarżyć, że został źle przyjęty. Potem, dokonawszy tych formalności, zostawia się pocziwego Włocha przed pełnym talerzem, aby sam nakładał sobie jedzenie, słuchał rozmów bogatych Amerykanów, przyglądał się im, a raczej żeby ich podziwiał. I to właśnie było nie do zniesienia, ta sytuacja, w której postawiła mnie Wendy z różowymi policzkami i jej matka z opaloną na brąz twarzą. Czy ona w ogóle miała piersi, ta Wendy (pomyślałem w duchu „la Wendy”, jakby była Włoszką, bo prawdę mówiąc, zacząłem myśleć po włosku). Wydawało mi się, że dostrzegłem

pod dobrze uprasowaną bluzką dwie wypukłości, które w niczym nie przypominały jędrnych piersi Agrippiny z czarnymi sutkami. Marzyłem o piersiach Agrippiny, o jej udach, pośladkach, o jej brzuchu. Machnąłem na jadącą wzdłuż chodnika taksówkę. I tak rozpamiętując z zamkniętymi oczami giętkie ruchy Agrippiny, gdy kochaliśmy się, dotarłem do pensjonatu pani Powell.

Wdowa wręczyła mi grubą kopertę z włoskim znaczkiem dostarczoną poprzedniego dnia, którą zapomniała mi dać.

„*Figlio Mio* — pisała matka — jestem dumna z Twoich postępów w języku angielskim, o których doniósł mi Will Thomson. Tutaj mamy wojnę. Całe Włochy popierają duce i śledzą sukcesy naszej armii w Abisynii. Dołączam list od Twojego ojca. Don Leonardo wrócił do Watykanu, gdzie odpuszczono mu jego winy, i objął swoje poprzednie stanowisko...”.

„Carlo — pisał ojciec — udało nam się, mnie i Girasolemu, wymknąć straży przybrzeżnej i po tygodniu dość trudnej żeglugi nasza łódź dobiła do Francji, gdzie urządziliśmy się w rybackim miasteczku. Miasteczko to nazywa się Le Grau-du-Roi i leży w departamencie du Gard. Mieszkam na ulicy de Rédarès nr 35...”.

Od Agrippiny żadnej wiadomości. Wiadomość o Don Leonardzie wcale mnie nie ucieszyła, ponieważ był on moim ostatnim kontaktem na wyspie, a w sytuacji, kiedy stamtąd wyjechał, zupełnie nie wiedziałem, jak mam korespondować z Agrippiną, chyba że napisałbym bezpośrednio do niej, ale przecież uprzedzono mnie, że wszystkie listy będą konfiskowane. Pozostawał jeden sposób. Przekazać jej list przez moją matkę. Przyszedł mi jednak do głowy inny pomysł: poprosić matkę, by sfinansowała podróż Agrippiny do Nowego Jorku. Prawdę mówiąc, było to jedyne dobre rozwiązanie. Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej? Zastanowiłem się nad tym, co napiszę do Agrippiny (tym jednak nie kłopotalem się za bardzo), a potem nad listem do matki. Bez względu na to, czy ją śledzą, czy nie, ponosiła dużą część odpowiedzialności za to, co się wydarzyło. Nadszedł moment, by spłaciła dług nie tylko za fatalne konsekwencje jej przyjazdu na wyspę, ale i za to, że mnie znowu zostawiła samego, tak jak przedtem porzuciła na długie lata. Byłem gotów okazać jej wyrozumiałość, wybaczyć winy, jak papież wybacza pielgrzymom, pod warunkiem że nie tylko opłaci, ale i zorganizuje podróż Agrippiny do Nowego Jorku, tak jak to zrobiła dla mnie. Usiadłem przy stole, wziąłem pióro i czystą kartkę papieru. Zacząłem pisać:

*Cara Mamma. Ho ben ricevuto la tua lettera che mi ha dato molto piacere*⁵⁹...

I w tym momencie pani Powell zapukała do moich drzwi.

— *Charly, somebody's asking for you downstairs!*⁶⁰.

Po kilkudziesięciu latach to zdanie wciąż dźwięczy mi w uszach. Miało ono zmienić kierunek mego życia. Odłożyłem pióro, wstałem od stołu, zostawiłem zaczęty list i zszedłem na dół, pewny, że zobaczę Willa Thomsona, który wrócił z Baltimore czy Filadelfii. Pomyliłem się. Człowiekiem, który na mnie czekał, był rudowłosy, wysoki, najwyraźniej zażenowany James T. O'Connaught we własnej osobie, ojciec Wendy. Co on tu robi?

— *Are you Charly Gastaldi?*

— *I hope so*⁶¹.

— *Why did you leave?*⁶².

— Nie należymy do tego samego środowiska, mister O'Connaught. Zaprosił mnie pan do siebie z przymusu, ja natomiast bez przymusu wyszedłem, gdy tylko to zrozumiałem.

— Wstyd mi, że nie zająłem się panem, chociaż był pan moim gościem i nikogo nie znał. Co mógłbym dla pana zrobić?

— Proszę wrócić do Atlantic City, do pańskich przyjaciół. Niech pan zapomni o mnie, podobnie jak pańska córka Wendy, której wyrządziłem niewielką przysługę, pożyczając

dwadzieścia centów.

Pokiwał głową.

— Widzę, że jest pan dumnym człowiekiem, Charly.

— To cecha ludzi w kraju, z którego pochodzę. Ludzi bardzo biednych, ale bardzo dumnych.

Jego twarz robiła się coraz bardziej czerwona. W tym momencie pomyślałem, że nie jest to zły człowiek.

— Wendy czeka na nas w samochodzie. Jej także jest wstyd.

— Niepotrzebnie. Nic mi nie jest winna. Może mi nie zwracać tych dwudziestu centów.

James T. O'Connaught nie odpowiedział. Patrzył na mnie takimi samymi fiołkowiebieskimi oczami jak u Wendy i u jego opalonej na brąz żony, która, jak się później dowiedziałem, miała na imię Maureen, krótko mówiąc, irlandzkimi oczami. Odezwał się po dłuższej chwili.

— Jest pan twardy, Charly.

— Ludzie tacy jak ja nie mają innego wyboru, mister O'Connaught.

Pokiwał znowu głową.

— Czy jest pan także katolikiem?

— Jestem Włochem, a więc katolikiem. Tak już jest od niemal dwóch tysiącleci i nikt się na to nie uskarżał, poza Giordanem Brunem i Galileuszem. Mieli swoje powody, ale byli wyjątkami.

— Kim był Giordano Bruno?

— Filozofem, który, zdaniem papieża, miał zbyt oryginalne poglądy. Został spalony w Rzymie na Campo dei Fiori, na początku siedemnastego wieku.

— Spalony, naprawdę?

James T. O'Connaught poruszył nosem, jakby poczuł swąd palonego ciała.

— Doszczętnie spalony, mister O'Connaught, a jego popioły zostały rozsypane przez wiatr. W Rzymie nadal się o tym pamięta.

James T. O'Connaught znowu zamilkł. Patrzył na mnie z pewną sympatią. Ja jednak zdążyłem już nieco poznać Amerykanów. Łatwo okazują sympatię, ale na tym koniec.

— Ile ma pan lat, Charly?

— Skończę siedemnaście lat w porze kwitnienia wiśni, to znaczy za pięć miesięcy, jeśli w Ameryce wiedzą, że wtedy właśnie kwitną te drzewa.

— Sądziłem, że jest pan starszy.

— Nie pomylił się pan. Jestem wygnańcem, a jeden dzień wygnania to jak jeden miesiąc życia człowieka z danego kraju. Wystarczy policzyć.

— Mój Boże, Charly! — zawołał. — Mówi pan jak człowiek całkiem dorosły. U nas szesnastoletni chłopcy objadają się lodami i dopiero zaczynają interesować się dziewczynami. Rozumie pan, co mam na myśli?

Uznałem, że jest naprawdę sympatyczny, taki amerykański. Poszukałem w myślach konkretnego przykładu dojrzałości.

— Największy z rzymskich cesarzy, pierwszy z długiej dynastii, nazywał się August. Był siostrzeńcem Juliusza Cezara, który go adoptował. Kiedy Cezar został zamordowany, August, wówczas nazywany Oktawianem, musiał zawładnąć Italią, by zająć miejsce swojego wielkiego wuja. Była to ostatnia na włoskiej ziemi wojna domowa, z pewnością najbardziej okrutna. August miał wtedy dziewiętnaście lat. *You see what I mean?*⁶³.

— Widzę, że jest pan kimś w rodzaju Augusta.

— Jestem Carlo Gastaldi.

— Zapraszam pana na kolację — powiedział James T. O'Connaught.

I tak oto ponownie znalazłem się w wielkim domu z czerwonej cegły w Atlantic City. Pokojówki w pasiastych fartuszkach przynosiły kolejne dania z tak radosną miną, jakby były zadowolone, że znowu mnie widzą. Maureen O’Connaught patrzyła na mnie niczym matka, Wendy z miną narzeczonej, a James T. miał taki wyraz twarzy, jakby nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Był również Jason O’Hara, drugi Irlandczyk, którego James T. przedstawił mi jako swojego wspólnika, nie precyzując, w jakiej konkretnie dziedzinie współpracują. Przy drugim daniu (udziec jagnięcy w miętowym sosie) uświadomiłem sobie, że czcigodne zgromadzenie oczekuje, iż w końcu wyjaśnię, kim jestem i co ja, szesnastoletni chłopak, robię sam w pensjonacie rodzinnym na Osiemdziesiątej Trzeciej Ulicy, podczas gdy jeszcze niedawno mieszkałem na włoskiej wyspie, o której nikt z obecnych nigdy nie słyszał, zagubionej na zachód od cieśniny oddzielającej Messynę od Reggio w Kalabrii.

Wyjaśniłem możliwie jak najkrócej, że z powodów politycznych mój ojciec wyjechał z Włoch, a i ja musiałem uczynić to samo. Dzięki mojej matce, która знаła dobrze pewnego naukowca z Harvardu (tu wymieniłem nazwisko Williama Thomsona), razem z nim popłynąłem statkiem *Star of Boston* do Nowego Jorku, gdzie podjąłem naukę w szkole dla obcokrajowców. Nazwisko Willa Thomsona nie zrobiło na obecnych żadnego wrażenia, natomiast wzmianka o Harvardzie wywołała odpowiedni efekt. Moi gospodarze dostali nareszcie zadowolający punkt odniesienia, do którego mogli się odwoływać.

— To ciekawe — rzekł James T. — z tego, co czytałem o waszym prezydencie, wynikało, iż jest to człowiek bardzo energiczny.

— Włochy są królestwem od tysiąc osiemset sześćdziesiątego pierwszego roku, mister O’Connaught. W tym samym roku, jeśli się nie mylę, wybuchła u was wojna secesyjna. Kiedy wy rozdzielaliście się, my zaczęliśmy się jednoczyć. A jeśli chodzi o Mussoliniego, to nie jest on prezydentem Republiki, ale premierem rządu, ponieważ jego partia ma większość w dwóch izbach parlamentu. Jest to większość absolutna, ponieważ nie istnieje w ogóle opozycja. Ma tytuł duce, jest politycznym przywódcą Włoch.

— No tak — podjął znowu James T. — Ten Mussolini, którego nazwiska nie mogłem sobie przypomnieć, wydaje mi się człowiekiem poważnym. Nie daje się nabierać Murzynom.

— Charly powiedział przecież, że go nie lubi — ucięła Maureen O’Connaught ze swoją matczyną miną.

Światła żyrandola podkreślały brąz opalenizny na jej twarzy.

— Nie lubi pan waszego premiera? — zapytała Wendy.

Wydawała się rozczarowana taką sytuacją. Jak można nie lubić swojego premiera? Dodała, że w Ameryce wszyscy kochają Franklina D. Roosevelta. Domyślałem się, że jest gotowa postarać się doprowadzić do pojednania między Mussolinim i mną. Wypaliłem wówczas, że podobnie jak większość Włochów kochałem Mussoliniego aż do chwili, gdy to on nagle przestał kochać mnie, chociaż nigdy mnie nie widział. Pomiąłem ten szczegół, że opłacił koszty pobytu mojej matki w specjalnie na ten cel utworzonej w Rzymie klinice, gdzie potajemnie urodziła mnie w 1919 roku, i że był to jedyny dług, jaki miałem wobec niego. Rozmowa zesłała na Włochy. Gospodarze o nich nie wiedzieli nic lub prawie nic, starałem się więc przekazać im pewne informacje. Jason O’Hara przez cały czas trwania rozmowy nie przestawał przyglądać się mi z uwagą.

— A co chciałby pan robić w przyszłości?

Szczerą odpowiedź na to pytanie wydała mi się ryzykowna. Powiedziałem jedynie, że

interesuje mnie historia starożytna i że kiedy skończę studia, Will Thomson prawdopodobnie mógłby mi pomóc w znalezieniu pracy w charakterze nauczyciela.

— A więc — pytał dalej O’Hara — pasjonuje się pan historią starożytną?

— Tak, proszę pana, i muszę przy tym zaznaczyć, że Ameryka ma wielu wybitnych specjalistów w tej dziedzinie, chociaż oczywiście jest ich mniej niż wielbicieli baseballu.

Obecni przy stole uśmiechnęli się, ale O’Hara zaraz spoważniał. Sięgnął do kieszeni marynarki i podał mi swoją wizytówkę.

— Chętnie jeszcze z panem porozmawiam, mister Gastaldi. Proszę wpaść do mnie jutro do biura, powiedzmy około godziny dziesiątej.

Wziąłem wizytówkę. Było na niej jego nazwisko oraz adres na Trzeciej Alei.

— Wolałbym o jedenastej, jeśli to panu nie przeszkadza. Od dziewiątej do dziesiątej mam wykład z historii Stanów Zjednoczonych, od George’a Washingtona do Franklina Delano Roosevelta.

Drgnął, po czym zastygł w bezruchu. Nie przywykł do tego, by inni narzucali mu terminy spotkania. Umiał się jednak odpowiednio zachować.

— Umawiamy się więc na jedenastą, mister Gastaldi. W takim razie czy mógłbym pana zaprosić na lunch?

— *I’ll be highly honored, mister O’Hara*⁶⁴.

Wendy rzuciła mi ciepłe spojrzenie. Czuję, że znowu urosłem w jej oczach. Rozmowa zeszła na inny temat, który mnie nie interesował. Wendy nachyliła się do mnie.

— Do jakiego momentu historii Stanów zdążył już pan dojść, Charly?

— Do Andrew Jacksona i dowodzonej przez niego wojny przeciw Seminolom w tysiąc osiemset siedemnastym roku.

— To... jest ciekawe?

— Tak, Wendy, czuję sympatię do Andrew Jacksona.

— Ja także — szepnęła — bardzo go lubię.

Byłem pewien, że nie bardzo wie, o kogo chodzi, ale była urocza. W tym momencie pomyślałem z niechęcią o skorej do drwin Agrippinie.

— Mamo, czy mogę pokazać Charly’emu nasz różany ogród za domem? — zapytała Wendy.

Maureen O’Connaught zmarszczyła brwi, po czym z uśmiechem wyraziła zgodę, ale pod warunkiem że lubię róże. Zapewniłem ją o swojej sympatii dla tych kwiatów i Wendy wyprowadziła mnie na dwór. Żeby dotrzeć do szklarni, trzeba było obejść dokoła budynek z czerwonej cegły. Krzaki róż rosły rzędami. Róże okrągłe, zmysłowe, dyszące pożądaniem. Wendy wzięła mnie za rękę.

— Nie wykorzystuj sytuacji, Charly.

— Nie mam najmniejszego zamiaru, Wendy.

Wydawało mi się, że była zawiedziona, ale ja ostentacyjnie szedłem grzecznie u jej boku, nie nachylając się do niej, nie próbując jej objąć. Puściła moją rękę i popatrzyła na mnie.

— Jason O’Hara jest głównym współnikiem mojego ojca. To ważna osobistość na Wschodnim Wybrzeżu, a jeszcze bardziej na Zachodnim. Odgrywa ważną rolę w różnych sektorach. To naprawdę niezwykle, że zaproponował spotkanie takiemu chłopakowi jak ty, którego dopiero co poznał, a ty ośmieliłeś się jeszcze zmieniać godzinę.

— Czy wiesz, czego on ode mnie chce?

— Nie mam pojęcia, Charly, ale on na pewno dobrze wie. To człowiek, który nigdy nie trwoni na darmo czasu.

Wzruszyłem ramionami. Spojrzała na mnie zaniepokojona.

— Myśl o swojej karierze, Charly.

Zauważyłem w tym momencie, że mówi jak moja matka, Marta Ricovacci, u której słowo „kariera” często się pojawiało. Chwilami Wendy wydawała mi się dość głupia (*una racchia balorda*⁶⁵, jak mówiono u nas), kiedy indziej mówiła raczej rozsądnie, jak prawdziwa Amerykanka, która zawsze trzyma się konkretów.

Teraz jednak porzuciła zasadniczy ton Amerykanki i znowu wzięła mnie za rękę.

— *Naughty boy, you stir me up*⁶⁶ — szepnęła.

Szła blisko mnie ze wzrokiem utkwionym w piękne, działające na zmysły róże Maureen O’Connaught. Mówiła, nie patrząc na mnie.

— *Really, Wendy?*⁶⁷

— *Really.*

Odwróciła się do mnie i podsunęła swoje różowe usta. Pocałowałem ją i pogłaskałem piersi przez starannie uprasowaną kwiecistą sukienkę. Nie opierała się, popatrzyła ponad moim ramieniem i westchnęła:

— *Naughty boy, oh so naughty*⁶⁸.

Pomyślałem wówczas, że ma piersi tak zmysłowe jak róże jej matki, ciężkie, podniecające. Mogę zapewnić, że były to piersi jędrne, twardniejące pod dotykiem moich palców...

Usłyszeliśmy głos Maureen O’Connaught. Pewnie obawiała się efektu, jaki wywoła w nas widok jej róż. Odsunąłem się od mocno zarumienionej Wendy. Machinalnie poprawiła wcale niepogniecioną sukienkę i przybrała minę zaskoczonego niewiniątka.

— Charly Gastaldi, jestem uczciwą, niewinną dziewczyną.

— Nie wątpię w to.

— Czy wiesz, dlaczego tamtego wieczoru wysiadłam z samochodu tego chłopaka?

— Na pewno miałaś jakiś powód.

— Rzeczywiście — odrzekła tonem oburzonej dziewczicy. — Za dużo sobie wobec mnie pozwalał. Ty czegoś takiego nigdy nie zrobisz, prawda?

— Nigdy, Wendy, szanuję takie dziewczyny jak ty.

Kiwnęła głową i powiedziała, że wobec tego możemy nadal być dobrymi przyjaciółmi. Na jej twarz wróciły normalne kolory, a mina wyrażała absolutną szczerłość.

— Mamo! — zawołała. — Charly powiedział, że nigdy dotąd nie widział tak pięknych róż!

Jason O'Hara przyjął mnie nazajutrz dokładnie o godzinie jedenastej. Jego biuro znajdowało się w eleganckiej dzielnicy. Początkowo sądziłem, że należy do niego piąte piętro budynku, co już byłoby nie byle czym, ale potem dowiedziałem się, iż jest właścicielem całości. Na parterze zobaczyłem miedzianą tabliczkę z jego nazwiskiem. Na biurku w jego gabinecie stały przynajmniej trzy aparaty telefoniczne. Przez głowę przemknęło mi wspomnienie jedyne go telefonu Battisty królującego na kontuarze baru w jego trattorii. Na korytarzach mijały się sekretarki i rozlegał stukot maszyn do pisania, ale kiedy drzwi gabinetu się zamknęły, wszystko umilkło. Przez szyby balkonowych drzwi nie przedostawał się uliczny hałas.

— Charly — rzekł O'Hara na wstępie — nie ukrywam, że skorzystałem z moich stosunków na Harvardzie, na którym w przeszłości studiowałem, żeby zdobyć telefon profesora Thomsona. Zadzwoiłem do niego dziś rano. Opowiedział mi pańską historię i wiem już, dlaczego się pan tutaj znalazł. Zapewnił mnie o dwóch rzeczach: po pierwsze, że jak na chłopca w tym wieku ma pan zadziwiającą wiedzę o świecie antycznym, i po drugie, że jest pan niezwykle poważnym, wytrwałym młodzieńcem, uzdolnionym zwłaszcza w dziedzinie języków, a na pewno w języku angielskim, z którego jeszcze ubiegłego lata nie znał pan ani słowa.

— To prawda, panie O'Hara, że latem nie znałem wcale języka angielskiego. Co do reszty, to opinia profesora Thomsona.

Jason O'Hara wstał zza biurka. Był tak wysoki jak O'Connaught, ale znacznie starszy. Miał siwe włosy i chodził wielkimi krokami. Patrząc, jak spaceruje po parkiecie obszernego gabinetu, można było się domyślać, że ta powierzchnia mu nie wystarcza. Był to człowiek, który potrzebował ruchu.

Zatrzymał się gwałtownie i opadł na fotel obok mnie.

— Jest mi pan potrzebny, Charly, na dwa, trzy miesiące, jeśli ma pan wolny czas...

— Uczęszczam do szkoły.

Zrobił taki gest ręką jak moja matka, kiedy chciała odsunąć od siebie coś, co jej przeszkadzało.

— Wróci pan do szkoły potem, jeśli nadal będzie pan chciał zostać nauczycielem. To, co mam panu do zaproponowania, może wywrócić do góry nogami pańskie obecne plany.

Miał minę zarazem poważną i żartobliwą. Zapytałem, czy jego propozycja wiąże się jakoś z historią starożytną. Wyglądało na to, że moje pytanie go rozbawiło.

— Z pewnością, ale nie w tym sensie, jak pan sobie wyobraża. — Nacisnął guzik telefonu wewnętrznego. — Proszę poprosić Jerry'ego i Germana, żeby przyszli teraz do mnie.

Otworzyły się drzwi i na progu pojawiło się dwóch mężczyzn. Nie mieli krawatów, ale byli ubrani bardzo starannie.

— To ten młodzieniec, o którym mówiłem wam dziś rano. Czekam na waszą opinię.

Uścisnąłem ich dłonie. Jeden z nich, który jak się później dowiedziałem, nazywał się Jerry Cinnamon, zapytał mnie o nazwisko i adres.

— Nazywam się Charly Gastaldi, mieszkam w pensjonacie pani Powell na Osiemdziesiątej Trzeciej Ulicy.

— Ile ma pan lat?

— Szesnaście i pół.

— Doskonale — rzekł Jerry Cinnamon — dubler nie będzie konieczny. Jego trochę cudzoziemski akcent bardzo dobrze będzie pasował. Co do reszty, zgadzam się panem, Jason. Ma dobry wygląd i jakąś siłę wewnętrzną.

— A jaka jest pańska opinia, German?

— Zgadzam się, Jason, a dobrze pan wie, że nie ukrywam mojego zdania, gdy jest inne niż pańskie.

Słuchałem, jak mówili o mnie, i nic z tego nie pojmowałem. Jason O'Hara zwrócił się do mnie:

— Chodzi o film, Charly. Jestem producentem filmowym. Jerry Cinnamon reżyserem, a German Peacock scenarzystą.

Patrzyłem na nich ze zdziwieniem. Co miałbym według nich robić w filmie? Jason O'Hara odkaszlnął.

— Charly, jest pewna rzecz, której powinien pan być świadomy. Jest pan bardzo przystojny i długo pozostanie pan takim, jeśli będzie pan dbał o swój wygląd. Poza tym jest w panu wewnętrzna siła widoczna w pańskich manierach, sposobie patrzenia, wyrażania się, krótko mówiąc, w pańskim sposobie bycia. Emanuje z pana naturalny wdzięk, urok. Proszę mi nie mówić, że nie jest pan tego świadomy. Wystarczyło wczoraj wieczorem popatrzeć na tę małą gąskę Wendy O'Connaught. Odpowiada pan fizycznie i duchowo, jeśli mogę się tak wyrazić, postaci pomyślanej dla filmu, który zaczniemy kręcić za dwa miesiące.

— Nie umiem grać, panie O'Hara. Nie wiem nic o kinie, moja wiedza na ten temat ogranicza się do około trzydziestu filmów, które obejrzałem w kinie na wolnym powietrzu w naszym miasteczku. Zresztą nie były to najlepsze filmy.

O'Hara wybuchnął śmiechem.

— Charly, pan umie grać i nie potrzebuje pan wielu lekcji. Wczoraj wieczorem pokazał pan, co potrafi. Był pan bardzo przekonujący. W Ameryce jest wielu przystojnych chłopców, ale mimo długich poszukiwań nie znaleźliśmy aktora, który byłby odpowiedni do roli w tym filmie. Byliśmy nawet gotowi zrezygnować z tej postaci, co niewątpliwie zaszkodziłoby świetnemu scenariuszowi Germana Peacocka.

— O jaką rolę chodzi, panie O'Hara?

— Drugoplanową, ale bardzo ważną, u boku dwóch znakomitych aktorów amerykańskiego kina, w moim najnowszym filmie. Proszę mówić mi Jason.

— W jakim filmie, Jason?

— *Salomon i królowa Saby*.

W następną niedzielę w holu pensjonatu pani Powell czekała na mnie Wendy. Uścisnąłem jej rękę, a ona odpowiedziała mi swoim niewinnym uśmiechem. Pani Powell przyglądała się nam z rozczuleniem. Państwo O'Connaught wyjechali na dwa dni. Wendy, wiedząc, że zostałem na ten weekend sam, postanowiła mnie trochę rozerwać. Poszliśmy na spacer do Central Parku. Wendy paplała o wszystkim i o niczym, aż nagle powiedziała:

— Czy to nie cudowne, że zostałeś zaangażowany do filmu?

— Tak, oczywiście.

— Zostaniesz wielkim aktorem.

— Nie wiem, Wendy. To wszystko jest dla mnie bardzo nowe.

Wzięła mnie za rękę i pociągnęła w stronę krzaków. Zwróciłem jej uwagę, że nie ma tam róż do podziwiania.

— Nic mnie nie obchodzą róże, Charly. Podobnie zresztą jak i ciebie.

Nie puszczała mojej ręki. Powoli naprowadziła ją na swoją pierś.

— *I'm in love with you*⁶⁹ — szepnęła.

— *What would your mother think?*⁷⁰.

— *Please, Charly, don't be silly*⁷¹.

Objąłem ją. Pierwszy raz obejmowałem inną dziewczynę, nie Agrippinę. Wendy prosiła,

bym powiedział, że ją kocham. Nic na to nie odpowiedziałem, ale pocałowałem ją. Miała zachłanne usta. Przyłgnęła mocno do mnie. Dyszała i zrobiła się czerwona niczym róža. Spodziewałem się, że zaraz mnie gwałtownie odepchnie, wyrzucając mi, iż posuwam się za daleko z tak uczciwą młodą dziewczyną, ale tym razem nic takiego nie powiedziała.

— Jesteś za bardzo przystojny, Charly — wyjąkała. — Najprzystojniejszy chłopak, jakiego kiedykolwiek miałam.

Tego samego wieczoru prześlizgnęliśmy się przez pusty hol pensjonatu pani Powell i poszliśmy do mojego pokoju. Bałem się trochę tej chwili, ale Wendy rozebrała się szybciej niż ja. Po kilku chwilach już wiedziałem, że trafiłem na długą listę boyfriendów, którzy byli przede mną. Nie zrobiło mi to różnicy. Dopiero rano poczułem wyrzuty sumienia, gdy pomyślałem o Agrippinie.

Rozległo się niecierpliwe pukanie do drzwi. Wstałem z łóżka i na progu zobaczyłem panią Powell, która oczywiście zauważyła od razu sylwetkę Wendy pod kołdrą, ale odwróciwszy wzrok, oznajmiła mi oficjalnym tonem:

— *Charly, a call for you downstairs*⁷².

Zszedłem do holu i podniosłem słuchawkę. Dzwonił Jason O'Hara.

— Charly, jedziemy dziś rano na Zachodnie Wybrzeże. Zaraz posyłam po ciebie samochód. Bądź na lotnisku najpóźniej za godzinę.

Nigdy więcej nie zobaczyłem Wendy O'Connaught.

Reszta historii jest znana. Przynajmniej tym, którzy zaglądali do encyklopedii kina i przeczytali hasło Gastaldi Charly, aktor, realizator, nawet producent. Moim zamiarem nie jest więc opowiadać o tej części mojego życia, która już została opisana, choć nie zawsze dokładnie. Ale to nieważne. Znajdowaliśmy się u progu zimy 1936 roku. Nie miałem jeszcze siedemnastu lat; byłem uchodźcą świeżej daty w najbogatszym kraju świata i przekonywałem się raz po raz, że mam nieprzeciętne zdolności uwodzenia. Dlatego właśnie zostałem zaangażowany do takiej roli w filmie. Był to ogromny wstrząs w moim życiu, jak zapowiedział Jason O'Hara. Jeśli chodzi o ten mój wdzięk, aż tak bardzo nie byłem zaskoczony, ale nie zdawałem sobie sprawy z jego efektów, chociaż pamiętałem niektóre uwagi Agrippiny, a jeszcze bardziej rysy twarzy mojej matki, do której byłem podobny i która, jak już miałem okazję wspomnieć, była bardzo piękną kobietą. Jednak bałem się kina. Czy dam sobie radę? Mogłem liczyć jedynie na moje doświadczenie w uwodzeniu.

Życie zmieniło się dla mnie od dnia, kiedy Jason O'Hara spisał mój kontrakt razem z Willem Thomsonem opiekującym się mną z woli matki. Wyjechałem z Nowego Jorku na Zachodnie Wybrzeże, gdzie mieściła się siedziba przedsiębiorstwa Jasona O'Hary. Nauczyłem się jeździć konno, posługiwać starożytną bronią, mieczem i oszczepem; nauczyłem się, jak grać i mówić z pamięci tekst. Lekcje trwały od rana do wieczora. Czytałem wielokrotnie scenariusz filmu, nie tylko sceny, gdzie występowałem, ale i wszystkie inne. Krótko mówiąc, znałem film na pamięć, kiedy na trzy dni przed rozpoczęciem pierwszych zdjęć Jerry Cinnamon przedstawił mi Cindy Hammersmith. To ona miała grać rolę królowej Saby. W tamtym czasie Cindy nie była pierwszą gwiazdą Ameryki, ale ludzie z Hollywood pokładali w niej wielkie nadzieje. Kiedy ją zobaczyłem, zapytałem Jerry'ego, czy moglibyśmy porozmawiać na stronie. Dał mi znak, żebym poczekał, potem odciągnął mnie na bok.

— O co chodzi, Charly?

— Wasza gwiazda jest piękna, ale to blondynka...

— I co z tego?

— Królowa Saby była prawdopodobnie czarna, a w każdym razie miała ciemną cerę.

Była też brunetką.

— Skąd pan o tym wie?

— To długa historia. W pewnym sensie z powodu Balkis, królowej Saby, znalazłem się tutaj. Jeśli mi pan nie wierzy, niech pan poprosi Jasona O'Hare, żeby zadzwonił do Willa Thomsona, profesora historii starożytnej na Harvardzie. On potwierdzi, że królowa Saby była brunetką.

Jerry Cinnamon zaklął, po czym kazał sprowadzić Peacocka, autora scenariusza.

— Charly powiedział, że królowa Saby była czarną kobietą, brunetką. Co o tym myślisz? Peacock kiwnął głową i odrzekł:

— W mieście Stanley City w stanie Kentucky, skąd pochodzę, ludziom jest całkowicie obojętne, czy Balkis była brunetką, czy blondynką. Przede wszystkim chcą oglądać Cindy Hammersmith w przezroczyстых szatach.

Jerry Cinnamon zapalił papierosa Lucky Strike. Zastanawiał się, patrzył to na mnie, to na Peacocka.

— Proszę mi wybaczyć, panie Peacock, ale Jerry Cinnamon nie kręci tego filmu tylko dla widzów w Stanley City w stanie Kentucky. Film ten może odnieść międzynarodowy sukces, będzie wyświetlany w Europie, a tam wszyscy wiedzą, że królowa Saby była ciemnowłosa.

— Kontrakt z Cindy już został podpisany — zauważył Peacock. — Nie możemy się wycofać. To ona jest najważniejsza w tym filmie.

Cindy Hammersmith podeszła do naszej grupy. Usłyszała, że o niej mowa, i zaniepokoiła się.

— Ten młodzieniec — zwrócił się do niej po chwili wahania Jerry Cinnamon — który ma występować razem z panią i który przyjechał z Europy, twierdzi, że królowa Saby była czarna, ale proszę się nie martwić, to niczego nie zmienia...

Cindy Hammersmith spojrzała na mnie lodowatym wzrokiem. W tamtym czasie miała dwadzieścia sześć lat i była jedną z najpiękniejszych kobiet w Ameryce.

— To pan tak mówi?

— Przykro mi, proszę pani.

W dalszym ciągu mi się przyglądała. Nie spuszczałem wzroku. Jej oczy były czarne, błyszczące.

— W porządku — powiedziała i odeszła, nie dodając ani słowa więcej.

Nazajutrz przybyła na plan przefarbowana na czarno — włosy, twarz, wszystko było jak trzeba. Peacock spojrzał na mnie z krzywym uśmiechem.

— Będziemy mieli kłopoty ze strony pana Haysa. Nie ma mowy o *miscegenation*!

Zapytałem, o co chodzi. Kim był pan Hays i co znaczy *miscegenation*? Peacock z tą samą krzywą miną wyjaśnił:

— Pan Hays jest przewodniczącym MPPDAA⁷³ i z tego tytułu jest cenzorem kina w Stanach Zjednoczonych. *Miscegenation* jest zakazana. Nie wolno pokazywać miłości między czarną kobietą i białym mężczyzną.

— Cindy nie jest prawdziwą czarną — zauważył O'Hara — poza tym przyciemnimy Salomona i wszystko będzie dobrze.

Cindy, nie zwracając uwagi na Cinnamona, Peacocka i nawet Jasona O'Hare, podeszła do mnie. Byliśmy tego samego wzrostu. Stała przede mną w odległości jakichś dwudziestu centymetrów.

— *I please you, Charly?*⁷⁴

— *Infinitely, Cindy.*⁷⁵

Kręcenie filmu trwało trzy dobre miesiące, częściowo w studiu, częściowo na pustyni w Kolorado, gdzie nagrywano sceny bitewne. Pat Hudson grał rolę Salomona. Był, jak mówiono, powracającą gwiazdą i bardzo liczył na to, że ten film znowu go wylansuje. Ja grałem młodego księcia greckiego, wychowanego na dworze Saby, pełniącego funkcję giermka i osobistego strażnika królowej. Kiedy w końcu królowa wpada w ramiona Salomona, młody książę wraca do rodzinnego kraju, ale przedtem zdążył wielokrotnie uratować jej życie. Domyślano się, że między nią i młodym greckim księciem istniało uczucie, które nigdy jednak nie zmieniło się w prawdziwy związek. I bez wątpienia, zdaniem Peacocka, ten właśnie nie do końca wyjaśniony motyw wzbudzi największe zainteresowanie przyszłych widzów w Stanley City w stanie Kentucky.

Staralem się najlepiej, jak umialem, grać intymne sceny z Cindy Hammersmith. Znajdowałem w tym nawet pewną przyjemność i wydawało mi się, że ona również lubi te momenty filmu. Co rano poddawała się makijażowi na czarno i co wieczór go zmywała, przez co kręcenie zdjęć zaczynało się o świcie i kończyło dopiero o zmroku. Towarzyszyłem jej w trakcie charakteryzacji i wtedy rozmawialiśmy ze sobą. Była kobietą ze zwyczajnymi upodobaniami i nieskomplikowanymi opiniami. Powiadano (ale tyle rzeczy mówiono o niej), że od zbyt wygórowanych ambicji przewróciło się jej w głowie. Od czasu do czasu przychodzili po nią jacyś faceci, zabierali ją na kolację i zapewne na coś więcej. Usuwałem się dyskretnie, a nazajutrz

spotykaliśmy się, jakby nic się nie stało. Pewnego wieczoru nie przyszedłem, bo miałem spotkanie z meksykańską charakteryzatorką o imieniu Raquel. Cindy nic nie powiedziała, ale dwa dni potem dowiedziałem się, że Meksykanka została zwolniona. Incydent ten przywiódł mi na myśl fakt, że w scenariuszu filmu był podobny motyw — jedna ze służących królowej została usunięta z dworu z powodu romansu z greckim księciem. Oczywiście ja także nic nie powiedziałem, ale odniosłem wrażenie, że relacje między postaciami filmu (królową i młodym księciem) odbijają się na naszych osobistych. Korzystając z chwili, kiedy zostaliśmy sami, przypomniałem Cindy, że po zakończeniu pracy nad filmem będę musiał odejść, podobnie jak wszyscy inni. Nic na to nie odpowiedziała, ale jeszcze tego samego wieczoru zapytała, czy nie zechciałbym jej zaprosić na kolację.

Propozycja ta wprawiła mnie w osłupienie. Jakim cudem ona, Cindy Hammersmith, gwiazda kina, która ma już na swoim koncie dziesięć czy dwanaście filmów, która otrzymuje niewyobrażalne honoraria za najmniejszy występ, kobieta, której wszystkie inne kobiety zazdroszczą i jej jednocześnie nienawidzą, kobieta, której pożądamy wszyscy mężczyźni w Ameryce, od wodospadów Niagara po pustynie w Nowym Meksyku, jak ona może chcieć spędzić wieczór ze mną? Bo kimże ja jestem? Włoskim chłopcem, imigrantem świeżej daty, na tyle jednak przystojnym (w co chciałem wierzyć), żeby być zaproszonym. Tak, to było właściwe słowo — „zaproszony”. Bo przecież do udziału w filmie, gdzie ona jest gwiazdą, został zaproszony chłopak, który całe życie będzie wspominać spędzone u jej boku miesiące. A teraz ona zapragnęła zjeść kolację w moim towarzystwie, więcej nawet — poprosiła, bym ją zaprosił, jakbym był wielkim producentem, słynnym aktorem, niezmiernie bogatym bankierem czy wpływowym politykiem. Chciała, bym ją zaprosił, jakbym był Franklinem D. Rooseveltem. Najpierw zbladłem, potem zrobiłem się czerwony. W każdym razie tak sądziłem, bo wpatrywała się we mnie z jakąś intensywnością, podziwając, jak mi się wydało, z pewnym rozbawieniem, zmieniającą się barwę mojej twarzy. Wyjąkałem:

— Byłbym bardzo szczęśliwy, Cindy. Proszę tylko powiedzieć, jaka jest ulubiona pani restauracja, bo ja nie znam żadnej takiej, która byłaby pani godna.

Uśmiechnęła się do mnie i pamiętam, że był to szczególny uśmiech. Nigdy takiego u niej nie widziałem, ani w kinie, ani na żadnym zebraniu, ani nawet w pokoiku, do którego przychodziłem wieczorem, by z nią porozmawiać, gdy czekała, aż przyjdą ci faceci, żeby ją zabrać na kolację w odpowiednio wytwornych lokalach. Był to raczej smutny uśmiech.

— Tym się nie martw, Charly. Wiem, gdzie pan mieszka. Przyślę po pana samochód o siódmej, jeśli to panu odpowiada.

Odpowiedziałem, że ta godzina doskonale mi pasuje. Potem, nie wiedząc, co jeszcze mógłbym dodać, wybąkałem:

— Do zobaczenia, Cindy.

Wróciłem szybko do hotelu, gdzie miałem pokój opłacony przez producentów filmu. I tam, w oczekiwaniu na tę cudowną chwilę, dokładnie się cały wymyłem. Potem pobiegłem do fryzjera, któremu wręczyłem dwadzieścia dolarów, żeby mnie ostrzygł najpiękniej, jak potrafi. Odpowiedział, że za takie pieniądze może się tego podjąć. Pół godziny potem, z włosami dokładnie przyciętymi, ułożonymi, nabłyszczonymi, wyjąłem z szafy granatowy garnitur, który kupiła mi matka na via Toledo w Neapolu. Pierwszy raz w życiu przygotowałem czek, sprawdzwszy wcześniej, czy na koncie mam wystarczająco dużo pieniędzy, żeby zapłacić niezwykle rachunek, jaki mi przedstawią po niezwyklej kolacji z niewątpliwie niezwyklej Cindy Hammersmith. W holu czekał na mnie kierowca, ugrzeczniony, milczący. Zrobiłem obojętną minę, jakbym był do czegoś takiego przyzwyczajony. Kiedy samochód ruszył, wydało mi się, że w cieniu zauważyłem sylwetkę Raquel, meksykańskiej charakteryzatorki. Szofer pojechał drogą

nad morzem.

— Do której restauracji mnie pan wiezie?

— Jedziemy do domu pani Hammersmith.

Pomyślałem, że najpierw zajedziemy po nią, a następnie razem udamy się do wybranego przez nią lokalu. Zajmowała luksusową willę w luksusowej dzielnicy. Wysiadłem, a szofer odjechał, żeby odstawić wóz do garażu. Wtedy dopiero zrozumiałem, że będziemy tutaj jeść kolację. Pojawiła się Cindy ubrana w skromną sukienkę. Wzięła mnie pod ramię.

— Sądziłem, że to ja panią zapraszam na kolację, Cindy.

Znowu uśmiechnęła się nieśmiało.

— Zmieniłam zdanie. To ja pana zapraszam.

Na tarasie stał nakryty stół ze świecami. Cindy dała mi znak, żebym usiadł. Służba miała wolne tego wieczoru. Dania przygotowane były na podręcznym stoliku. Nie odzywała się, ja też nic nie mówiłem. Przyglądałem się jej. Byłem tak zmieszany, że nie tknąłem jedzenia na talerzu.

— Może mi pan coś opowie, Charly.

Zapadał zmierzch. Kilkadziesiąt metrów od nas szumiał łagodnie Pacyfik. Powiedziałem Cindy, że przypomina mi to wieczory spędzone z moim ojcem w naszym domu nad morzem, kiedy powoli powiększał się cień rzucany przez wulkan, a my obaj czekaliśmy na cudowne chwile, jakie niesie ze sobą noc. Przerwałem. Obawiałem się, że jej to nie interesuje.

— Proszę mówić dalej — poprosiła.

Opowiedziałem o mojej wyspie, o Nonno, o ludziach z mojego miasteczka, o Don Leonardzie, a nawet o Funghinie i o Girasole. Wyjaśniłem, że u nas bardzo często nadawane są przezwiska i że w większości wywodzą się od nazw warzyw.

— A pan ma przezwisko? — zapytała Cindy.

Pokręciłem przecząco głową. Byłem za młody. Ale o moim ojcu mówiono *il domatore delle onde* lub *il rais della mattanza*.

— Co to takiego *mattanza*?

Zawahałem się. Trzeba było być tam urodzonym, wychowanym wśród rybaków, żeby to zrozumieć. Ale ona nalegała. Opisałem więc *mattanzę* ze wszystkimi szczegółami, powiedziałem o wodzie morskiej czerwonej od krwi w *camera della morte*, dokąd schodzili mężczyźni w butach za kolana, trzymając w rękach haki i harpuny do zabijania tuńczyków.

Słuchała mnie, nie przerywając. Nie oburzała się, tylko na mnie patrzyła. Umilkłem, zapadła cisza.

Nagle zapytała:

— Czy miał pan do czynienia z wieloma dziewczętami?

Było to dziwne pytanie. Po chwili wahania odpowiedziałem:

— Tylko z trzema. W przyszłym tygodniu skończę dopiero siedemnaście lat...

Wyglądało to tak, jakbym się tłumaczył.

— Co to były za dziewczyny?

— Włoszka, Amerykanka i...

— Meksykanka — dokończyła za mnie.

Zaśmiała się, a ja razem z nią.

— Ja, Charly, za tydzień skończę dwadzieścia siedem lat. Pan będzie miał już siedemnaście. Możemy razem świętować nasze urodziny.

Odparłem na to, że tego dnia będzie wokół niej wiele ludzi, znakomitych osobistości i... Ona jednak przerwała mi i wzięła mnie za rękę ponad stołem.

— *You want to be my lover, Charly?*⁷⁶

Pomyślałem, że źle ją zrozumiałem.

— *Your lover?*⁷⁷

Znowu na mnie popatrzyła. Przybrała głos aktorki wymawiającej dobitnie swoją kwestię w filmie.

— *In every sense of the word. That's what I mean, if you've a doubt*⁷⁸.

Przełknąłem ślinę. Nie mogłem zachować się inaczej, jak tylko udzielić jedynej odpowiedzi, jaka pasowała do takiej sytuacji i jakiej wcześniej już udzieliłem panu Jasonowi O'Harze:

— *I'll be highly honored*⁷⁹ — wybąkałem.

W ten sposób w przeddzień moich siedemnastych urodzin zostałem kochankiem Cindy Hammersmith. Bardzo młodym kochankiem, na dochodne, przynajmniej w tamtym czasie, ale jednak kochankiem. Gotowym na wszelkie ustępstwa, co nie było jednak konieczne. Cindy mnie pragnęła. Pragnęła tylko mnie i zabroniła mi oczywiście, bym interesował się innymi kobietami. Przed zakończeniem filmu namówiła mnie, bym podpisał następny kontrakt. Tak zaczął się mój romans z dziesięć lat starszą kobietą. Później często zastanawiałem się nad tym, co aktorka tej miary, bardzo już sławna w owym czasie gwiazda, niezwykle piękna kobieta, zobaczyła w młodym włoskim imigrancie, jeszcze zupełnie niedawno całkiem anonimowym w świecie kina, krótko mówiąc, w kimś, po kim nie mogła spodziewać się żadnych korzyści, podczas gdy wystarczyło, by zatrzepotała rzęsami, jak mówiono w Hollywood, żeby najprzystojniejsi aktorzy, najznakomitsi reżyserzy, producenci, bankierzy legli u jej stóp.

— Miałam do czynienia — zwierzyła mi się Cindy — z wieloma takimi ludźmi, o których mówisz, zwłaszcza na początku mojej kariery, kiedy zabiegałam o najmniejszą choćby rolę. Poznałam ich bardzo dobrze. Byłam wtedy w twoim wieku i walczyłam o pieniądze. Przysięgłam jednak sobie, że kiedy już stanę pewnie na nogi, będę sama sobie wybierać mężczyzn mojego życia, a w tym momencie ty jesteś tym wybranym.

Moment ten trwał sześć lat, do wybuchu wojny, a nawet trochę dłużej.

Czemu przypisywać sukces filmu *Salomon i królowa Saby* w reżyserii Jerry'ego Cinnamona z 1936 roku? Scenariuszowi? Realizacji? Cindy Hammersmith ucharakteryzowanej na czarną kobietę? Nikt tego nie potrafił powiedzieć, ale pewne jest, że film ten zdobył rozgłos i że biorący w nim udział aktorzy znacznie się wzbogacili. Ja też na tym skorzystałem. Cindy przedstawiła mnie Jimowi Hartfordowi, swojemu agentowi, który polubił mnie. Powiedział coś, co przypomniało mi przepowiednię Jasona O'Hary: „Kobiety będą się w tobie kochać, Charly. Już się kochają i Cindy powinna uważać”. W tym okresie nakręciłem dwanaście filmów. Cztery, o którym opowiem później, stanowił zwrot w mojej aktorskiej karierze. W dwóch ostatnich grałem główne role. Zaczęto o mnie mówić: „Najpiękniejsza męska twarz amerykańskiego kina”.

Pisały o mnie gazety, zwłaszcza te przeznaczone dla czytelników żądnych informacji o sławnych osobistościach. Wszystkim było wiadome, że miałem swoje miejsce w życiu prywatnym Cindy, i dzięki temu niewątpliwie byłem jeszcze bardziej znany. Potem jakieś pismo, nie pamiętam które, napisało, że nie mam jeszcze dwudziestu lat. W tym momencie opinia publiczna podzieliła się — jedni oklaskiwali mój sukces w tak młodym wieku, inni oburzali się, że żyję z kobietą dziesięć lat starszą ode mnie, choćby była nią sławna Cindy Hammersmith. Według obowiązującego wówczas prawa amerykańskiego nie byłem jeszcze pełnoletni. Wrzawa rosła, niektórzy kaznodzieje dawali wyraz swemu oburzeniu z ambon. Wizerunek Cindy zyskiwał na tym i jednocześnie tracił. Ona jednak trzymała się dzielnie.

Wtedy właśnie otrzymaliśmy oboje wezwanie od Irvinga Thalberga, dyrektora produkcji w wytwórni filmowej Metro Goldwyn Mayer, który kierował nią od samego początku. Był zaufanym człowiekiem Louisa B. Mayera. W tamtym czasie MGM była symbolem kina hollywoodzkiego, a więc największych dochodów, największych zysków, największych honorariów. Była to wytwórnia filmów rodzinnych, dla wszystkich widzów, najbardziej wierna tradycjom Ameryki. Nie robiono w niej filmów o ryzykownej tematyce, ściśle przestrzegano zakazów sławetnej komisji Hayesa.

Irving Thalberg przyjął nas w swoim obszernym gabinecie. Ściany pokryte były fotosami

z filmów, które osobiście nadzorował, takich jak niedawno zrobiony przez niego *Romeo i Julia*, *Strange Interlude* lub *Bunt na Bounty*, budzący wiele kontrowersji. On się jednak tym nie przejmował, pewien trafności swoich wyborów zarówno w pracy, jak i w życiu.

I.T. od razu przystąpił do rzeczy.

— Cindy — rzekł — Metro z radością zatrudni panią oraz Charly'ego. Nie ulega wątpliwości, że oboje moglibyście zrobić wspaniałe kariery... — Przerwał na chwilę, wyjął papierosa, po czym go odłożył. — Tak więc — podjął na nowo — jeśli nadal będziecie razem mieszkać, to znaczy dzielić łóżko, nie będzie się to mogło odbywać pod egidą wytwórni Metro.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — zapytała Cindy.

— Nasza wytwórnia ma ustaloną renomę. Produkuje filmy dla wszystkich Amerykanów. Zatrudniamy największe talenty. Nie możemy jednak akceptować czegoś, co w oczach niektórych ludzi jest gorszeniem małoletnich.

Cindy uniosła brwi.

— Przypuszczam, że to ja jestem tą gorszycielką.

— Właśnie — odrzekł I.T.

Zapadło milczenie. Thalberg zwrócił się do mnie:

— W pańskim wieku powinien pan studiować na jakiejś uczelni. Zamiast tego kręci pan filmy w największej wytwórni na świecie. Powinien pan nauczyć się żyć sam albo z dziewczyną w pańskim wieku. W naszym środowisku, to znaczy w wytwórni Metro, nie toleruje się nieodpowiednich relacji seksualnych. U nas nie ma miejsca na cudzołóstwo, perwersje, pokazywanie nagiego ciała, pobudzający seksualnie taniec. Osoby religijne nigdy nie są ośmieszane, dobry smak obowiązuje nawet w sypialniach, wszystkie narodowe uczucia są traktowane z szacunkiem.

Cindy gwałtownie wstała.

— Nie wydaje mi się, panie Thalberg, żeby którykolwiek z filmów, w których występowałam, można było obwiniać o wymienione przez pana grzechy.

I.T. westchnął.

— Proszę usiąść, Cindy. Tu nie chodzi o pani filmy, ale *it's your life, your life with Charly*⁸⁰. — Odczekał chwilę i dodał: — *An obscene life*⁸¹.

— *A private life*⁸² — odparła Cindy.

Irving Thalberg pomyślał chwilę nad odpowiedzią.

— *Your private life is a public life*⁸³ — dokończył, żeby załagodzić sprawę.

Po tych słowach zapalił w końcu papierosa.

— *Which is the choice?*⁸⁴ — zapytała Cindy.

— Bardzo prosty, albo zaczniecie żyć osobno, informując, że jesteście tylko dobrymi przyjaciółmi, kolegami w pracy, oraz że pogłoski krążące na wasz temat to insynuacje, albo zrywam kontrakt z wami obojgiem na mocy klauzuli „Moralne życie aktorów”. Macie osiem dni na podjęcie decyzji.

— *Fuck off*⁸⁵ — powiedziała Cindy ze spokojem.

Po czym wzięła mnie za rękę i wyszliśmy z gabinetu. Gdy byliśmy na progu, Thalberg rzucił:

— *Eight days. Not a single one more*⁸⁶.

Siódmego dnia Irving Thalberg zmarł wskutek zawału serca. Nikt nie wspomniał o zerwaniu kontraktu. Zdobyłem wówczas pewność, że Cindy mnie kocha.

Niedługo potem Jim Hartford, nasz agent, poprosił nas o spotkanie. Czy wiedział o pogrózkach Irvinga Thalberga, czy był to tylko przypadek? Po namyśle dochodzę do wniosku, że mając powiązania ze środowiskiem Hollywoodu, musiał słyszeć, co mówiono na nasz temat

i jakie były w tej sprawie poglądy w MGM. Zamiast przyłączyć się do chóru, postanowił wyciągnąć z tego korzyść dla siebie. W przeddzień spotkania z nami przesłał każdemu z nas scenariusz z prośbą, abyśmy go przeczytali, odkładając na bok wszystkie inne sprawy. Był to projekt adaptacji francuskiej powieści, wydanej piętnaście lat wcześniej, przetłumaczonej na angielski, do której prawa chciał kupić. Powieść miała tytuł *Diabeł wcielony*. Autorem był niejaki Radiguet, który zmarł w wieku dwudziestu lat, w roku publikacji swojej książki. Powieść wywołała we Francji skandal, ale świetnie się sprzedawała. Jim Hartford spodziewał się uzyskać taki sam wynik w Ameryce. Lektura scenariusza głęboko mnie poruszyła.

Akcja dzieje się w 1917 roku. Trzydziestoletnia kobieta, której mąż poszedł na wojnę, ma romans z młodzieńcem. Potępienie otoczenia nie przeszkadza rozwijać się tej niedozwolonej miłości wywołującej tym większe oburzenie, że mąż zachowuje się jak prawdziwy bohater — wojenne epizody ukazywane są na przemian z miłosnymi scenami. Mąż, okryty orderami, ciężko ranny, zostaje odesłany z powrotem do Ameryki. Młodzieniec, ukrywając swój prawdziwy wiek, zgłasza się na ochotnika do wojska i ginie na wojnie.

— Nasz scenarzysta zmienił oczywiście koniec opowieści w stosunku do pierwowzoru — powiedział Hartford. — W książce kobieta po urodzeniu syna nadaje mu imię swojego kochanka i z tym imieniem na ustach umiera. Mąż, który o niczym nie wie, wychowa synka jako swoje własne dziecko. Zastanawiam się, czy zachować ten wątek z dzieckiem. Wystarczająco skandaliczny jest fakt, że Amerykanka ma romans z młodym kochankiem, podczas gdy jej mąż walczy na wojnie, nawet jeśli kochanek okupuje swoją winę, ginąc na froncie. Ale wyobrazić sobie, że mąż będzie wychowywał dziecko innego mężczyzny...

Przerwałem mu:

— Niech się pan nie waha, Jim. Jak skandal, to skandal, trzeba iść aż do końca i zachować historię z dzieckiem.

Cindy nie odezwała się. Domyślałem się, co ją niepokoiło. Grając rolę nierządnic, ryzykowałaby potwierdzenie opinii, jaką mieli o niej ludzie. Można było tolerować, że żyje ze znacznie młodszym od siebie mężczyzną, ale czy widzowie pogodzą się z tym, że gra rolę żony zdradzającej męża, który poszedł na wojnę, ze świeżo poznanym młodzieńcem? Gdybym ja grał kochanka w pierwszoplanowej roli męskiej, zyskałbym wszystko, a ona wszystko by straciła. Popatrzyła na mnie, ale nie powiedziała ani słowa. Wiedziałem, że w tym momencie rozważa, co jest dla niej ważniejsze — miłość do mnie czy jej aktorskie ambicje. Przeczynałem, że przegram. Mogła przeciwstawić się Irvingowi Thalbergowi, bo nie miałyby żadnych trudności ze znalezieniem innej wytwórni. Zupełnie inną jednak sprawą było podjęcie się tak ryzykownej roli. Miała już odmówić, kiedy Hartford uratował sytuację:

— Zanim podejmiesz decyzję, Cindy, musisz wiedzieć o dwóch rzeczach.

Przeprowadziłem już pewne rozmowy. Wytwórnia Fox jest gotowa zrobić ten film i dojdziemy do porozumienia z MGM, ale pod warunkiem że ty i Charlie zagracie główne role. Zresztą nie będziesz grać kobiety nikczemnej, ale zakochaną. Wszystko zależy od punktu widzenia. Zresztą kochanek również jest istotą niewinną. Oboje są ofiarami namiętności i płacą za nią słońną cenę. Do tej pory grałaś role, w których wystarczyło być piękną i wzruszającą. Tutaj potrzeba będzie czegoś więcej. To skomplikowana postać — kobieta wewnętrznie rozdarta. Ta rola jest o wiele trudniejsza, ale też przyniesie ci większe pieniądze, jeśli się jej podejmiesz.

Cindy przeniosła wzrok na Hartforda. Potrafił ją przekonać, skusić perspektywą, że będzie to jej najpiękniejsza rola w życiu. Było się nad czym zastanawiać.

— *I'll do the job*⁸⁷ — powiedziała Cindy.

Praca przy kręceniu filmu *Devil in the skin*⁸⁸ była najwspanialszym przeżyciem w mojej kinowej karierze. Nie z powodu warunków materialnych ani nawet ogólnej atmosfery, bo

wytwórnia Fox wybrała do tego filmu najlepszego reżysera i najlepszego operatora. Byli to Rouben Mamoulian i Bill Daniels, którzy wystawili najpierw na scenie *Queen Christina*⁸⁹, a potem zrobili z tego jeden z najpiękniejszych filmów, jakie kiedykolwiek wyprodukowano w Ameryce, mimo iż Irving Thalberg miał w tym swój udział.

Wszystkie sceny kręcono w studiu, a więc w idealnie wygodnych warunkach. Był to jednakże niezwykle trudny film i dla Cindy, i dla mnie. Trzeba przyznać, że scenariusz i dialogi bardzo często były odtworzeniem sytuacji, w jakiej sami się znajdowaliśmy, sytuacji kochanków, których dzieliła duża różnica wieku. Cindy miała wówczas trzydzieści lat, ja dwadzieścia. Zachowałem bardzo chłopięcy wygląd, dzięki czemu mogłem grać rolę postaci trzy lata młodszej. Jednym słowem, mając dwadzieścia lat, wyglądałem na nastolatka. Czego nie można było powiedzieć o Cindy, która przestała już grać rolę młodziutkich dziewczyn i dochodziła do takiego momentu, kiedy kobieta zaczyna osiągać dojrzałość i zmienia się jej wygląd. Cindy była piękna niczym posąg. Zaczynała mieć przeszłość, znajdowała się jakby na środku brodu. Ja miałem przed sobą przyszłość, nie zacząłem jeszcze przemarszu przez koryto rzeki. Ona była kobietą, ja tylko młodzieńcem. W filmie kochankowie zdawali sobie sprawę z tego, że istnieje dla nich tylko teraźniejszość. W scenariuszu dokonano takich zmian, że dialogi były jakby wzięte z naszego osobistego życia. A przecież nigdy nie prowadziliśmy takich rozmów, nigdy czegoś podobnego nie mówiliśmy, bo prowadziłoby to do smutnych wniosków o nieuniknionym rozstaniu. W filmie wypowiadaliśmy jednak takie kwestie, co tylko zwiększało szczerą naszą grę. Tego rodzaju związku nie można było wyjaśnić, usprawiedliwić inaczej, jak tylko przez wybuch namiętnych uczuć, a miłość, bez względu na to, co mówiliśmy, miała być widoczna na naszych twarzach. Z pewnością z tego powodu wytwórnia Fox zwróciła się do Mamouliana, który w *Queen Christina* pokazał swój wybitny talent. Natomiast Daniels, główny operator, powtarzał każdemu z nas dwojga to, co mówił Grecie Garbo: „Chcę, żeby twoja twarz była jak kartka nieskalanie czystego papieru. Chcę, żeby mógł na niej pisać każdy z widzów. Chcę, żeby zamknęła pani oczy, aby pozostała jedynie zewnętrzna maska, z której każdy będzie mógł odczytać coś innego”.

Filmował Cindy, filmował mnie, z daleka, potem w dużym powiększeniu. Filmował nas oddzielnie i filmował nas razem w takich warunkach, że czasami zapominaliśmy o kamerze, a kiedy nadchodził wieczór, wydawało nam się, że wciąż odbywa się kręcenie filmu. Był to warunek, jak powiadał Mamoulian, żeby widz wybaczył tym przeklętym kochankom gorące uczucie, żeby doznali swego rodzaju oczyszczenia. Później, gdy film wszedł już na ekrany, niektórzy krytycy pisali, że były w nim najbardziej sugestywne sceny miłosne, jakie kiedykolwiek pokazało kino amerykańskie, chociaż nie widziało się ani kawałka nagiego ciała, ani nawet łóżka, a to dzięki sposobowi, w jaki Bill Daniels filmował nasze twarze. Gdy film został całkowicie zmontowany, doznałem bardzo mieszanych uczuć, ponieważ namiętne sceny między kochankami były przerywane niezwykle realistycznymi obrazami wojny, w których ludzie biegli do ataku, padali, cierpieli, bali się i umierali. Wspaniała była postać męża, odważnego oficera. Film wywołał efekt, na jaki liczył Jim Hartford. Oczywiście wybuchł skandal, w niektórych stanach żądano zakazu rozpowszechniania filmu, wybijano szyby w kinach i trzeba było procesować się, aby dostać pozwolenie na projekcję w miastach, gdzie protesty były szczególnie silne. Szum był ogromny. Młodzież amerykańska była po naszej stronie i film wszedł na ekrany, a nawet zyskał poparcie odważnych jurorów. Ja i Cindy odczuliśmy skutki tego wszystkiego. Nasze kariery, zwłaszcza moja, bardzo na tym zyskały, ale prawdą jest i to, że po *Devil in the skin* zmieniły się bardzo relacje między nami.

Tutaj powinienem zrobić pewną przerwę w mojej opowieści. Nie należy sądzić, że wszystko toczyło się łatwym trybem. Z kilkunastu filmów, o których wspominałem, jedno były

doskonale i nadal figurują na liście kinematografii tamtej epoki; inne były niezłe, dwa lub trzy mierne. Jest oczywiste, że nieraz trzeba było walczyć z producentami, scenarzystami, innymi aktorami. Niech także nikt sobie nie wyobraża, że moja ładna twarz wystarczyła, abym mógł zostać oficjalnym kochankiem Cindy Hammersmith, a wkrótce potem gwiazdą kina. Jest jednak coś jeszcze, co muszę podkreślić — od dnia, kiedy przyjąłem propozycję Jasona O'Hary, kiedy wziął mnie on pod swoje skrzydła, ponownie zmieniło się moje życie.

Zostawiłem już świat mojej wyspy i zamieszkałem w Nowym Jorku, zdając sobie sprawę, że nie będzie możliwości powrotu. Opowiedziałem o tych pierwszych miesiącach, kiedy mieszkałem w pensjonacie wdowy Powell. Jednak ta zmiana, chociaż bardzo istotna w życiu tak młodego człowieka, jakim wtedy byłem, znaczyła niewiele w porównaniu z następną epoką, kiedy wszedłem do świata kina.

Od tego momentu wydarzenia mojego życia potoczyły się w przyspieszonym tempie. Odniosłem sukces i miałem Cindy. Dopisało mi szczęście, zwłaszcza kiedy porównuję moją sytuację z sytuacją innych imigrantów, Włochów i pozostałych cudzoziemców, którzy ciężko harowali, żeby zdobyć swoje miejsce pod słońcem. Prócz plusów były też minusy. Zdobyłem pieniądze, sławę, Cindy, ale straciłem coś z ludzkich wartości. Powiedzmy wprost — zapomniałem o Włoszech, o mojej wyspie, o ojcu... zapomniałem o Agrippinie.

Kiedy do pensjonatu pani Powell przyszedł po mnie pan O'Connaught, zabierałem się właśnie do napisania listu do Marty Ricovacci, mojej matki, z prośbą, aby zorganizowała przyjazd Agrippiny do Ameryki. Listu tego nigdy nie napisałem. Później, kiedy wracałem do tego myślami, mówiłem sobie, że powinienem poprosić matkę o jakieś wieści o Agrippinie i o to, aby pomogła jej przyjechać do mnie. Nie zrobiłem jednak nic w tej sprawie. Kiedy pisałem do matki, opowiadałem jej o kinie, posyłałem artykuły z gazet na mój temat. Kończyłem list formułką *Tuo figlio Carlo*, nie dodając żadnego postscriptum. Niekiedy przychodziła mi do głowy myśl, żeby napisać bezpośrednio do Agrippiny i opowiedzieć o sobie. Niewykluczone, że mój list doszedłby do niej, bo chyba już zapomniano o mojej sprawie. Jednak od razu wyobrażałem sobie jej odpowiedź, że wyszła za męża za nauczyciela z Palermo, człowieka dobrego, miłego, z poczuciem humoru, inteligentnego. Była też możliwa inna odpowiedź, mogła przecież napisać: „Przyjeżdżam, będę piętnastego przyszłego miesiąca. Zaoszczędziłam pieniądze na bilet, bo wiedziałam, że któregoś dnia wezwiesz mnie do siebie. Czekaj na mnie w porcie w Nowym Jorku!”.

I co wtedy? Jak przedstawić Agrippinę moim tutejszym znajomym, jak czułaby się w środowisku amerykańskiego kina, gdzie nikt nie słyszał o łacińskich autorach? Już nie mówiąc o Cindy Hammersmith... Czy w tamtym czasie zachowywałem się jak drań, który o wszystkim zapomniał? Być może, a nawet na pewno tak. Mówiłem sobie, że mam rację. W świecie, w którym wtedy przebywałem, nie było miejsca na miłość z dzieciństwa.

Ojciec napisał mi, że Pasqualina przyjechała do niego do Le Grau-du-Roi. Pobrali się. On także zbierał artykuły o mnie i pokazywał je innym rybakom. Przyznał się nawet, że pojechał pociągiem do Nîmes, gdzie są kina, żeby zobaczyć film, w którym grałem. Wychodząc stamtąd, zerwał ze ściany w holu jeden z fotosów z tego filmu.

Opowiedziałem o tym Cindy. Najpierw wydawała się zachwycona. Potem jednak powiedziała mi poważnym tonem, że podobno w wielu kinach w Stanach Zjednoczonych dziewczęta kradną moje zdjęcia.

— To znak — stwierdziła — że kochają się w tobie tysiące dziewcząt.

Wzruszyłem ramionami.

— W kinie amerykańskim są tabuny przystojnych chłopców.

Popatrzyła na mnie w ten sam intensywny sposób, jak podczas pierwszego naszego

wspólnego wieczoru.

— Bez wątpienia, ale Charly Gastaldi jest tylko jeden. Jason O’Hara miał nosa, wybierając właśnie ciebie. A to oznacza, że masz w sobie coś więcej niż inni przystojni chłopcy. Kiedy Jim Hartford zaproponował ci rolę w *Devil in the skin*, wiedział, co robi.

Nic na to nie odpowiedziałem, ale ona mówiła dalej:

— Te dziewczyny, które znałeś przede mną, same ci się narzucały. Nie musiałeś im nadszkakiwać.

Odrzekłem, że nie pamiętam tego. Oczywiście kłamałem. Zresztą ona nie przejmowała się moją odpowiedzią.

— Ja również postąpiłam tak samo. Narzuciłam się siedemnastoletniemu chłopakowi, który nie wierzył własnym oczom i uszom. Zapragnęłam mieć tego chłopaka, sądząc, że prędzej czy później się nim znudzę, tak jak innymi. A oto sama wpadłam w pułapkę. Chłopak stał się mężczyzną. Bo ty, Charly, jesteś już mężczyzną.

Przerwała, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, co przed chwilą powiedziała. Dość długo to ona prowadziła tę grę, ale z czasem, niezauważalnie, wszystko zaczęło się zmieniać, a po *Devil in the skin* okazało się, że jesteśmy sobie równi. Cindy uświadomiła sobie, że już jej nie potrzebuję.

— Nadal jesteśmy razem, ponieważ coś nas do siebie przyciąga.

Nic nie powiedziała. Odwróciła się. Była dumną, niezwykłą kobietą. Dopiero niedawno skończyła trzydzieści lat, ale czuła, że się starzeje, chociaż jej uroda, wdzięk i talent pozostały nietknięte. Tym razem to ja zrobiłem pierwszy krok. Zapewniłem ją o moim uczuciu do niej. Wówczas niespodzianie zapytała, czy mam wiadomości o dziewczynie, z którą spotykałem się na wyspie we Włoszech. Nie miałem żadnych i nie chciałem mieć. Przynajmniej tak jej powiedziałem. Wydawało się, że mi uwierzyła.

Tego wieczoru poszliśmy na kolację do modnej restauracji. Robiono nam zdjęcia i Cindy znów była tym, kim chciała być — wielką gwiazdą kina. Z jej niepokojem i zazdrości nie zostało ani śladu i w tym momencie pomyślałem znowu, że dla niej liczy się przede wszystkim kariera. Gdyby znalazła się w sytuacji, że musiałaby wybierać między życiem gwiazdy a mną, przegrałbym.

Na razie nosiłem białe smokingi, udzielałem wywiadów, grałem w kolejnych filmach, zarabiałem duże pieniądze. Moje doświadczenie, talent dojrzewały, przynajmniej tak mi mówiono.

Wiele razy życie rozdzielało mnie z Cindy, poznawałem inne kobiety, ale ona zawsze do mnie wracała, a ja wtedy porzucałem tamte kobiety i prosiłem, żeby mnie ponownie przyjęła. W takich chwilach na jej ustach pojawiał się znowu nieśmiały uśmiech z pierwszego wieczoru, a potem od nowa stawała się oślniewającą Cindy Hammersmith.

Któregoś dnia zaskoczyła mnie. Oświadczyła, że skończyła już trzydzieści dwa lata i że chciałyby mieć dziecko.

— *You’re sure?*⁹⁰.

— *I am*⁹¹.

Dziecko to poważna sprawa. Trzeba będzie je wychować. Powinniśmy się pobrać.

— *I know* — powiedziała i dodała: — *That’s what I want from you*⁹².

Powiedziała to zdanie tym samym tonem jak wtedy, kiedy zaproponowała mi, żebym został jej kochankiem.

Poprosiłem ją o dwadzieścia cztery godziny do namysłu, bo tego rodzaju decyzji nie podejmuje się pochopnie. Nie chciałem się żenić, żeby zaraz potem się rozwodzić. W Hollywood wszyscy się rozwodzili... Gdybym miał z nią dziecko, chciałbym je znać. Potrzebowałem czasu,

żeby zanim przekażę jej moją odpowiedź, przyzwycząić się do tej myśli. Cindy wysłuchała mnie z uwagą. W tym momencie była absolutnie szczerą. Wyznała, że od czasu kręcenia *Devil in the skin* myślała o tym często, ale nie miała odwagi mi o tym powiedzieć. Rozumiała doskonale, że potrzebuję czasu na zastanowienie się. Dodała też, że jeśli się nie zgodzę, w naszych stosunkach nic się nie zmieni.

— Dwadzieścia cztery godziny — powiedziałem — to czas, abym przyzwycząić się do tego, że mam zostać mężem i ojcem.

Był 6 grudnia 1941 roku. Nazajutrz Japonia zaatakowała bazę w Pearl Harbor, a 11 grudnia Włochy i Niemcy wypowiedziały wojnę Stanom Zjednoczonym. Wszedłem wtedy w trzeci okres mego życia.

Rano do drzwi zapukali dwaj oficerowie z urzędu do spraw imigrantów.

— Charly Gastaldi, aktor, narodowości włoskiej?

— Tak, ale...

— Zechce pan pójść do naszego biura dla dopełnienia pewnych formalności?

Trwało to cały dzień. Na szczęście mogłem okazać pozwolenie na pracę i dowieść, że nie opuszczałem Stanów Zjednoczonych, odkąd tu przyjechałem. Wreszcie pod koniec dnia postawili sprawę jasno.

— Pański kraj wypowiedział wojnę naszemu. Imigranci z Włoch, Niemiec i Japonii mają znaleźć się w obozach aż do końca wojny.

— Pan oszalał?

— Proszę się uspokoić, panie Gastaldi. Wiemy, że jest pan aktorem filmowym, partnerem sławnej Cindy Hammersmith, ale takie jest amerykańskie prawo i nie możemy go zmienić. Pozostaje panu jedno wyjście: wystąpić z prośbą o przyznanie panu amerykańskiego obywatelstwa.

— Wystąpię o nie. Czy to już wszystko?

— Nie, panie Gastaldi, otrzymanie obywatelstwa amerykańskiego, zwłaszcza dla imigrantów z wrogich krajów, wymaga formalności i weryfikacji. Będą długo trwały i musi pan poczekać na ich rezultat w obozie, do którego zostanie pan przewieziony jeszcze dziś wieczór.

— Ile czasu będę musiał czekać?

— Nie wiem, przynajmniej kilka miesięcy...

Byłem załamany. Oficer klepnął mnie przyjaźnie po ramieniu.

— Jest jeszcze jedno rozwiązanie, ale nie śmiem go panu zaproponować...

— Słucham.

— Podpisać kontrakt z wojskiem. Wówczas otrzyma pan amerykańskie obywatelstwo zaraz po zakończeniu szkolenia.

— A co potem?

— Trzeba będzie iść na wojnę, panie Gastaldi.

W taki oto sposób znalazłem się w Fort Bragg w Karolinie Północnej. Przebywałem tam trzy miesiące i opuściłem to miejsce jako podporucznik z dokumentem poświadczającym moje amerykańskie obywatelstwo. Cindy Hammersmith przyjechała do mnie, kiedy przed wyjazdem dostałem przepustkę. Muszę przyznać, że jej przybycie wywołało poruszenie, które wynagrodziło mi wszystko, co tam wcześniej przeżyłem. Tydzień później wsiadłem w San Francisco na wojskowy okręt transportowy.

Nie będę opowiadał o moim udziale w wojnie przeciw Japończykom. Dwa razy zostałem ranny i dwa razy byłem odznaczony. W kwietniu 1942 roku znalazłem się wśród zwycięzców walk o Guadalcanal i jako kapitan dowodziłem jednostką morską. Nie mogę powiedzieć, że zapomniałem o kinie, po prostu stałem się żołnierzem. Szykowała się wielka ofensywa pod dowództwem admirałów Halseya i Nimitza. Jednak naszym bohaterem był MacArthur. Odbijaliśmy wyspy jedną po drugiej. Trwało to rok. Przez cały ten okres raz dostałem przepustkę i pojechałem do Stanów Zjednoczonych. Spotkałem się z Cindy Hammersmith w przesłodzonym świecie ludzi Hollywoodu. Przeszedłem gwałtownie od scen strachu i wojennej ekscytacji do śmiesznie plotkarskiego środowiska filmowców. Niekiedy odnosiłem wrażenie, że gram remake *Devil in the skin*, ale tym razem w prawdziwym życiu. Miałem okazję zobaczyć się z Jimem Hartfordem, zbyt starym, żeby mógł włożyć mundur. Słuchał z zainteresowaniem, kiedy opowiadałem mu, co się działo na Pacyfiku, o desantach na plażach, o walkach w dżungli na wyspach, nieraz pod ostrzałem miotaczy ognia. Dał mi taką radę: „Dbaj o swoją twarz, Charly, dzięki niej stałeś się gwiazdą”. Cindy i ja byliśmy szczęśliwi, że znowu jesteśmy razem, ale jednocześnie dość szybko zapadała między nami cisza.

Bywałem na koktajlach wydawanych przez wytwórnie Metro, Paramount lub Fox, skąd niemal natychmiast miałem ochotę uciekać, gdyż poprzez gwar dystyngowanych rozmów, okrzyków i śmiechów, brzęk kieliszków z winem słyszałem odgłosy eksplozji i krzyków z drugiej strony Pacyfiku.

Jedynie Tennessee Williams, który okazywał mi prawdziwe zainteresowanie, powiedział, że rozumie, co czuję. Był to człowiek, który umiał skłonić mnie do zwierzeń i wiedział, jak się wobec mnie zachować. Kiedy wróciłem na front, odczułem swego rodzaju ulgę, miałem bowiem wrażenie, że wojna to normalne życie, a ten drugi świat, świat ludzi kina na Zachodnim Wybrzeżu, jest śmiesznie groteskowy. Pewien lekarz wojskowy wyznał mi, że czuł to samo i że ludziom takim jak my, kiedy wojna wreszcie się skończy, nie będzie łatwo wrócić do tamtego świata. Wygłosił taką opinię: „Mam wrażenie, że pan polubił wojnę, kapitanie”. Nie odpowiedziałem. Pomyślałem o moim ojcu, który, byłem tego pewien, polubił wojnę, choć nigdy mi o tym nie mówił.

Jakiś czas potem wezwano mnie do sztabu.

— Gastaldi, jest pan z pochodzenia Sycylijczykiem.

— Prawie, pochodzę z wyspy leżącej między Messyną a Reggio w Kalabrii.

— Niech się pan pakuje. Pojedzie pan na front zachodni. Nie zapomniał pan języka włoskiego?

— Nie sądzę.

— A dialektu?

— Też nie.

— Tym lepiej, bo popłynie pan na Sycylię.

Dziesiątego lipca 1943 roku wylądowałem na ziemi włoskiej. Zdobywanie Sycylii trwało trzy tygodnie. W tym czasie Mussolini został zmuszony do ustąpienia i aresztowany. Wielu naszych zginęło, ale Niemcy się wycofali. Byłem wyczerpany. Pod wieczór zamierzałem iść do mojego namiotu, kiedy odnalazł mnie goniec.

— Kapitanie Gastaldi, jest pan wezwany do sztabu.

— Kiedy?

— Natychmiast. Zawiozę pana motorem.

Wszedłem do sali dowodzenia. Było tam wielu oficerów z odznakami wywiadu. Zebranie prowadził jakiś pułkownik.

Zauważyłem obecność innych amerykańskich oficerów włoskiego pochodzenia. Zналиśmy się wszyscy. W kącie sali siedziało kilka osób ubranych po cywilnemu i widać było, że są to Sycylijczycy. Jeden z nich wstał i skierował się w moją stronę. Był niewysoki, z brzuszkiem i nosił spodnie na szelkach. Zatrzymał się przede mną. Nie postarzał się.

— Boli mnie ząb, Carlo.

— Mnie także, prawy siekacz.

Padliśmy sobie w ramiona. Fabrizio zanucił mi do ucha arię z *Cavalleria rusticana*. Pułkownik wywiadu rozwinął na ścianie mapę cieśniny. Każda wyspa zakreślona była niebieskim kółkiem.

— Panowie, nie możemy pozwolić, aby niemieckie łodzie podwodne dalej zatapiały w cieśninie nasze okręty. Jest ich pełno przy niektórych wyspach, a zwłaszcza przy jednej. Trzeba się ich stamtąd pozbyć. Na wyspie, o której wspomniałem, znajduje się czynny od czasu do czasu wulkan.

Pokazał moją wyspę na mapie.

— Zdaje się, że pan zna tę wyspę, kapitanie Gastaldi.

— Urodziłem się na niej i opuściłem ją w trzydziestym piątym roku. Statkiem *Star of Boston* popłynąłem do Nowego Jorku.

— Wróci pan na swoją wyspę.

— Kiedy?

— Tej nocy. Wyląduje pan z trzydziestoma ludźmi w miejscu, które uznacie za najbezpieczniejsze. Łodzie podwodne stoją prawdopodobnie zakotwiczone w porcie. Jeśli rzeczywiście tak jest, musicie je zniszczyć.

Serce zabiło mi mocno. Ten człowiek nie zdawał sobie sprawy, gdzie mnie wysyła.

— Rozkaz, panie pułkowniku.

Fabrizio znowu podszedł do mnie. Odezwał się w dialekcie.

— Idź ze swoimi ludźmi do kościoła. Zapukaj do drzwi zakrystii cztery razy: jedno uderzenie i po przerwie trzy szybkie. Osoba, która ci otworzy, to nasz człowiek. Przekaze ci potrzebne informacje.

Jeszcze raz mnie uściskał. Pułkownik obserwował nas.

— Kapitanie Gastaldi, przypuszczam, że zna pan mieszkańców tej wyspy.

— Znam ich wszystkich.

— Podobno są między nimi faszyci.

— Tak, ale niektórzy z nich pomogli nam uciec, mnie i mojemu ojcu. Gdyby nie oni, w najlepszym wypadku wylądowalibyśmy w więzieniu.

Pułkownik spojrzał mi w oczy. Był to twardy facet. Miał medale i blizny, których na pewno nie zdobył na polu golfowym.

— Może należałoby przypomnieć...

Przerwałem mu.

— ...że jestem kapitanem armii Stanów Zjednoczonych, że jesteśmy w stanie wojny z Włochami, sprzymierzeńcem Niemiec, i że taka sytuacja potrwa tak długo, dopóki marszałek Badoglio, który zastąpił Mussoliniego, nie złoży broni.

— Dziękuję panu, dobrze, że nie musiałem tego panu przypominać — dokończył pułkownik. — Powodzenia, Gastaldi, to nie będzie przyjemna zabawa.

Zrobił krok do tyłu, wyprostował się i zasalutował. W odpowiedzi ja również mu zasalutowałem.

Sycylijczycy zgromadzili się wokół mnie. Mieli na sobie koszule z grubego płótna i berety. Na ramionach zawieszono karabiny. Poznałem mężczyznę, Alberta, który otworzył hangar w porcie w Palermo, by ukryć tam łódź mojego ojca. Gościł mnie na swojej farmie. Innych również znałem z widzenia. Byli przyjaciółmi mojego ojca. Widywałem ich od czasu do czasu w naszym domu zbudowanym nad brzegiem morza przez naszego przodka, garybaldczyka. Byli to ludzie żyłaści, twardzi, podstępni. Stawiali na pierwszym miejscu prawo *l'Umirta* i honor. Nienawidzili wszelkiej władzy publicznej. Należeli do *cosche*⁹³, w których obowiązywało prawo bezwzględnej solidarności. Niektórzy siedzieli w więzieniu, ale ci, którzy ich zadenuncjowali, nie żyli długo. Wszyscy nienawidzili faszystów, którzy ich tępilli, stosując wobec nich zasadę: *Pe cu sgarra nudda ha piéta*⁹⁴. Świetnie strzelali, z diabelską zręcznością posługiwali się nożami. Byli ludźmi mojej rasy i doskonale się rozumieliśmy, mimo iż nosiłem amerykański mundur. Uściskałem każdego po kolei, potem ustawili się w szereg i zaśpiewali:

*Una mattina, mi son svegliato,
O bella ciao, bella ciao, bella ciao, ciao, ciao,
Una mattina, mi son svegliato
Ed ho trovato l'invasor.
O partigiano, portami via,
O bella ciao, bella ciao, bella ciao, ciao, ciao,
O partigiano, portami via,
Che mi sento di morir.
(Wstałem pewnego ranka,
O bella ciao, bella ciao, bella ciao, ciao, ciao,
Wstałem pewnego ranka
I znalazłem wroga.
Zabierz mnie ze sobą, partyzancie,
O bella ciao, bella ciao, bella ciao, ciao, ciao,
Zabierz mnie ze sobą, partyzancie,
Jestem gotowy na śmierć...).*

— To pieśń partyzantów — mruknął Fabrizio. — Wszyscy będziemy partyzantami aż do końca wojny.

Nasza łódź podwodna wynurzyła się pół mili od brzegu. Wybrałem to miejsce, ponieważ było tu głęboko, klifowy brzeg schodził stromo aż do morza, jeśli nie liczyć jednej zatoczki z maleńką, niewidoczną od lądu plażą. Znałem dobrze ten brzeg, bo często bywałem tu z Agrippiną, i przypuszczałem, że nie jest pilnowany. Nasz niewielki oddział wsiadł do dwóch pontonów. Łódź podwodna natychmiast z powrotem się zanurzyła, a my zabraliśmy się do wiosłowania.

Przed wyjazdem posmarowano nam twarze czarną maścią przypominającą pastę do butów. Mieliśmy radio, materiały wybuchowe, pistolety maszynowe Thomson i sztylety. Ja zatknąłem za pasek zwykły pistolet. I to stanowiło całe nasze uzbrojenie.

Morze było dość spokojne, noc ciemna. Ledwie dostrzegaliśmy klif i górujący nad nim posępny masyw Nonno. Miasteczko leżało za wulkanem. Mieliśmy wspiąć się na strome zbocze i potem zejść na dół, by dotrzeć tam od strony północnej. Po półgodzinie pontony osiadły na piasku. Spuściliśmy z nich powietrze i zakopaliśmy na brzegu. Zaledwie zdążyłem rzucić okiem na plażę, gdzie przed ośmioma laty przeżyłem tyle słodkich chwil. Ludzie już się ustawiali i sprawdzali broń. Ruszyłem ku klifowi i znalazłem szczelinę, przez którą mogliśmy przejść. Ponieważ tylko ja znałem to miejsce, szedłem pierwszy. Posuwaliśmy się powoli, jeden za drugim, uważając, by pod naszymi butami nie zaskrzypiał piasek. Po jakimś czasie znaleźliśmy się po drugiej stronie klifu, mając przed sobą Nonno. Podniosłem rękę i wszyscy się zatrzymali.

Wyjaśniłem, że zbocza wulkanu są porośnięte krzakami i poprzecinane ścieżkami, krzyżującymi się często ze sobą. Pozwalają one dotrzeć na szczyt wulkanu lub obejść go wokół. Trzeba było uważać, by nie robić najmniejszego hałasu, a strzelać tylko w razie rzeczywistej konieczności. Mieliśmy porozumiewać się na migi i robić przerwy co pięć minut, żeby nasłuchiwać. Nikt tego nie skomentował. Byli to komandosi przywykli do tego rodzaju zadań. Niektórych znałem i widziałem w akcji od czasu lądowania na Sycylii. Ruszyliśmy znowu. Obeszliśmy wulkan, przechodząc obok miejsca, gdzie zawałiła się grota, zasypując fałszyfikaty posągów orła i Balkis. Co pięć minut podnosiłem rękę i kolumna stawała. Nasłuchiwalismy przez kilka chwil, ale słyhać było jedynie szelest traw poruszanych wiatrem. W pewnym momencie dałem znak, by wszyscy przykucnęli. Usłyszałem czyjeś głosy. Moi ludzie przywarli do ziemi. Głosy się zbliżały. Byli to dwaj niemieccy żołnierze oświetlający sobie drogę latarką. Znajdowali się około stu metrów od nas. Rozmawiali głośno, jak ludzie, którzy beztrudnie sobie spacerują. Nie mieliśmy możliwości wziąć ich do niewoli. Dałem znak i natychmiast dwaj komandosi ze sztyletami w rękach wskoczyli między gęste krzaki. Nie słyszeliśmy, jak podkradają się do Niemców, którzy kontynuowali pogawędkę. Któryś z nich zaśmiał się, i to był jego ostatni śmiech w życiu. Żadnego krzyku, tylko głuchy odgłos przewracających się na ziemię ciał. Nasi dwaj komandosi wrócili, chowając sztylety obtarte wcześniej o trawę. Droga była wolna.

W tym momencie chmury nad wulkanem rozerwały się i w powstałej między nimi dziurze ukazał się księżyc, który oświetlił górę. Przed naszymi oczami pojawiło się miasteczko. Była to dobrze mi znana droga prowadząca od grotty do pierwszych domów. Mieliśmy jeszcze jakieś pół godziny marszu. Spojrzałem na zegarek. Dziesięć minut po północy. Najdalej za dwie godziny Niemcy zauważą, że ci dwaj żołnierze nie wrócili, i ogłoszą alarm. Nie mieliśmy czasu do stracenia. Ruszyłem naprzód, starając się iść skrajem drogi, kryjąc się wśród zarośli. Dawniej nieraz chodziłem tędy z Agrippiną u boku. Nie był to jednak właściwy moment na rozczulanie się. Nasza grupa dotarła do pierwszych domów miasteczka pogrążonego w ciemnościach po zniknięciu księżyca. Dałem znak, by żołnierze się zatrzymali. Komandosi skupili się wokół mnie

pod osłoną muru. Wyjaśniłem, że przejdziemy przez miasto w kierunku kościoła. Możliwe, że napotkamy patrol. W takim wypadku trzeba działać tak jak poprzednio. Obowiązują te same instrukcje. W kościele otrzymamy potrzebne nam informacje, żeby móc wysadzić łodzie podwodne.

— A co potem? — zapytał jeden z komandosów.

— Nadam wiadomość przez radio i poczekamy na wsparcie, bo nie uda nam się wrócić tą samą drogą, którą tu przybyliśmy. Naszym zadaniem jest likwidacja zakotwiczonych w porcie łodzi podwodnych. Gdy nadejdą posiłki, będą nas szukać na plaży na zachód od miasteczka.

— A jeśli posiłki nie nadejdą albo przybędą za późno?

— Jest pan chrześcijaninem, sierżancie? Pozostanie panu modlić się i zachować ostatnią kulę dla siebie. Jeśli nie starczy panu odwagi, pomogę. Wszystko jasne?

— Tak jest, panie kapitanie.

— A ponieważ zaczynamy od kościoła, będzie pan mógł tam zostać i od razu zacząć się modlić.

Rozległy się śmiechy. Sierżant się odprężył. Klepnąłem go po ramieniu, tak jak to robił mój ojciec, po czym dałem znak, że ruszamy. Moi ludzie ponownie ustawili się w szereg. Tak oto wszedłem w ulice mojego miasteczka. Przyciskając się do ścian, zatrzymywałem się na skrzyżowaniach. Jeśli droga była wolna, podnosiłem rękę, żołnierze szli za mną bez najmniejszego szmeru, bez słowa. Przeszła mi przez głowę myśl, że moje ukochane miasteczko może w jednej chwili stać się polem bitwy. Nic się jednak na razie nie wydarzyło i bez przeszkód dotarliśmy do kościoła. Znowu się zatrzymałem. Dokoła panowały ciemności i absolutna cisza. Drzwi kościoła były zamknięte. Obszedłem go i znalazłem się przed zakrystią, gdzie Don Leonardo udzielał nam lekcji. Moi ludzie ukryli się, gdzie tylko zdołali. Podszedłem do drzwi i zapukałem raz, a po kilku sekundach szybko trzy razy.

Nic.

Zaniepokoiłem się i zamierzałem zapukać ponownie. To katastrofa, jeśli tam nikogo nie było, bo musielibyśmy sami wykonać zadanie. Nagle usłyszałem cichy szcęk i odetchnąłem z ulgą. Drzwi uchyliły się, w ciemnościach wsunąłem się do środka.

— *Quanti uomini siete?*⁹⁵ — usłyszałem znajomy głos.

— *Trenta*⁹⁶.

— *Possono venire*⁹⁷.

Dałem znak moim ludziom. Weszli jeden po drugim, ostatni zamknął za sobą drzwi. Kiedy właścicielka głosu zapaliła lampkę w kącie, natychmiast rozpoznałem ciemną, zgarbioną sylwetkę. To była Funghina!

— Czy w porcie są łodzie podwodne? Ile ich jest? — zapytałem.

— Trzy. Niemcy zbudowali z tyłu drugi port. Postawili hangar na wodzie. I tam właśnie stoją te łodzie. Jak dawno nie słyszałam twojego głosu, Carlo Gastaldi!

— Nie sądziłem, Giuseppe, że to właśnie pani będzie na nas czekać. Proszę mi wszystko powiedzieć.

Poszła po lampkę i pomachała mi nią przed oczami.

— W tym hełmie, z umazaną twarzą nie jesteś tak przystojny jak na afiszach, Carlo.

Przeszła po zakrystii z lampką w ręku. Na ścianach wisiało dwanaście plakatów z filmów, w których grałem, łącznie z afiszem *Devil in the skin*, na którym widniały obok siebie twarze moja i Cindy Hammersmith sfotografowane przez Billa Danielsa.

— Kto powiesił te afisze w zakrystii?

— Zgadnij. Ale nie mamy teraz czasu, żeby o tym mówić. Proboszcz śpi. Dosypałam mu coś do kawy. Przyjechał tutaj, kiedy opuścił nas Don Leonardo, ale go nie lubię. Don Leonardo

był pod każdym względem lepszy. Ten popiera faszystów.

— Nie mamy dużo czasu, Giuseppino. Jak można dostać się do tego hangaru?

Funghina roześmiała się, po czym zrobiła znak krzyża przed zdjęciem figurki Santa Mustioli.

— Jeśli chodzi o klucz, to mają go Niemcy, którzy ulokowali się w *casa del Fascio*, i raczej nie ma mowy o tym, by go im zabrać. Na szczęście istnieje drugi klucz. Nosi go przy sobie podestat na wypadek, gdyby wybuchł tam pożar lub zdarzyło się coś niezwykłego. Niemcy mu ufają.

Byłem zaskoczony i jednocześnie w duchu się ucieszyłem.

— Wystarczy więc tylko pójść do Battisty i...

Giuseppina przerwała mi:

— Battista umarł trzy lata temu. Atak serca. Za dużo jadł i pił. — Znowu się przeżegnała.

— Nie zawsze się z nim zgadzałam, ale to był uczciwy człowiek. Nowym podestatem został Foscari. Ten to jest twardy. Odkąd zajął miejsce Battisty, wyobraża sobie, że jest nie wiadomo kim, i zachowuje się niczym król. On klucza nigdy dobrowolnie nie odda. Trzeba mu go odebrać.

— Kto jest w jego domu?

— A kto ma być? Jego rodzina, żona, synowie...

Spojrzała na mnie z dziwną miną. Z wahaniem zapytałem:

— A co z Agrippiną?

Wymieniłem wreszcie jej imię. Funghina skrzywiła się.

— Czekałam, kiedy wreszcie zapytasz mnie o tę, która umieściła w zakrystii plakaty z twoimi filmami. Chociaż ty nie za bardzo się nią przejmowałeś, kiedy zostałeś aktorem w Ameryce... Pracuje jako nauczycielka w Palermo. Przyjeżdża czasami na kilka dni i potem znowu wyjeżdża. Nie wiem, gdzie teraz jest, może pozostała na Sycylii. Nie za bardzo się zgadza ze swoim ojcem, jak mówią w miasteczku... — Przerwała na chwilę, po czym podjęła na nowo:

— Nie licząc załóg łodzi podwodnych, Niemców jest pięćdziesięciu w *casa del Fascio* i w okolicznych domach. Usunęli przedtem stamtąd mieszkańców. Przed hangarem stoi posterunek z czterema czy pięcioma żołnierzami. Pilnują łodzi podwodnych. Są niewielkie. Wiem, bo wszyscy je oglądają, kiedy wypływają w morze i kiedy wracają. Wczoraj załadowali torpedy. Foscari ma zawsze klucz przy sobie. W miasteczku powiadają, że nosi go na szyi, na łańcuszku razem z medalionem Dziewicy — przeżegnała się po raz trzeci — ale to nie jest pewne. Możliwe, że schował go gdzie indziej. Nic więcej nie wiem.

To mi wystarczało. Problemem było to, że po klucz należało udać się domu Foscariego, co wcale nie będzie proste. Zwróciłem się do moich ludzi i przetłumaczyłem im to, co powiedziała Funghina.

— Pójdę sam po klucz. Wiem, gdzie mieszka nowy podestat. To mniej niż sto metrów stąd. Podzielicie się na dwie grupy i ustawicie na dwóch końcach ulicy. Jak tylko zdobędę klucz, trzeba będzie zlikwidować strażę, otworzyć hangar i zniszczyć łodzie podwodne. Mamy pół godziny, najwyżej trzy kwadransy. Potem będziemy musieli szybko uciekać na plażę, skąd nas zabiorą.

Zaledwie skończyłem mówić, kiedy gwałtownie otworzyły się drzwi oddzielające kościół od zakrystii. Na rogu pojawił się mężczyzna, potargany, grubawy, mrugający powiekami. W rękę trzymał świecę.

Funghina mruknęła przez zęby jakieś przekleństwo. Za słabo doprawiła mu kawę.

— *Che succede nella casa di Dio?*²⁸.

W tym momencie zobaczył nas wszystkich, w hełmach, w mundurach, z bronią. Zrobił krok, żeby cofnąć się do kościoła, ale jeden z moich żołnierzy chwycił go za kołnierz sutanny.

— To następca Don Leonarda — wycedziła Funghina. — Nie puszczajcie go, bo pobiegnie uprzedzić Niemców.

Ksiądz popatrzył na mnie. Pojął od razu, że chodzi tu o jego życie. Sierżant, jeden z tych dwóch ludzi, którzy załatwili niemieckich żołnierzy na ścieżce pod wulkanem, wyjął niepostrzeżenie sztylet.

— Ja go przypilnuję — powiedziała spokojnie Funghina. — Tutaj nie zabija się księży.

— A co będzie potem, Giuseppino? Nie możemy cię zabrać ze sobą.

Otworzyła szufladę i wyjęła z niej starą strzelbę, którą położyła na stole w zakrystii.

— Santa Mustiola jest ze mną. Nie traćcie czasu. Przypilnuję go. Kiedy wszystko wyleci w powietrze, uwolnię go. Mnie nic nie zrobią, nie ośmielą się.

Ksiądz rozglądał się wokoło z przerażeniem. Funghina uratowała mu życie. Popatrzył na afisze, potem na mnie. Zdjąłem hełm i wtedy już wiedział, kim jestem.

— Proszę mnie posłuchać, *padre*, ja tu wrócę i nie daruję księdzu, jeśli coś się przydarzy Giuseppinie.

— Nic nie powiem. Przysięgam na Chrystusa.

Podszedłem do Funghiny i ucałowałem jej starcze policzki. Zrobiła znak krzyża nad moją głową i jeszcze raz się przeżegnała, błogosławiąc nas. Opuściłem zakrystię i razem z moimi ludźmi skierowałem się uliczkami miasteczka do domu rodziny Foscarich.

Spojrzałem na zegarek. Była godzina pierwsza dziesięć. Już wkrótce Niemcy podniosą alarm, kiedy zorientują się, że ich patrol nie wrócił. Ruszyłem szybciej krętymi uliczkami. Było tak ciemno, że posuwałem się do przodu po omacku, domyślając się kształtów domów, ale te miejsca znałem na pamięć i z zamkniętymi oczami mogłem wyrecytować nazwę każdej ulicy, uliczki, placu, które tworzyły miasteczko. Szedłem przodem, a za mną mój oddział. W końcu dotarłem do domu Foscarich. Moi ludzie, rozdzieleni na dwie grupy, ustawili się pod murem, obserwując dwa końce ulicy. Podniosłem rękę, pokazując trzy palce. Wystarczą mi trzej żołnierze. Po ośmiu latach nic się nie zmieniło na tej ulicy, ani fasady domów, ani okna, ani zapachy. Nachyliłem się nad zamkiem. Drzwi mogły być zamknięte na klucz, ale to się zdarzało bardzo rzadko. Na wyspie nie było kradzieży. Tutejsi ludzie nie mieli nic, co warto było kraść. Ruszyłem rygiel, tak jak robiła to Agrippina, kiedy odprowadzałem ją do domu po naszych nocnych randkach. Drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem. Wsunąłem się do środka, dając znak trzem żołnierzom, by zrobili to samo. Za plecami usłyszałem szcęk odciąganego zamka pistoletu maszynowego. Za progiem zatrzymałem się. Z tego, co pamiętałem, znalazłem się w kuchni, która służyła także za jadalnię. Rodzice Agrippiny spali obok, słyszałem ich chrapanie. Schody w rogu prowadziły na piętro, do pokoju dzieci. Podszedłem do pokoju rodziców. Drzwi były półprzymknięte. Foscari spał, chrapiąc, jego żona wzdychała, kręcąc się na łóżku. Dałem znak dwóm żołnierzom, żeby mi towarzyszyli, trzeci miał pilnować drzwi wyjściowych.

Zapaliłem latarkę i oświetliłem pokój. Ducessa wrzasnęła, a jej mąż usiadł na łóżku.

— *Non muovere!*⁹⁹ — zawołałem.

Oboje przerażeni patrzyli na mnie bez słowa. Matka Agrippiny zaczęła nagle szlochać, Foscari przecierał oczy, potem przeciągnął ręką po rzednących włosach. Mrugał powiekami. Sięgnął do nocnego stolika po okulary i zapalił lampę pod sufitem. Miał na sobie obcisłe trykoty, a na szyi dwa łańcuszki. Na jednym był medalik z Najświętszą Marią Panną, na drugim klucz.

— *Che succede? Chi siete?*¹⁰⁰ — zapytał, starając się, by jego głos brzmiał pewnie.

— Armia Stanów Zjednoczonych. Potrzebny mi klucz, który ma pan na szyi. Proszę mi go dać i odejdziemy.

Foscari popatrzył na mnie twardniejącym wzrokiem zza szkieł okularów. Zaciśnął usta. Nagle zrobił ruch ręką w kierunku poduszki, ale ja byłem szybszy i przystawiłem mu lufę do

skroni.

— Proszę wziąć broń, która jest schowana pod poduszką — rozkazałem jednemu z żołnierzy. Po czym zwróciłem się ponownie do Foscarięgo: — *Dammi la chiave, oppure la testa te la faccio saltare!*¹⁰¹.

Wzrok Foscarięgo padł na nazwisko wypisane na mojej kieszeni „Cap. C. Gastaldi”. Podniósł oczy, by zobaczyć moją twarz.

— To on — potwierdziła żona. — Poznałam go. Wrócił z Amerykanami.

— Pomogłem ci — rzekł Foscari.

— To nie ma teraz znaczenia. Oddaj mi klucz.

Zaśmiał się drwiąco.

— Nie oddam go nigdy żadnemu Amerykaninowi ani tym bardziej zdrajcy.

Nie mogłem dłużej zwlekać. Szybkim ruchem wprowadziłem nabój do lufy pistoletu, który nadal trzymałem przy jego skroni. Zrozumiał, co się dzieje, i zacisnął szczęki. Z pewnością był draniem, ale nie tchórzem. Jeśliby się dalej opierał, musiałbym go zabić.

— *Papà, dammi la chiave!*¹⁰².

Poznałem ten spokojny głos za moimi plecami. Nie musiałem się odwracać. Nie słyszałem go od sierpnia 1935 roku.

— *Non c'è nulla che vale la vita, neanche il fascismo!*¹⁰³. *Papà, dammi la chiave* — powtórzyła Agrippina. Dopiero w tym momencie odwróciłem się i spojrzałem na nią. A ona spojrzała na mnie. Z nieruchomą twarzą wzięła klucz od ojca. Jej matka przestała szlochać. Przyglądała się nam obojgu z pewną ciekawością. Agrippina stała się niezwykle piękną kobietą. W chwili, kiedy ją ujrzałem, zrozumiałem, że sześć lat spędzonych w Stanach Zjednoczonych, dwa lata wojny, moje życie z Cindy Hammersmith, moja sława aktora nie umniejszyły ani trochę mojej miłości do niej. Nie spuszczała ze mnie swoich czarnych jak węgle, intensywnie błyszczących oczu. Przyglądała się mojemu mundurowi, napisowi na kieszeni na mojej piersi „Cap. C. Gastaldi”, mojej umazanej na czarno twarzy, hełmowi z widocznym na nim godłem amerykańskim, przewieszonemu przez ramię pistoletowi maszynowemu i koltowi automatycznemu cały czas wycelowanemu w skroń jej ojca.

Gwałtownym gestem podała mi klucz.

— *Prendila, Carlo, e via di qui!*¹⁰⁴.

Wycofałem się, a za mną moi żołnierze. Na ulicy pokazałem wszystkim klucz. Teraz trzeba było pędzić do portu. Biegiem pokonywaliśmy uliczne schodki, skręcaliśmy w prawo, w lewo. W porcie od razu bez trudu zauważyłem pomieszczenie, w którym stały łodzie podwodne. Rzeczywiście był to hangar stojący częściowo na lądzie, częściowo w wodzie. Przed bramą od strony miasteczka znajdowała się wartownia. W środku paliło się światło i słychać było głosy ludzi mówiących po niemiecku. Przynajmniej trzech lub czterech. Przywołałem dwóch sierżantów.

— Jeśli ich bezpośrednio zaatakujemy, strzelanina zaalarmuje innych. Trzeba rozbroić strażników i przetrzymać, dopóki nie wysadzimy w powietrze łodzi podwodnych.

— A co potem? Co zrobimy z nimi potem?

— Zostawimy ich, nie będą już groźni.

Dwaj sierżanci, z peemami gotowymi do strzału, podkradli się bezszelestnie do wartowni. Zamierzali kopnąć w półotwarte drzwi, kiedy nagle same się otworzyły. Wszedł żołnierz z gołą głową, w rozpiętej koszuli, bez broni. Komandosi przywarli do ściany, gotowi skoczyć na niego. Niemiec zapalił papierosa, popatrując w niebo. Kiedy się odwrócił z papierosem w ustach, zobaczył dwóch komandosów. Wtedy zaatakowałem, chwyciłem go za ramiona, żeby przewrócić go na ziemię. Chciał krzyknąć, ale uderzyłem go w twarz. Zamilkł. Był to bardzo młody chłopak,

nie miał jeszcze dwudziestu lat. W tym momencie dwaj sierżanci wpadli do wartowni z bronią w rękę.

Wszedłem za nimi. Niemieccy wartownicy byli całkowicie zaskoczeni. Na stole stały szklanki i leżała talia kart. Podnieśli do góry ręce. Zebrałem broń, która była w wartowni, i podałem ją moim ludziom. Wybrałem trzech żołnierzy do pilnowania więźniów. Do tej chwili udało nam się przeprowadzić akcję bez jednego wystrzału. Wraz z dwoma pirotechnikami skierowałem się do bramy hangaru. Kluczem Foscariego otworzyłem bez trudu pancerne skrzydła bramy. W świetle mojej latarki zobaczyliśmy pomost i trzy stojące w szeregu łodzie podwodne. Były niewielkie, ale wystarczająco groźne, zdolne wyrządzić poważne szkody na wodach oddzielających brzeg Sycylii od kontynentu. Pirotechnicy zabrali się natychmiast do roboty. Założyli kostki plastiku pod pokładami i na kioskach, podłączając je do jednego detonatora. Ci profesjonaliści sabotażu pracowali bardzo szybko. Pozostali żołnierze przyglądali się temu. Podszedł do mnie jeden z tych, którzy pilnowali więźniów w wartowni.

— Panie kapitanie, chce z panem mówić jakaś kobieta. Wygląda na zdenerwowaną. Niech pan uważa, to może być podstęp.

Rzuciłem okiem przez uchylone drzwi hangaru. Była to Agrippina. Wszedłem do niej.

— Odejdź stąd, Agrippino, łodzie podwodne zaraz wylecą w powietrze, a razem z nimi cały hangar.

Podeszła bliżej. Kiedy odezwała się, poczułem jej oddech na mojej twarzy, wdychałem z rozkoszą jej zapach.

— Mój ojciec jako następca Battisty otrzymał też jego telefon. Słyszałam, jak dzwonił do komendantury. Zastosował sam do siebie zasadę: *Boia chi molla*.

Odwrociłem się w stronę hangaru i krzyknąłem:

— Jak długo jeszcze?! Zaraz będą tu Niemcy. Zostali uprzedzeni.

— Trzy minuty, panie kapitanie, prawie skończyliśmy.

Zwróciłem się znowu do Agrippiny.

— Musisz odejść. Będzie tutaj bardzo niebezpiecznie.

Mylilem się, przypuszczając, że Agrippina pozbawiona jest dawnego temperamentu.

— Pozwoliłam ci odjechać osiem lat temu. Napisałam do ciebie list. Dostałeś go?

— Tak, znam go na pamięć. Teraz uciekaj, zaraz będą tu Niemcy!

— Powiedz, Carlo, że mnie już nie kochasz, że zapomniałeś o mnie i że po wojnie wrócisz do Ameryki, żeby żyć dalej z Cindy Hammersmith, blondynką, fałszywą królową Saby, że chcesz mieć z nią dzieci. Wtedy odejdę.

Była cudowna. Nie był to jednak właściwy moment, żeby wdawać się z nią w dyskusje. Nie wiedziałem już, czy śmiać się, czy płakać. Ona mnie kochała i ja ją kochałem. W tym momencie rozległy się pierwsze strzały. Kule odbijały się z brzękiem od stalowej bramy hangaru. Chwyciłem Agrippinę za rękę, pchnąłem ją do środka i zamknąłem bramę. Z zewnątrz słyszeliśmy huk motorów, głośno rzucane rozkazy, serie z pistoletów maszynowych. Znaleźliśmy się w pułapce.

Zostało nam kilka chwil, żeby się zorganizować. Przez radio wezwałem sztab w Messynie.

— Znajdujemy się w hangarze z łodziami podwodnymi. Ładunki wybuchowe zostały podłożone, ale otoczyli nas Niemcy.

— Starajcie się wytrzymać. Wysyłam spadochroniarzy i okręt.

Sierżant, który wcześniej pytał, co zrobimy, jeśli pomoc się opóźni, chciał wiedzieć, czy już ma się zacząć modlić, jak mu wówczas poradziłem.

— Jeszcze na to za wcześnie, sierżancie. Musimy poczekać, aż łodzie podwodne wylecą

w powietrze, wtedy będzie pan mógł się pomodlić, jeśli będzie pan żywy.

Na zewnątrz rozległ się wzmocniony przez głośniki głos, mówiący po angielsku:

— Żołnierze amerykańscy! Jesteście otoczeni. Wyjdźcie jeden po drugim z podniesionymi rękami, a będziecie potraktowani humanitarnie zgodnie z prawami wojny i konwencją genewską!

Przywołałem do siebie strzelców wyborowych. Byli to ci dwaj sierżanci ze sztyletami.

— W kącie jest okienko. Uciszcie tego typa.

Jeden z sierżantów podszedł do okienka. Patrzył dłuższą chwilę i mruknął:

— Widzę go.

Niemiec znowu się odezwał:

— Żołnierze amerykańscy...

Sierżant strzelił tylko raz. Głos umilkł.

Z drugiej strony było drugie okienko. Wyjrzałem przez nie. Niemcy zgrupowani w porcie przygotowywali do strzału bazookę. Zawołałem do sierżanta:

— Czy ta pukawka może przebić opancerzone drzwi bramy?!

— Z tej odległości, w jakiej się znajdują — mruknął w odpowiedzi sierżant — zrobią wielką dziurę i wszyscy przez nią się tu dostaną.

Rozkazałem ludziom, żeby rozstawili się po bokach. Gruchnęło od frontu. Bazooka nie była jeszcze dobrze ustawiona. Usłyszałem słowa niemieckie i włoskie. Coś tam się działo.

Był to Foscari. Gestykulował i głośno mówił. Niemiecki podoficer odpowiedział mu po włosku wyraźnie zirytowany. Nagle zobaczyłem proboszcza i obok niego Funghinę. Krzyczała tak samo głośno jak wszyscy. Niespodzianie zapadła cisza i z osłupieniem ujrzałem, że Funghina wraz z proboszczem ruszyli w kierunku hangaru. Proboszcz był w sutannie. Uchyliłem bramę, żeby wpuścić ich do środka.

— Mamy dla was wiadomość — rzekł proboszcz. — Władze niemieckie dowiedziały się, że więzicie pięciu ich żołnierzy i córkę podestata. Jeśli ich uwolnicie, będziecie mogli wyjść i opuścić swobodnie wyspę.

— Nie wierzcie im — powiedziała Giuseppina w dialekcie. — Kiedy ich uwolnicie, zabiją was. Jeśli ich nie uwolnicie, też was zabiją. Nie przejmują się swoimi ludźmi ani Agrippiną. Zależy im przede wszystkim na tym, żeby łodzie podwodne nie zostały zniszczone.

Pięciu więźniów siedziało na ziemi wewnątrz hangaru. Dwaj moi żołnierze stali z wycelowanymi w nich pistoletami maszynowymi. Funghina popatrzyła na nich pogardliwym wzrokiem. Zobaczyła detonator zainstalowany na pomoście.

— To jest to? — zapytała. — Wystarczy nacisnąć i łodzie podwodne wylecą w powietrze. Znam takie urządzenie, miałam z czymś takim do czynienia. To ja wysadziłam w powietrze grotę.

— Problem w tym — powiedziałem — że wylecą w powietrze nie tylko łodzie podwodne, ale i hangar ze wszystkimi, którzy się w nim znajdują. Trzeba przeciągnąć linkę na zewnątrz, ma jednak tylko trzydzieści metrów.

Kiedy rozmawialiśmy, podeszła do nas Agrippina. Proboszcz popatrzył na nią i zobaczyłem, jak zabłysło mu oko na sflaczałej twarzy.

— Czy pani na pewno chce tu zostać? — zapytał podejrzliwym tonem.

Agrippina się roześmiała. Położyła rękę na moim ramieniu.

— Jestem więźniem mężczyzny, którego kocham od czasu, kiedy miałam dwanaście lat, *padre*, i on także jest moim więźniem. Dlatego, jeśli to mają być ostatnie chwile naszego życia, przeżyjemy je razem.

— Moje dziecko... — zaczął proboszcz ze smutną miną.

Przerwałem mu.

— Proszę posłuchać, *padre*, wiemy, po czyjej ksiądz jest stronie. Proszę wracać do swoich przyjaciół, bo inaczej sam ksiądz załatwię.

Proboszcz zacisnął usta.

— Czy mam przekazać pani słowa ojcu, *signorina* Foscari?

— Proszę mu je powtórzyć, nie będzie zdziwiony. Zna mnie.

— Jak sobie pani życzy — syknął proboszcz przez zaciśnięte wargi.

— Zostaję z nimi — oświadczyła Funghina. — Jestem po ich stronie.

Miała triumfującą, egzaltowaną minę, taką jak wtedy, gdy wypominała wszystkim w miasteczku ich grzechy i kiedy przeciwstawiła się Battiście, nie chcąc pozwolić, żeby pogańskie posągi były wiezione drogą, którą chodziła procesja z Santa Mustiolą. Przez moment zastanawiałem się, czy nie zwariowała. Proboszcz wyszedł. Foscari i Niemcy zobaczyli, że wraca sam. Mówił głośno, żeby wszyscy go usłyszeli:

— Twoja córka chce zostać ze swoim amerykańskim kochankiem. Woli z nim umrzeć.

Foscari zaczął krzyczeć na proboszcza, ale Niemcy go odepchnęli. Przyniesiono drugą bazookę, strzelcy ustawili się na stanowiskach. Wydałem rozkaz dwóm sierżantom, żeby ich zdjęli. Strzelili jednocześnie. Jeden z obsługi bazooki padł, ale drugi ocalał i celował w bramę hangaru. Usłyszałem komendę: *Feuer!*

Jednak żołnierz nie wystrzelił.

Foscari rzucił się na niego i przewrócił na ziemię.

Zrobiło się zamieszanie. Był to dobry moment, żeby spróbować ucieczki. Wybiegłem pierwszy, zasłaniając Agrippinę. Opróżniałem magazynek, a moi ludzie biegli za mną, strzelając. Przez chwilę myślałem, że nie udało nam się wykonać zadania, bo nie został nikt, żeby nacisnąć detonator i wysadzić łodzie podwodne. Niemcy odpowiedzieli ogniem. Byli to dobrzy żołnierze, którzy wiedzieli, co mają robić. Zostałem trafiony i osunąłem się na ziemię. Mój magazynek był pusty. Włożyłem drugi i podniosłem się na kolanach. W tym momencie bazooka wystrzeliła i hangar wyleciał w powietrze. Mam w pamięci wyryty ten obraz — ogłuszający hałas, nagły błysk światła, okropny ból w twarzy i sylwetka Agrippiny wyciągającej do mnie rękę. A potem już nic więcej.

- Gdzie jest Agrippina Foscari? Co się z nią stało?
- Niestety nie znaleźliśmy nikogo o takim nazwisku, będziemy jednak kontynuować poszukiwania. Przyjdzie do pana w tej sprawie porucznik Jenkins.
- Przecież minęły już dwa tygodnie. To coś nieprawdopodobnego...
- Proszę się nie denerwować. Potrzebny panu spokój i odpoczynek. Zresztą to pora zmiany opatrunku. Zaraz to zrobię... No, jest dużo lepiej. Poprawia się z dnia na dzień. Pańska twarz będzie taka jak przedtem.
- Czy pani sobie ze mnie kpi, panno Hamilton?
- Skądże, proszę pana. Nie ośmieliłabym się kpić z bohatera wojennego, który ma otrzymać najwyższe amerykańskie odznaczenie wojskowe, jako pierwszy Amerykanin cudzoziemskiego pochodzenia. Przyszli dziennikarze, pytają o pana...
- Niech ich pani odprawi! Nie chcę nikogo widzieć oprócz Jenkinsa, o ile ma dla mnie jakieś wieści.
- Jest pan bohaterem, ale trudnym pacjentem.
- Jak ja wyglądam, panno Hamilton?
- Jest duża poprawa. Od razu to widać. Doktor jest bardzo zadowolony.
- Ale ja pytam o moją twarz.
- Wszystko w porządku, już panu mówiłam.
- Niezła z pani kłamczucha, panno Hamilton. Proszę mi pomóc przenieść się na fotel. Dziękuję. Kiedy będę mógł zdjąć te przekłete bandaże?
- Doktor o tym zadecyduje. Moim zdaniem najdalej za trzy dni. Pańska twarz musi przyzwyczać się do świeżego powietrza. Zaraz zaprowadzą pana do ogrodu.
- Czy zechce mi pani podać lusterko, chciałbym obejrzeć moją twarz.
- Nie ma tu żadnego lustra, ale obiecuję przynieść je jutro albo pojutrze.
- Wyglądam okropnie, tak?
- Skądże, ranny nigdy nie wygląda okropnie, a pielęgniarka taka jak ja widziała już wiele różnych przypadków.
- Jestem zeszpecony.
- Kula, albo odłamek, przeszła od czoła do brody po lewej stronie twarzy. Blizna zostanie panu na długo, być może na całe życie. Przyzwyczał się pan i w końcu przestanie zwracać na to uwagę, podobnie jak inni ludzie z pana otoczenia.
- Czy pani wie, kim jestem?
- Kapitan Gastaldi z drugiego pułku piechoty morskiej.
- Nie to miałem na myśli, czy pani wie, kim byłem przed wojną?
- Był pan Charlym Gastaldim, aktorem filmowym, „najpiękniejszą twarzą męską amerykańskiego kina”. Widziałam wszystkie pańskie filmy, panie Gastaldi, i jak inne moje koleżanki kochałam się w panu. Najbardziej podobał mi się film *Devil in the skin*.
- Teraz już nie jest pani zakochana we mnie?
- Trudno powiedzieć, panie Gastaldi. Dorosłam, jestem zaręczona i poznałam pana osobiście. Co rano zakładam panu świeży opatrunek i mierzę temperaturę. To zmienia pewne relacje.
- Kochała się pani w twarzy fachowo filmowanej. Ta twarz już nie istnieje. Jest zupełnie inna, z blizną na całej długości.
- Pan wybaczy, panie Gastaldi, pańska twarz uległa zmianie, ale nadal istnieje, wbrew

temu, co pan mówi. Być może znajdzie ona swoje miejsce w kinie, może nawet jeszcze lepsze.

— Jest pani bardzo miła, panno Hamilton, ale nikt nie zechce aktora z taką twarzą, w dodatku kulejącego i z niesprawną lewą ręką.

— Doktor powiedział, że po pewnych ćwiczeniach będzie pan lepiej chodził. Co do ręki, to nie wiadomo. Wygodnie panu w fotelu? Czy chce pan książkę lub jakieś pismo?

Panna Hamilton krzątała się po szpitalnym pokoju. Była dość ładną, dobrą pielęgniarką i prostolinijną dziewczyną. Znosiła moje humory już od dwóch tygodni. Rozległo się pukanie do drzwi. Był to Jenkins, młody porucznik wywiadu. Był zobowiązany odpowiadać na wszystkie moje pytania, a ja dręczyłem go rozmyślnie przy każdej jego wizycie.

— Dzień dobry. Mam dla pana wieści.

Panna Hamilton dyskretnie wyszła. Porucznik Jenkins miał rude piegi i jasnoniebieskie oczy, chodził w mundurze, nienagannie uprasowanym. Był człowiekiem sumiennym, uczciwym, skłonny do konformizmu i trochę hipokrytą. Postępował jednak dokładnie tak, jak tego od niego oczekiwano. Przywodził mi na myśl Wendy O'Connaught. Zresztą pochodził z Atlantic City. Czasami okazywał poczucie humoru.

— No, Jenkins, niech mi pan zdradzi, z czym pan przyszedł. Zresztą płacą panu za to.

— Przyzna pan, że nie za wiele w stosunku do tego, co muszę znosić od pana, ale na wojnie się nie wybiera. Polecono mi: „Ma się pan zająć kapitanem Gastaldim; to dzięki niemu nasze okręty mogą swobodnie pływać w cieśninie. Ma pan zrobić wszystko, o co poprosi, odpowiadać na wszystkie jego pytania”. Staram się wykonywać to polecenie w miarę moich możliwości. Z całym szacunkiem, jaki jestem winien człowiekowi z pana stopniem, odznaczeniami i sławą bohatera. Generał Patton upoważnił mnie, bym powiadomił pana, że zostanie pan awansowany o jeden stopień wyżej.

— To mnie ani ziębi, ani grzeje, skoro wojna zakończy się beze mnie. Wojsko nie potrzebuje kalek. Kaleki nadają się tylko do wygłaszania pogadanek w szkole i jedzenia ciasteczek upieczonych przez żonę pastora.

Porucznik Jenkins odkaslnął. Udał, że nic nie słyszał. Należał do tych, którzy nigdy się nie buntują. Nauczono go dyplomacji.

— Zająłem się więc poszukiwaniem tej młodej kobiety, Agrippiny Foscari. — Przeczytał nazwisko z kartki, którą wyjął z kieszeni. — Mogę panu powiedzieć, że nie zginęła wtedy w porcie, ale niestety jeszcze jej nie odnaleźliśmy. Jedno jest pewne: ona żyje.

Zapytałem go, skąd ta pewność.

— Ponieważ pojechałem na pańską wyspę i tam prowadziłem poszukiwania. Z tego też powodu nie przyszedłem do pana wcześniej. Rozmawiałem z wieloma osobami, które twierdziły, że widziały ją po bitwie w porcie. Sądziła, że pan umarł lub jest umierający. Chciała wsiąść na jeden z okrętów, które przybyły z pomocą po wylądowaniu spadochroniarzy. Odmówiono jej, bo okręty armii amerykańskiej nie mogą brać osób cywilnych w trakcie operacji wojennej, zwłaszcza gdy chodzi o obywatela wrogiego kraju. Rozkazy w tej sprawie są jasne.

Powiedziałem mu nie bez złośliwości, że jedną z tych rzeczy, które mam za złe Amerykanom, jest ich całkowity brak wrażliwości, subtelności, zarówno w sposobie myślenia, jak i w zachowaniu. Odrzekł mi na to, że wada ta, niepodlegająca dyskusji, pozwoliła Ameryce stać się taką, jaką jest. Zdaniem specjalistów zbyt wrażliwe narody zawsze czeka upadek.

— Towarzyszył mi tłumacz, niejaki Fabrizio, który zna pana i który mówi dialektem. Niech pan sobie wyobrazi, że w kraju spadkobierców wielowiekowej cywilizacji ludzie nie posługują się tym samym językiem. Tak więc rozmawiałem z mieszkańcami, którzy oglądali całe zdarzenie zza żaluzji okiennych. Opisali scenę, kiedy trafiony kulą upadł pan na ziemię, a potem podniósł się i zaczął znowu strzelać. Wtedy wystrzeliła bazooka. Pocisk rozwalił bramę hangaru.

W tym samym momencie pan przewrócił się, ranny w twarz, ramię i udo. Zaraz potem hangar wyleciał w powietrze wraz ze znajdującymi się w nim łodziami podwodnymi.

— To nie bazooka spowodowała eksplozję. Ktoś musiał nacisnąć detonator.

— Ta sprawa nie została jeszcze wyjaśniona do końca. Niektórzy podzielają pański pogląd. Inni utrzymują, że eksplozję mogła spowodować wysoka temperatura pocisku bazooki, ale to nie ma znaczenia. Najważniejsze, że te łodzie podwodne zostały wyeliminowane z gry dzięki akcji pańskiego oddziału.

Zapytałem Jenkinsa, co po wybuchu znaleziono w hangarze. Znowu zajrzał do swoich notatek. Był to facet niezbyt błyskotliwy, ale bardzo drobiazgowy.

— Hangar uległ całkowitemu zniszczeniu wskutek eksplozji i potem wszystko się spaliło. Pańscy pirotechnicy nie poskąpili plastiku. Dlatego też trudno było zidentyfikować dokładnie zwłoki ludzi. Mogę panu powiedzieć, że z pewnością należały do pięciu niemieckich żołnierzy, których pan uwięził, oraz do starszej kobiety, bardzo niskiego wzrostu, ubranej na czarno. Mieszkańcy miasteczka rozpoznali w niej zakrystiankę z kościoła. Jej ciało leżało obok miejsca, gdzie zainstalowany był detonator, ale wątpimy, żeby...

— Tu nie ma żadnych wątpiwości, Jenkins — przerwałem mu. — Znałem tę kobietę. To Funghina. Umiała obsługiwać detonator, dowiodła już tego wcześniej. To ona spowodowała eksplozję. I wcale mnie to nie dziwi.

Jenkins umilkł. W jego świecie, w Atlantic City, starsze kobiety nie umieją obsługiwać detonatorów. Czuł, że to miasteczko ma swoje tajemnice, że istnieją tu nietypowe relacje między mieszkańcami. Rzucił mi zaniepokojone spojrzenie. Nie doszedł jeszcze do głównego punktu swojego sprawozdania.

— Wracając do osoby, która pana interesuje, panny Foscari... Dowódca okrętu, na który chciała ona wsiąść, zapewnił mnie, że nie była ranna, a jeśli nawet, to niegroźnie. Kapitan nic więcej nie wiedział, bo musiał zaraz odpłynąć z rannymi, żeby dostarczyć ich do szpitala w Messynie. Zdobyłem jednak pewne informacje o rodzinie panny Foscari. Spotkała ich wielka tragedia. Pan Foscari, podestat miasteczka, który był wówczas w porcie, został zabity przez niemieckiego oficera, bo próbował nie dopuścić, żeby obsługujący bazookę żołnierz wystrzelił z niej. Jest to zrozumiałe, bo w hangarze znajdowała się przecież jego córka, panna Foscari. W rezultacie matka oskarżyła pannę Foscari o przyczynienie się do śmierci ojca i nie chce jej znać. Trzeba też dodać, że i proboszcz bez ogródek oskarża pannę Foscari o wspólne działanie z panem. Rozmawiałem z nim. To wyjątkowo niemiły człowiek.

— Co było dalej?

— Kazałem go aresztować i odesłać do obozu dla zwolenników faszyzmu.

Powiadaliśmy o tym Watykan. Powiedziano nam, że to nasza sprawa, co z nim zrobimy. Jeśli zaś chodzi o pannę Foscari, nikt nie wie, co się z nią dzieje. Szukamy jej w Palermo. Szkoła, w której pracowała, została zamknięta. Jak tylko coś będę wiedział, natychmiast pana poinformuję.

Spojrzałem teraz na niego inaczej. Podziękowałem za to, co już zrobił. Poczzerwieniał na twarzy jak Wendy O'Connaught.

— Słyszałem, że pozwolono panu zjechać do ogrodu dziś po południu. Mam nadzieję, że sprawi to panu przyjemność, ale uprzedzam, że ktoś tam na pana czeka. Nie jest to panna Foscari. To bardzo miła osoba i bardzo uparta. Chce się z panem zobaczyć, jeśli pan wyrazi takie życzenie. Żandarmeria wojskowa jest o tym powiadomiona.

Kiedy porucznik Jenkins opuścił mój pokój, od razu pojawiła się panna Hamilton z dwoma pielęgniarkami. Zastanawiałem się, kim jest ta uparta osoba. Choć to głupie, pomyślałem, że to moja matka.

Pielęgniarki wpełnęli mój fotel na kółkach do windy. Obrzucany ciekawymi spojrzeniami personelu przejechałem przez hol. Odniosłem wrażenie, że pracownicy szpitala są bardzo poruszeni. Uniesiono fotel, żeby pokonać schody, i znalazłem się na głównej alei ogrodu. Panowało przyjemne ciepło i zamknąłem oczy. Kiedy je otworzyłem, zobaczyłem Cindy Hammersmith. Trzymała w ręku paczkę, która miała kształt książki.

— *Hi*, Charly — powiedziała po prostu.

— *Hi*, Cindy.

Pocałowała mnie w policzek tam, gdzie nie było opatrunku. Przyniesiono jej krzesło. Ubrana była w jakiś dziwny strój przypominający nieco mundur wojskowy. Ta kobieta zawsze umiała dostosować się do sytuacji.

— Kiedy dowiedziałam się, co się stało, udało mi się dostać do wojskowego samolotu i przyleciałam. Trzeba było zdobyć masę pozwoleń, ale zajął się tym mój agent.

Przez cały czas przyglądała się bandażom na moim lewym policzku, na ręce i na nodze. Zanim wysłano mnie na Sycylię, spędzałem z nią wszystkie urlopy. Za każdym razem pojawiali się dziennikarze. Potem mój agent, Jim Hartford, przysyłał mi artykuły i zdjęcia, na których stałem w mundurze obok niej. Oczywiście nie wolno było dopuścić do tego, żeby o mnie zapomniano. Świat kina mógł znieść jakąś przerwę, ale tylko pod warunkiem, że będę mu się od czasu do czasu przypominał. W przeciwnym wypadku czekałoby mnie zapomnienie, tym bardziej że niektórzy aktorzy znaleźli sposób, by nie uczestniczyć w wojnie, i kręcili po trzy filmy rocznie, grając w nich role bohaterów wojny, w której woleli nie brać udziału osobiście.

— Jesteś bohaterem — powiedziała Cindy, stukając palcami w przyniesioną paczkę. — Dzieliłam swój los z prawdziwym bohaterem!

Zaśmiałem się.

— Ta wojna pełna jest bohaterów. Nie są nimi ci, o których pisze się w gazetach, albo ci, którzy otrzymują odznaczenia jak ja. Dwaj sierżanci, którzy towarzyszyli mi w tej akcji, zginęli. To oni są prawdziwymi bohaterami, ale nikt o nich nie mówi, po pierwsze dlatego, że byli nieznani, a po drugie dlatego, że są martwi. Ameryka potrzebuje bohaterów znanych i żywych, żeby ich pokazywać. Nie jestem naiwny.

— Ja wiem, że jesteś bohaterem.

Pokręciłem głową.

— Hollywood nie potrzebuje prawdziwych bohaterów, tylko takich, których może pokazać w filmie. — Dotknąłem opatrunków na mojej twarzy. — Ja już nie nadaję się do pokazywania. Kiedy wrócę do Stanów Zjednoczonych, ludzie Hollywoodu będą mi gratulować moich wyczynów na wojnie i odwrócą się skrzywieni, by odejść pod byle jakim pretekstem. Nie będzie już mowy, żeby ktokolwiek chciał kręcić ze mną film, chyba że w roli Frankensteina, a i to nie jest pewne... Będę miał zeszpeconą twarz, Cindy! Rozumiesz? Krótko mówiąc, skończyłem z filmem i z tobą także. Nie możesz pozwolić sobie na publiczne pokazywanie się z facetem z twarzą przedzieloną blizną, beznadziejnie czekającym na telefon, który nigdy nie zadzwoni. Nie zrobisz tego i nie będę miał o to do ciebie żalu. Przejdę do historii. Mówiłaś kiedyś, że w odpowiednim momencie wybierasz sobie mężczyznę. Dziś musisz poszukać sobie nowego. Być może już to zrobiłaś i przyjechałaś tutaj, żeby się ze mną pożegnać, bo jesteś osobą uczciwą i lojalną. Dziękuję, Cindy, że zdobyłaś się na tę podróż. To lepsze niż list albo opisujący naszą sytuację artykuł w „Movie’s review” lub „Last news from Hollywood”.

Cindy Hammersmith rozplakała się. Był to szczery żal. Płakała nade mną, nad sobą, płakała nad nami obojgiem. W jednej chwili pojęła, że miałem rację. Była mi wdzięczna za to, iż dzięki temu uniknęła bolesnych wyjaśnień. Mając do wyboru własną karierę lub mnie, postąpiła tak, jak zawsze się tego spodziewałem. Kiedy dowiedziała się, co się ze mną stało, od razu

podjęła decyzję i postanowiła sama mi ją zakomunikować. Wstrząsana szlochem, chwyciła mnie za rękę. Paradoksalnie to ja musiałem ją pocieszać. Kiedy już otarła oczy, chciała mi coś jeszcze powiedzieć.

— Pamiętasz ten rok, kiedy włamano się do twojego mieszkania? Ukradziono nasze zdjęcia, które później ukazały się w gazetach. Ukradziono także list i słownik, nad których utratą szczególnie bolałeś. Tego listu nie ukradli włamywacze na zlecenie jakiejś gazety. To ja go ukradłam. Któregoś dnia szukałam czegoś w twojej szufladzie i znalazłam ten list. Nic z niego nie rozumiałam, ale od razu domyśliłam się, że jest to list od tamtej kobiety. Dałam go do tłumaczenia. Słownik zachowałam. Zdjęcia posłałam do gazet, żebyś uwierzył w kradzież, natomiast list spaliłam, żebyś go nigdy więcej nie mógł przeczytać, wiedziałam bowiem, że czytałeś go nieraz i że nadal myślisz o tej dziewczynie, Agrippinie. To niezwykła dziewczyna, bardzo inteligentna i bardziej pasuje do ciebie niż ja.

— Była ze mną wtedy na wyspie, ale zniknęła. Szukamy jej.

Na twarzy Cindy pojawił się dziwny uśmiech.

— Nie musisz jej szukać. Odnalazła cię. Czeka, aż wyjdę ze szpitala, i potem przyjdzie do ciebie. Poznałam ją natychmiast, chociaż nigdy jej nie widziałam. Ona też mnie poznała, choć dla niej było to o wiele łatwiejsze. Powiedziałam jej, że muszę pierwsza się z tobą zobaczyć. Porucznik Jenkins przetłumaczył jej wszystko tak, jak umiał, a ona bardzo dobrze to rozumiała. Nie miej pretensji do Jenkinsa. To ja poprosiłam go, żeby ci nic nie mówił, niewątpliwie był pod moim urokiem. Jest mądrzejszy, niż na to wygląda. Aha, przyniosłam ci ten słownik.

Podawała mi paczkę ze słownikiem, który podarował mi Don Leonardo. Nachyliła się nade mną, pocałowała w zdrowy policzek i odeszła, dumnie wyprostowana. Widziałem, jak minęła bramę szpitala, obrzucana zachwyconymi spojrzeniami pacjentów i personelu.

Po chwili pojawiła się inna osoba. Szła w moim kierunku. Była ubrana na czarno, bo nosiła żałobę po ojcu, który oddał życie, chcąc ją ocalić przed bazooką. W naszym kraju nosi się długo żałobę po ukochanych zmarłych, nawet jeśli nie zawsze zgadzaliśmy się z nimi. Podeszła do mnie. Podniosłem się z wysiłkiem, opierając się o poręczę fotela.

— *Ciao bello*¹⁰⁵ — powiedziała, po czym dodała: — *Tuo volto, me ne frego*¹⁰⁶.

W chwili gdy kończę moją opowieść, dotarła do nas wiadomość, że Barack Obama będzie pierwszym czarnym prezydentem Stanów Zjednoczonych. A to oznacza, że od początku wydarzeń, które opisuję, zaszły na świecie ogromne zmiany. Poślubiłem Agrippinę 15 września 1943 roku w obecności burmistrza Palermo, uzyskawszy uprzednio, zgodnie z obowiązującymi w wojsku regulami, pozwolenie od moich przełożonych. Mieli oni wówczas ważniejsze sprawy na głowie, jako że tydzień wcześniej dokonano desantu pod Salerno i teraz najważniejszą rzeczą było zdobycie Neapolu. Świadcami na naszym ślubie byli panna Hamilton i porucznik Jenkins. Przed kościołem ludzie Fabrizia, w marynarkach i z krawatami, ustawili się w szpaler i zaśpiewali *Bella ciao*. Później podczas uroczystego obiadu zaśpiewali w dialekcie *Malavita* i inne tego rodzaju piosenki, których treści nie odważyłem się tłumaczyć Jenkinsowi. Dla mnie wojna już się skończyła. Tydzień potem wróciłem do Stanów Zjednoczonych, awansowany na wyższy stopień wojskowy, z którego już nigdy nie skorzystałem, bogatszy o jeszcze jeden medal, który zamierzałem odłożyć do specjalnego pudełka z myślą, że może pokażę go moim dzieciom i wnukom, jeśli będzie je to interesowało, choć z góry, jak się okazało słusznie, wątpiłem w to. Towarzyszyła mi Agrippina. Zapisała się na intensywne kursy języka angielskiego, podobnie jak ja osiem lat wcześniej, i robiła szybkie postępy, co wcale mnie nie dziwiło. Przed wyjazdem pogodziła się z matką, która w końcu uznała, że córka ma prawo do własnych opinii i samodzielnego wyboru tego, kogo kocha, że nie jest odpowiedzialna za śmierć ojca. Trzeba dodać, że na naszej wyspie postępował już proces defaszyzacji i zaistniała konieczność określenia, na jakiej liście zmarłych ma znaleźć się Foscari — czy, biorąc pod uwagę jego życie, na liście faszystowskich kolaborantów, czy antyniemieckich bojowników z racji tego, jak zginął. Rodzina oczywiście usilnie walczyła, żeby wpisano go na tę drugą listę.

Środowisko Hollywoodu okazało się wobec mnie mniej okrutne, niż przewidywałem, a dzięki mojej bliźnie dostałem nawet rolę w dość ponurym filmie, gdzie zagrałem postać po strasznych przejściach. Szczęśliwie dla mnie tak się złożyło, że w trakcie kręcenia tego filmu reżyser miał wypadek i nie mógł go dokończyć. Zaproponowałem wówczas, co świadczyło o moim wielkim tupecie, że ukończę film, podejmując się reżyserii. Po krótkim wahaniu producent wyraził zgodę. Już od dłuższego czasu interesowałem się reżyserią i miałem pewne innowacyjne pomysły. Film cieszył się dużym powodzeniem i przysporzył wytwórni niemało pieniędzy. Od tego momentu uznano, że „najpiękniejsza niegdyś twarz męska kina amerykańskiego” umie realizować filmy. To był początek drugiego okresu mojej kariery w kinie, który zapewnił mi prawdziwą sławę, o wiele większą od poprzedniej, trwającą aż do ostatnich lat, kiedy najpierw jako najmłodszy reżyser, a potem już jako najstarszy, jak trafnie zauważono, otrzymywałem mniej lub bardziej uzasadnione pochwały, aż do Oscara sprzed pięciu lat.

Nasze małżeństwo z Agrippiną było szczęśliwe, a nawet bardzo szczęśliwe. Mieliśmy dzieci, wnuki i prawnuki. Żadne z nich, może poza jednym, nie interesowało się starożytnością. Dzisiejsze generacje, wychowane na informatyce i internecie, nie rozumieją, jak mogliśmy egzystować bez pomocy tych tak niezbędnych ich zdaniem narzędzi. Mój ojciec do końca życia mieszkał wraz z Pasqualiną we Francji, w Le Grau-du-Roi, gdzie został przewodniczącym związku rybaków. Nie chciał wrócić na naszą wyspę nawet wtedy, gdy wojna się już skończyła. Nie podał mi powodów, ale przypuszczam, że chodziło o wspomnienia związane z moją matką. Luca Gastaldi nigdy nie był człowiekiem chętnie opowiadającym o osobistych problemach, mogę więc tak wnioskować tylko na podstawie własnych domysłów.

Od Marty Ricovacci nie miałem żadnych wiadomości od czasu jej ostatniego listu

w listopadzie 1941 roku, miesiąc przed wybuchem wojny. Oczywiście odszukałem ją, gdy tylko miałem na to środki. Don Leonardo zdementował pogłoski, jakoby z pomocą Watykanu znalazła schronienie w Argentynie. Pewne jest, że towarzyszyła Mussoliniemu w okresie republiki Salò. Zdołałem dowiedzieć się, że była w otoczeniu Clary Petacci, ostatniej kochanki duce, aż do marca 1945 roku. O dalszych jej losach nie wiedziałem nic. Miałem pewne wątpliwości co do szczerości Don Leonarda. Trzeba dodać, że wyniesiony przez Piusa XII, za papieża Jana XXIII został prefektem Kongregacji Nauki Wiary, inaczej mówiąc, strażnikiem oficjalnego dogmatu Kościoła katolickiego (to stanowisko zajmował kardynał Ratzinger, zanim został papieżem Benedyktem XVI), co jest dość zabawne, jeśli się wspomni, z jakich przyczyn został zesłany na naszą wyspę.

Niektórzy twierdzili, że moja matka nigdy nie opuściła Włoch i że była ofiarą krwawych czystek, które nastąpiły po upadku ostatniego rządu faszystowskiego. Miała zostać rozstrzelana po trwającym dziesięć minut procesie, a jej szczątki pochowane we wspólnym dole razem z innymi bezimiennymi. Zawsze podejrzewałem, że Don Leonardo wiedział znacznie więcej o śmierci mojej matki, niż mi mówił.

Na wyspie, gdzie często przyjeżdżaliśmy i gdzie teraz przebywam czasami w towarzystwie dzieci, wnuków, prawnuków, zbudowaliśmy obok domu mojego ojca, odziedziczonego po przodku garybaldczyku, duży, piękny dom, aby móc w nim przyjmować całe nasze potomstwo.

Nie ma potrzeby dodawać, że wszystko dokoła się zmieniło, poza Nonno, który, o dziwo, pozwolił ludziom wzbogacić się dzięki źródłom ciepłej wody i ich leczniczym właściwościom. Klientami ostatnich rybaków są restauracje dla turystów, którzy opanowali port. W *casa del Fascio* znajduje się obecnie *l'ufficio del Turismo*, a siedziba spółdzielni zmieniła się w luksusowy hotel. Liczne *prodotti tipici* skupiają się w małych uliczkach miasteczka, pieczołowicie konserwowanych w obrębie murów, dziś nazywanych *centro storico*, podobnie jak *galleria d'arte*, sklepy z luksusowymi towarami i biżuterią pod migającymi sztyldami. Na pomniku poświęconym pamięci tych, którzy zginęli, walcząc z wrogiem, widnieje nazwisko Funghiny obok Foscariego, którego, dzięki staraniom rodziny, oficjalnie uznano za bohatera tego miasteczka. Sprawilo to wielką przyjemność Agrippinie i jej matce, a kiedy po wojnie konsultowano się ze mną w sprawie tego napisu, oczywiście zgodziłem się, zapominając o okolicznościach, w jakich dostałem klucz od hangaru, o pistolecie przystawionym do skroni Foscariego, o denuncjującym nas telefonie do Niemców. Jednak jego ostatni gest był piękny. Ten faszysta był dobrym ojcem, dumnym ze swojej córki. Agrippina odeszła na początku tego roku, a z tego, co mówi mój lekarz, wynika, że dołączę do niej już wkrótce i nie zdążę przekonać się, czy Barack Obama jako prezydent spełnił pokładane w nim nadzieje. Tak więc nasze rozstanie będzie raczej krótkie. Prawdę mówiąc, znalazłem w sobie siły, żeby jeszcze pożyć, dzięki następującemu wydarzeniu — władze naszego miasteczka postanowiły zorganizować wystawę pod tytułem *La memoria del paese*. Jest teraz moda na tego rodzaju wspólne wspomnianie i oglądanie pamiątek z przeszłości. Na jednej z tablic widniały fotografie z tamtego okresu. Ujrzałem zdjęcie podpisane *Giornata di festa agosto 1935* i aż podskoczyłem, jeśli można tak powiedzieć o człowieku w moim wieku. Następnego dnia udałem się do biura burmistrza. To młody człowiek z doskonałymi manierami, pewny siebie, idealny przykład na *camicia blu*¹⁰⁷, jak się teraz mówi o takich z pewną ironią. Kieruje największym hotelem na wyspie.

— Na tym zdjęciu poznałem siebie i moją żonę Agrippinę. Stoimy tutaj, na pierwszym planie, mieliśmy wtedy po szesnaście lat.

— Wspaniale, panie Gastaldi.

— Tu stoi moja matka, Marta Ricovacci, to ta kobieta, która uśmiecha się i macha do

obiektywu. Tam jest mój teść, Luigi Foscari, a obok niego Onesimo Battista. W rogu stoi Giuseppina, zakrystianka z kościoła, której nazwisko widnieje na pomniku bohaterów Ruchu Oporu, przy nazwisku Foscarięgo.

— Doskonale. Czy chciałby pan dostać odbitkę tego zdjęcia? Polecę, żeby to dla pana zrobiono.

— Chciałbym odbitkę z oryginalnego zdjęcia, a nie tego wyretuszowanego.

Zapadła cisza. Burmistrz patrzył na mnie szczerze zaskoczony.

— Nie rozumiem.

— Widzi pan, moja matka, Marta Ricovacci, miała w klapie żakietu faszystowską odznakę, której na tym zdjęciu nie ma. Battista i Foscari byli w czarnych koszulach, które jakoś dziwnie zbieleły na tej fotografii. I wreszcie, w centrum powinna znajdować się bardzo rozpoznawalna wówczas osoba, w mundurze. Tu jej nie ma. Był to Galeazzo Ciano, minister propagandy i zięć Mussoliniego. Jego teść kazał go rozstrzelać w styczniu czterdziestego czwartego roku. Teraz pan pojmuję, o co mi chodzi?

— Tak — rzekł burmistrz, patrząc przez okno.

— Rozumiem, że komuś takiemu jak pan i ludziom z pańskiego otoczenia trudno jest przyznać, iż wyspa ta miała skomplikowaną historię. Oryginał tej fotografii ma dla mnie znaczenie osobiste, bo przypomina ważne chwile mojego życia. Czy pan wie, co się wydarzyło tego sierpniowego dnia trzydziestego piątego roku, kiedy zostało zrobione to zdjęcie przed *casa del Fascio*, gdzie obecnie mieści się tak ważne dla miasteczka biuro turystyczne?

Burmistrz oderwał wzrok od okna.

— Nic nie wiem o tamtym okresie, *signore* Gastaldi, bo nie urodziłem się na tej wyspie i przyjechałem tutaj z Mediolanu, czego był pan uprzejmy mi nie wytknąć. Powiedziano mi tylko, że w czterdziestym trzecim roku dokonał pan bohaterskiego czynu jako żołnierz armii amerykańskiej. To wtedy, jak przypuszczam, został pan ranny, czego dowodem jest blizna widoczna do dziś na pańskiej twarzy.

— Nie zastanawiał się pan, *signore* Sindaco, jak udało mi się opuścić wyspę w trzydziestym piątym roku i potem wrócić po ośmiu latach z armią amerykańską?

Burmistrz przeciągnął ręką po idealnie zaczesanych do tyłu włosach, według ostatniej mody, i poprawił krawat marki Versace.

— Rzeczywiście, jak udało się panu, Włochowi urodzonemu na tej wyspie, zostać amerykańskim oficerem?

— Nie odpowiem panu bezpośrednio, *signore* Sindaco, ja to opiszę.

Burmistrz otworzył jedną z szuflad swojego biurka i po chwili podał mi oryginał fotografii. To właśnie zdjęcie mam przed oczami teraz, kiedy kończę moją opowieść. Stoimy na niej z Agrippiną na pierwszym planie. Jesteśmy bardzo młodzi, uśmiechamy się oboje, nieświadomi tego, co się wydarzy jeszcze tego samego popołudnia, kiedy wysadzona została grotta, i tego, że nazajutrz będę musiał opuścić wyspę, wcześniej aresztowany wraz z moim ojcem przez policję Mussoliniego. Widzę Funghinę, Battistę i Foscarięgo, obu w czarnych koszulach (przefarbowana na czarno koszula ślubna Foscarięgo). Widzę moją matkę, tak elegancką, piękną, z faszystowską odznaką na piersi.

Kończę pisanie na tarasie domu mojego ojca. Zamierzam wysłać tę opowieść do agenta w Nowym Jorku z zapytaniem, czy nie zechciałby jej opublikować, o ile historie tego rodzaju potrafią jeszcze zainteresować dziś czytelników. W razie odpowiedzi twierdzącej postawię jednak warunek, aby wydano ją dopiero po mojej śmierci, która nastąpi już niedługo. Będę mógł przekonać się, jakie wywarła wrażenie, z cmentarza na naszej wyspie, gdzie spoczne obok Agrippiny.

Jest późne popołudnie. Cień Nonno zsuwa się na morze. Za plecami słyszę nawoływania moich prawnuków i gardłowe głosy amerykańskich synowych. Samotnie, pośród moich duchów, czekam na najcudowniejsze chwile wiecznej nocy.

¹ *Promessi Sposi: Narzeczeni*, słynna powieść o miłości Alessandra Manzoni, napisana w XIX wieku, obecna na stolikach nocnych całych pokoleń włoskich młodzieńców.

² Słonecznik.

³ Pierwszy urzędnik w mieście (tutaj, ustanowiony przez reżim faszystowski).

⁴ Dziadek.

⁵ Ścieżki ognia.

⁶ Zdrobnienie od PNF — Partito Nazionale Fascista.

⁷ Niewysłowny ból rozkazujesz mi wskrzeszać, królowo... (Wergiliusz *Eneida*, ks. II, w. 3. Przeł. Ignacy Wieniewski. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1978).

⁸ Jakżebym była szczęśliwa, och, gdyby tylko trojańskie statki nigdy do naszych wybrzeży tu nie przybiły (*op. cit.* Ks. II, ww. 652—653).

⁹ Placem zgromadzeń ludu.

¹⁰ Prestiżowe stanowisko.

¹¹ Czarny Korniszon.

¹² Smutny Szparag.

¹³ Neologizm — dosłownie: mały grzybek.

¹⁴ Wieży liktora.

¹⁵ Szubienicznika.

¹⁶ Koteczka.

¹⁷ Mądry jest ten, kto mało mówi (dialekt).

¹⁸ „Bądź naszą królową”.

¹⁹ Niech Bóg to sprawi (dialekt).

²⁰ Człowiek, który nadaje rytm tradycyjnym inwokacjom i pieśniom wykonywanym po modlitwach podczas *mattanzy*.

²¹ Wyciągajcie tuńczyki! (dialekt).

²² Niech będzie zawsze chwalone imię Jezusa (dialekt).

²³ Robotnicy dniówkowi.

²⁴ Rekinów.

²⁵ Faszystowska organizacja kombatantów.

²⁶ Biedny Matteotti — Giacomo Matteotti, deputowany, socjalista, bardzo ostro występujący przeciw rządowi, usunięty z parlamentu, następnie zamordowany przez bojówkę faszystowską 10 czerwca 1924 roku. Mimo iż nie zostało dowiedzione, że do tej zbrodni doszło z rozkazu Mussoliniego, nie ulega wątpliwości, że zabójców zainspirowały jego groźby pod adresem Matteottiego. Wydarzenie to spowodowało odejście wielu wojskowych i faszystowskich deputowanych z pierwszego okresu oraz dawnych kombatantów. W tej sytuacji Mussolini nie zawahał się wziąć na siebie „odpowiedzialności politycznej, moralnej i historycznej za to, co się wydarzyło”. Sprawa Matteottiego stała się momentem przełomowym oddzielającym okres faszyzmu dominującego (ale w konfrontacji z odważną opozycją) od okresu absolutnej dyktatury wprowadzonej w 1926 roku na mocy ustaw faszystowskich.

²⁷ Ojca oceanu (dialekt).

²⁸ Dosłownie: „doktorek”. Tutaj raczej w znaczeniu „profesorek” (dialekt).

²⁹ „Kto ma pieniądze i przyjaciół, ten kpi sobie z władzy” (dialekt).

³⁰ Przełożył Józef Paszkowski.

³¹ Rekompensatę finansową (dialekt).

- ³² Przepłukania sobie gardła.
³³ Milczenie jest nakazem (dialekt).
³⁴ Zięciulek.
³⁵ Kretyn parweniusz.
³⁶ Czarodziejski ogon.
³⁷ Nawet kępkę.
³⁸ Jest bardzo pociągający.
³⁹ Rzeczywiście... lubi przeciętnych facetów.
⁴⁰ Na cześć ministra prasy i propagandy, Galeazza Ciano! Niech żyje! Niech żyje! Niech żyje!
- ⁴¹ Czarne koszule, pozdrówcie duce, założyciela Imperium.
⁴² Za nas!
⁴³ Pośle Gastaldi, kiedy do nas wrócisz?
⁴⁴ Nigdy!
⁴⁵ Ten, kto tchórzy, popełnia zbrodnię.
⁴⁶ Stowarzyszenie honorowe. Ludzie z Mezzogiorno nie nazywają wprost organizacji traktowanych oficjalnie jako przestępcze. Ich nazwy pojawiają się w gazetach i w przemówieniach polityków, gdy prowadzą kampanię w tej sprawie. Jeszcze do dziś mieszkańcy regionu stosują takie określenia, jak „stowarzyszenie honorowe” lub po prostu „system”, albo mówią tylko „oni”. Użycie terminu Onorata jest znaczące, bo wskazuje nie tylko na przynależność, ale także na duchowe współnictwo.
- ⁴⁷ Pożegnane spektaklu nie będzie.
⁴⁸ Jesteś moją miłością po wieki wieków, czyli na zawsze.
⁴⁹ Porozmawiam z panem Powellem o tym, co się stało.
⁵⁰ Pan Powell absolutnie się z tym nie zgadza.
⁵¹ Naprawdę bardzo panu dziękuje.
⁵² Jak się ma pan Powell?
⁵³ Pan Powell zmarł dwadzieścia lat temu.
⁵⁴ Co się panu stało?
⁵⁵ Charly, telefon do pana.
⁵⁶ Babie lato.
⁵⁷ Czy zechciałby pan...?
⁵⁸ To bardzo miło z pana strony...
⁵⁹ Kochana Mamo, otrzymałem Twój list, który sprawił mi wielką radość...
⁶⁰ Charly, ktoś czeka na pana na dole!
⁶¹ Chyba tak.
⁶² Dlaczego pan wyszedł?
⁶³ Rozumie pan, co mam na myśli?
⁶⁴ Będę się czuł zaszczycony, panie O'Hara.
⁶⁵ Idiotka.
⁶⁶ Niegrzeczny chłopak, przez ciebie jestem zażenowana.
⁶⁷ Naprawdę, Wendy?
⁶⁸ Niegrzeczny chłopak, bardzo niegrzeczny.
⁶⁹ Zakochałam się w tobie.
⁷⁰ Co pomyślałaby o tym twoja matka?
⁷¹ Proszę cię, Charly, nie udawaj głupiego.
⁷² Charly, telefon do pana na dole.

⁷³ *Motion Picture Producers and Distributors Association of America* (Stowarzyszenie Producentów i Dystrybutorów Filmowych Ameryki). Wpływową organizacją, która przez długi czas ustalała zasady obowiązujące w kinie w Stanach Zjednoczonych.

⁷⁴ Czy podobam się panu, Charly?

⁷⁵ Niezmiernie, Cindy.

⁷⁶ Czy chce pan zostać moim kochankiem, Charly?

⁷⁷ Pani kochankiem?

⁷⁸ W dosłownym znaczeniu tego słowa. To właśnie chciałam powiedzieć, jeśli miał pan jakieś wątpliwości.

⁷⁹ Będę zaszczycony.

⁸⁰ Chodzi o pani życie, o to, że żyje pani z Charlym.

⁸¹ Życie niemoralne.

⁸² Prywatne życie.

⁸³ Pani prywatne życie jest życiem publicznym.

⁸⁴ Jaki jest wybór?

⁸⁵ Odpieprz się.

⁸⁶ Osiem dni. Ani dnia dłużej.

⁸⁷ Podejmę się tej roli.

⁸⁸ *Diabeł wcielony*.

⁸⁹ *Królową Krystynę*.

⁹⁰ Jesteś tego pewna?

⁹¹ Jestem.

⁹² Wiem... Tego właśnie chcę od ciebie.

⁹³ Klanów (dialekt).

⁹⁴ Dla zdrajcy nie ma żadnej litości.

⁹⁵ Ilu was jest?

⁹⁶ Trzydziestu.

⁹⁷ Mogą wejść.

⁹⁸ Kto nachodzi dom Boga?

⁹⁹ Nie ruszać się!

¹⁰⁰ Co się dzieje? Kim pan jest?

¹⁰¹ Dawaj klucz, bo inaczej rozwalę ci łeb!

¹⁰² Tato, daj mi ten klucz.

¹⁰³ Nic nie jest więcej warte od życia, nawet faszyzm.

¹⁰⁴ Weź go i zjeżdżaj stąd!

¹⁰⁵ Witaj, mój piękny.

¹⁰⁶ Nic mnie nie obchodzi, co się stało z twoją twarzą.

¹⁰⁷ Niebieska koszula, inaczej tzw. biały kołnierzyk.

